



Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Lódź Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 46 (1546)

ROK XXX

14 LISTOPADA 1987 ROKU

CENA 25 ZŁ

- Wielka afera z ciągiem dalszym — str. 1 i 6
- Ludzie Stalina — Gieorgij Malenkov — str. 12
- Zapowiada się konkurs na robotnika — str. 4
- Donos na Jana Czapkę — str. 5
- Pustynia przy ogromnym oceanie — str. 13

Naczelniczka Urzędu Pocztowego w Osieku przywłaszczyła sobie 5 mln 238 tys. 750 złotych. Podczas rozprawy nie chciała jednak powiedzieć, co zrobiła z tymi pieniędzmi...

Wielka afera z ciągiem dalszym

BOGDAN DALESZAK

Sala nr 110 Sądu Wojewódzkiego we Wrocławiu należy do największych w gmazysku przy Podwalu i na pewno pomieściłaby tych wszystkich, którzy powinni wziąć udział w interesującym nas procesie. Niekończące na ławach dla publiczności. Myślę o niektórych pracowników Wojewódzkiego Urzędu Pocztowy i Oddziału PKO we Wrocławiu, Urzędu Pocztowego nr 7 w Leśnicy, Oddziału PKO w Wołowie i o wielu pracownikach pewnego szpitala w byłym mieście powiatowym nie opodal Wrocławia.

Ci, których zabrakło pośrednio, chociaż w różnym stopniu, przyczynili się do tego, że w czwartek, 10 września 1987 roku o godzinie 9 na ławie oskarżonych w sal 110 znalazła się 36-letnia Stanisława Mielecka, była naczelniczka „jednoosobowego” Urzędu Pocztowego w Osieku w gminie Kostomłoty. Akt oskarżenia zarzucił jej zagarnięcie ponad 5 mln zł.

Mielecka nie po raz pierwszy znalazła się w sytuacji przerastającej jej możliwości. Nie po raz pierwszy była taka samotnie. Właściwie tak było cały czas od 1 kwietnia 1979 roku, gdy objęła stanowisko w Osieku.

Ten „primaaprilisowy” awans dla niej samej musiał być zaskoczeniem. Technikum Rolnicze skończyła w 1971 roku, do listopada 1974 roku pracowała w PGR w Gaju Wielkim (Wielkopolskim), a następnie do 30 marca 1979 roku była zootechnikiem w Kombinacie PGR Książ Wielkopolski. W dwa dni później była już naczelniczką poczty w Osieku.

Można się było spodziewać, że nowego pracownika poczty otoczy szczególna opieka, że zaczął się szkolenie i kursy

(w przypadku jednoosobowej załogi technicznie trudne), a przynajmniej częste kontrole. W ogóle jednoosobowe urzędy powinny być kontrolowane możliwie jak najczęściej. Tymczasem nie było ani opieki, ani szkoleń, ani kontroli. Jeżeli czegoś nie przegapiłem ze śledztwa i rozprawy sądowej, Mielecka od początku pracy do 2 grudnia 1986 roku, do dnia zatrzymania przez funkcjonariuszy MO, kontrolowana była raz. Pobieżnie, po lebkach, bezwynikowo. A manipulowała majątkiem aż trzech instytucji!

Nawet kiedy okradła te trzy instytucje, nikt się tym specjalnie nie przejął.

Mielecka przyznała się do winy i w śledztwie i na sali sądowej. Tak dalece czuła się winna, że jej postawa ułatwiała rozliczenie afery, uznana została jako okoliczność łagodząca. Rozprawa tylko formalnie potwierdziła ustalenia śledztwa.

W sposobie „wygospodarowywania” pieniędzy nie było nic wyrafinowanego, skomplikowanego: naczelniczka po prostu nie odzwadzała do PKO gotówki pochodzącej z wpłat na rachunki oszczędnościowe, wystawiała książeczkę oszczędnościową i dokonywała w nich operacji (obrotu), ale poza ewidencją (obrotu), nie odprowadzała dalej wpłat przyjętych z tytułu inkasa utargów sklepowych, podejmowała pieniądze z książeczek, podrabiając na dowodach wypłat podpisy właścicieli, zatrzymywała pieniądze nadchodzące pocztą, podrabiając podpisy odbiorców chowała do kieszeni wolaty za abonamenty telefoniczne, nie przekazywała adresatom pieniędzy pobranych przy wy-
6



Foto: Grzegorz Galasiński

Niedziela, 8 listopada 1987 roku.

Co siedzi w człowieku?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ktoś zapytał mnie: czy nie miesza wątpliwości? Owszem, miesza. Nie jestem na przykład pewien, czy uda się nam tak szybko, jakby tego należało się spodziewać, przełamać stare schematy w myśleniu, a uważam, że to jest niezbędny punkt wyjścia dla wszystkiego, czego chcemy dokonać. W czym przejawiają się te schematy? Oto na przykład czytam w „Życiu Warszawy” wypowiedź dyrektora WPHW w Szczecinie — Barbary Jach, która powiada — a redakcja to drukuje w tytule — że „handel można usprawnić”. Dla mnie jest to schemat pochodzący z bardzo starego sposobu myślenia. Uważam bowiem, że albo się handluje, albo się w handlu urzęduje. I wtedy proszę bardzo — urzędowanie w handlu można w nieskończoność usprawniać stale zresztą z tym samym, czyli nijakim skutkiem. Co zresztą nieustannie potwierdza praktyka. Proszę sobie tylko porównać znany w całej Polsce „Central”, gdzie się właśnie handluje, z wieloma sklepami na tej samej zresztą Piotrkowskiej w Łodzi, gdzie się urzęduje. To urzędowanie jest co jakiś czas właśnie usprawniane. Bez skutku zresztą, jak to widać.

Z tego, co tu napisałem, wcale zresztą nie wynika, że jestem zwolennikiem następującego podziału: wśród klientów są ludzie, którzy wyzwolili się ze schematów, a wśród personelu sklepów i pracowników przedsiębiorstw handlowych sami konserwatyści. Nie podobnego. Taki podział byłby nieprawdziwy i niesprawiedliwy. Konserwatyzmu szukałbym w każdym z nas, w sobie również, bo jest on czymś dla ludzi naturalnym. Jeśli coś działa i nie wali się, to po co to remontować. Lepiej mieć święty spokój. Tak myśli każdy, chyba że coś lub ktoś zmusi go do działania. Takie myśli każdy, chyba że coś lub ktoś zmusi go do działania. Takie myśli każdy, chyba że coś lub ktoś zmusi go do działania. Takie myśli każdy, chyba że coś lub ktoś zmusi go do działania.

Pozostaliśmy jeszcze chwilę przy handlu. Otóż wspomniana dyrektorka Barbara Jach uważa, że są dwa sposoby usprawniania handlu: wymiana towarów z sąsiadami i agencje. Łódzki „Central” zrobił karierę na wymianie z zagranicą. Trzeba tylko umieć to robić konsekwentnie, ale też Lech Sosnowski nie jest zadowolony z form, w jakich się ta wymiana odbywa. Za wiele tam jeszcze biurokracji. A agencje wprowadziliśmy od dawna, tylko tak niekonsekwentnie, z tyloma zastrzeżeniami i obwarowaniami, że właściwie udusiłyśmy tę inicjatywę w zarodku. Mam więc poważne wątpliwości, czy nieudane agencje uda się usprawnić, a co więcej Barbara Jach też ma takie wątpliwości. A przecież coraz częściej sobie uświadamiamy, że trzeba odejść od urzędowania w handlu do handlowania.

Jeśli zatem ma być rynek, to muszą istnieć na tym rynku towary, ma działać prawo wartości, musi istnieć popyt i podaż. Towary, które na ten rynek — czyli do sklepów — mają docierać, muszą być nowoczesne, na wysokim poziomie technicznym i wysokiej jakości. Otóż przeprowadzono badania socjologiczne, które miały dać odpowiedź na pytanie: jak sami wytwórcy, czyli robotnicy dostrzegają wpływ dotychczas wprowadzonej reformy na postęp techniczny w ich przedsiębiorstwach. Przechadano 1800 osób i otrzymali dość zaskakującą odpowiedź. Można było spodziewać się, że większość przynajmniej odpowie, że wpływ reformy był duży. Tymczasem większość pytanym odpowiedziała, że reforma nie miała na to żadnego wpływu (32,5 proc. badanych) i że ten wpływ był niewielki (34 procent). Razem wynosi to 66,5 procent badanych robotników, którzy nie dostrzegają związku reformy z postępem technicznym. Taki stan świadomości ludzi pracy powinien niepokoić. Można bowiem mniemać, że nie dostrzegają oni również związku między postępem technicznym a poprawą warunków życia, że wolą pracować w takich warunkach, jak obecnie, aby tylko zarabiać i mieć spokój. Nie dostrzegają oni — jak widać — związku między tym, co robią a stanem całej gospodarki.

Jak z powyższego wynika podział na tych, którzy chcą postępu w różnych dziedzinach życia, a tych, którym jest to obojętne, przebiega nie według zajmowanych stanowisk. Za postępem — głosi schematyczna teza — jesteśmy my na „dole”, a przeciwni są ci u „góry”. Niby, że władza musi być konserwatywna, a ludzie sprawujący władzę mniej mądrzy od rządzących. Mam poważne wątpliwości, czy tak jest, co nie przeszkadza mi mieć też wątpliwości co do niektórych ogólnych decyzji.

W czym zatem upatrywać wyjścia z tej dość złożonej sytuacji?

Lat temu 82, bo w 1905 roku, Jan Baudouin de Courtenay — Polak francuskiego pochodzenia, lingwista europejskiej sławy, profesor uniwersytetów w Dorpacie, Petersburgu, Krakowie i Warszawie, w 1922 roku zgłoszony jako kandydat na stanowisko prezydenta Rzeczypospolitej — wygłosił w Petersburgu przemówienie na zjeździe autonomistów, którzy domagali się autonomii dla narodów carskiej Rosji. Otóż powiedział on wówczas między innymi tak:

„Zebrałiśmy się tutaj nie dlatego, żeśmy ni stąd, ni zowąd zaploneli ku sobie bratnią miłością. Wyznania miłosne należy raz na zawsze uprzatnąć... Nie mamy za co kochać się nawzajem. Ale jeżeli nie ma w nas wzajemnej miłości, to za to możemy mieć wspólne interesy”.

Bardzo mi się ta myśl spodobała. I jest aktualna. Przecież my w Polsce wzajemnie się nie kochamy. Jedni by drugich w liźce wody utopili. I bardzo dobrze, bo nie mamy się za co kochać, ale mamy wspólny interes. Ten interes, który jest ponad innymi: drobnymi, grupowymi, partykularnymi, egoistycznymi interesami, ten bez którego te wszystkie inne nie miałyby racji bytu, nie mogłyby istnieć. I właśnie ten wielki, wspólny interes, los nas wszystkich nad Wisłą, zmusza do odrzucenia antagonizmów i zastanowienia się nad przyszłością. Tu już nie chodzi o piękne i wielkie słowa. Tu już chodzi o przyszłość naszego bytu narodowego i o to, czy potrafimy go włączyć w swoje ręce. To będzie bardzo trudne po latach sprawowania za nas władzy, gdyż oduczyliśmy się odpowiedzialności i wielu innych rzeczy. Ale to jest konieczne!

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44.

sekretnarz redakcji.

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Lewandowski

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński, Teresa
Jerzykowska, Andrzej
Karolczak, Roman Kubiak,
Jerzy Kwieciński, Bogda
Madej, Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Jolanta Wrońska
Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz
Szymborski-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz
Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,
Bohdan Gadamski,
Grzegorz Gazda, Jacek
Glebski Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznów (Iwanowo),
Marek Koprowski,
Włodzimierz Krzeminski,
Marek Mamos Zenon
J. Michalski, Ryszard
Nakonieczny, Adam
Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strwiński Maciej Świerkocki,
Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnic-
two Prasowe RSW „Prasa -
Książka - Ruch” 91-103 Łódź
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-
ficzne RSW „Prasa - Książka -
Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-
wonej 28

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rękopisów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów

Warunki prenumeraty: 1. Dla
instytucji i zakładów pracy -
zlokalizowane w miastach wojew-
ódzkich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa -
Książka - Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach
- instytucji i zakładów pracy
zlokalizowanych w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa - Książka - Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2.
Dla indywidualnych prenumera-
torów - osoby fizyczne zamieszka-
ne na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa - Książka - Ruch” o-
płacają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli
osoby fizyczne zamieszkałe
w miastach - siedzibach Oddziałów
RSW „Prasa - Książka -
Ruch” opłacają prenumeratę
właścicielom w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa - Książka - Ruch” 3.
Prenumeratę za decydującym
wzrostem w RSW „Prasa -
Książka - Ruch” 3.
Prenumeratę za decydującym
wzrostem w RSW „Prasa -
Książka - Ruch” 3.
Prenumeratę za decydującym
wzrostem w RSW „Prasa -
Książka - Ruch” 3.

Wydawnictwo ul. Towarowa 28
00-058 Warszawa konto NRP XV
001015 139 11 Prenumerata ze
złotem wysyłki za granicę
początku zwykła jest droższa od
prenumeraty krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę -
do dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku następ-
nego oraz cały rok następny -
do dnia 1 każdego miesiąca -
poniedziałek okres prenume-
raty roku bieżącego

Zam. 3523, H-11.

Przegląd prasy

Obszerny referat Michalla
Gorbaczowa wygłoszony na u-
roczystym posiedzeniu Komitetu
Centralnego KPZR i Rad Naj-
wyższych ZSRR oraz RFSRR
opublikowały w całości dzien-
niki „TRYBUNA LUDU” (nr
257) i „RZECZPOSPOLITA”
(nr 258). Na uwagę zasługuje
m.in. ocena byłych przywódców
partyjnych i państwowych.
Niekiedy czołowi rewolucjoni-
ści mieli błędne propozycje i
prowadzili działalność frakcyj-
ną.

„Dotyczyło to przede wszy-
stkim Lwa Trockiego, który po
śmierci Lenina rościł sobie
wielkie pretensje do przywództwa
partii, w pełni potwier-
dzając leninowską ocenę jego
osoby, jako niezwykle pewnego
siebie, zawsze ulegającego
wpływowi cwaniackiego polity-
ka. Trocki i trockiści odrzuca-
li możliwość budowy socjaliz-
mu w warunkach kapitalistycz-
nego okrajenia. W polityce za-
granicznej stawiali na eksport
rewolucji, a w wewnętrznej na
„dokracanie skóry” chłopstwa,
na wysysanie przez miasta, na
przeniesienie do kierowania
społeczeństwem metod admi-
nistracyjno-wojskowych”.

W walce z trockistami roz-
strzygnęły się losy rewolucji i
socjalizmu w Rosji. Zajmowa-
li oni bowiem faktycznie po-
zycję kapitalistyczną i atako-
wali leninizm na całym fron-
cie. Sytuacja była tym trud-
niejsza, że występował razem z
grupą G. Zinowiewa i L. Ka-
mieniewa. Jednakże partia po-
parła linię KC i opozycja zo-
stała rozgromiona.

OCENA JÓZEFA STALINA

„W ten sposób kierownicze
jądro partii, na którego czele
stał Józef Stalin, obroniło leni-
nizm w walce ideowej, sformu-
lowało strategię i taktykę
na początkowym etapie budo-
wnictwa socjalistycznego, zy-
skalo aprobatę dla kursu po-
litycznego ze strony większości
członków partii i ludzi pracy.
Ważną rolę w ideowym rozbro-
jeniu trockizmu odegrali N.
Bucharin, F. Dzierżyński, S.
Kirov, G. Ordżonikidze, J.
Rudzutak i inni”.

Pod koniec lat dwudziestych
pojawiły się kontrowersje na
temat gospodarki chłopskiej w
socjalizmie. Bucharin i jego
współpracownicy nie doceniali
wówczas czynników czasu i po-
trzeby przyspieszenia budowni-
ctwa socjalistycznego. Lenin
miał rację, że Bucharin - cen-
ny teoretyk i ulubieniec całej
partii - nie reprezentował w
pełni marksistowskich poglą-
dów.

W ostrej walce powstała kon-
sepcja industrializacji i kolek-
tywizacji. Realizacja jej po-
zwoliła Związkowi Radzieckie-
mu wyjść na pierwsze miejsce
w Europie i na drugie w świcie-
le pod względem wielkości
produkcji przemysłowej.

„Patrząc na historię trziesię-
cioletnią pod uwagę całokształt
realizacji wewnętrznych i mię-
dzynarodowych, nie można nie
zauważyć, że Bucharin - cen-
ny teoretyk i ulubieniec całej
partii - nie reprezentował w
pełni marksistowskich poglą-
dów”.

W przemyśle system admi-
nistracyjno-nakazowy przy-
niósł pewne rezultaty. Nato-
miast niedopuszczalnym był w
procesie przekształcania wsi.
Popelniono tu poważne błędy.
Ale kolektywizacja uowolniła
znaczną część siły roboczej i
umożliwiła wzrost wydajności
pracy w rolnictwie.

„Miliony ludzi z entuzjazmem
włączyli się do pracy przy re-
alizacji socjalistycznych prze-
obrażeń. Pojawili się pierwsze
sukcesy. I w tym właśnie o-
kresie walki z wrogiem oporem
klas wyzyskujących, mecha-
nicznie przeniesiono na okres
pokoju budownictwa socja-
listycznego, gdy warunki kul-
turowe zmieniły się (...). Pozo-
stając na pozycjach prawdy hi-
storycznej, powinniśmy widzieć
zarówno niezaprzeczalny wkład
Stalina w walkę o socjalizm,
obronę jego zdobyczy, jak i po-
ważne błędy polityczne, samo-
władzę, do jakiej dopuścił on i
jego otoczenie, za które nasz
naród zapłacił wielką cenę i
które miały poważne konse-
-

wencje dla życia naszego spo-
łeczeństwa. Czasami twierdził
się, że Stalin nie wiedział o
wielu przypadkach bezprawia.
Dokumenty, którymi dysponu-
jemy, świadczą, że tak nie jest.
Wina Stalina i jego najbliż-
szego otoczenia wobec partii i
narodu za dopuszczenie do ma-
sowych represji i bezprawia
jest ogromna i niewybaczalna”.

W latach II wojny światowej
ujawnił się talent dowódców
pochodzących z ludu: G. Zu-
kowska, K. Rokossowski, A.
Wasilewski, I. Koniewa i In-
nych. W osiągnięciu zwycię-
stwa liczyli się też następujące
czynniki: silna wola polityczna,
wytrwałość, umiejętność orga-
nizowania i dyscyplinowania
ludzi. Lecz główny ciężar woj-
ny ponosił prosty żołnierz ra-
dziecki.

CZASY CHRUSCZOWA I BRZIEWIA

„W połowie lat 50. szczegól-
nie zaś po XX Zjeździe KPZR
nad krajem powiał wiatr prze-
miany, naród podniósł głowę,
ożył, nabrał odwagi i pewności
siebie. Dużym wyzwaniem stał
się dla partii pod kierownictwem
N. Chruszczowa krytyka kultu
jednostki i jego konsekwencji,
a także przywrócenie praw-
dziwości socjalistycznej. W gru-
dach legły poprzednie stereo-
typy w polityce wewnętrznej
i zagranicznej”.

Po XX Zjeździe KPZR (14-
25 lutego 1956 r.) całkowicie
zrehabilitowano tysiące osób
nieвинnie poszkodowanych.
Lecz później wstrzymano pro-
ces przywracania sprawiedli-
wości. Nie powiodły się też pod-
jęte reformy, ponieważ nie bazo-
wały na rozwoju demokracji.

Kolejne kierownictwo z Leo-
nidem Brzniewem podjęło de-
cyzję zmierzającą do przewy-
życzenia woluntaryzmu w po-
lityce wewnętrznej i zagranicz-
nej. Rozpoczęto wdrażanie re-
formy gospodarczej, co przy-
czyniło się do poprawy sytua-
cji w kraju. Użytkowano par-
tyet wojskowo-strategiczny ze St-
anami Zjednoczonymi, wrócił
autorytet międzynarodowy
ZSRR.

Zabrakło jednak woli poli-
tycznej do przeprowadzenia
dalszych zmian. Dlatego spad-
ło tempo rozwoju gospodarcze-
go i nie wykorzystano ogrom-
nych możliwości kraju. W o-
statnich latach działalności L.
Brzniewa trzymało się utar-
tych formuł i schematów.

„Podjęli się różnice między
słowami i czynami. Narastały
negatywne procesy gospodarcze,
które w istocie doprowadziły
do wytworzenia się sytuacji
przedrewolucyjnej. Powstało wie-
le anormalnych zjawisk w sfe-
rze społecznej i duchowo-
moralnej. Wypaczono i deforma-
owały one zasady sprawiedli-
wości socjalistycznej, podważa-
ły w społeczeństwie zaufanie
do niej, rodziły społeczne wy-
obcowanie w różnych jej for-
mach. Narastała różnica mię-
dzy szczytnymi zasadami so-
cjalizmu i codziennymi reali-
ami życia stały się nie do znie-
sienia”.

Michał Gorbaczow podkreślił,
że obecne przemiany mają cha-
rakter rewolucyjny. Jest to kurs
dla ludzi silnych i odważnych.
A taki zawsze był naród ra-
dziecki.

„Wieloletni jednak, że w wie-
lu dziedzinach, reformach i obro-
dach, a nawet w niektórych re-
publikach, przebudowa na nowo
jest nie do zaakceptowania. Jest
to bezpodstawnie skutkiem os-
łabienia naszej politycznej i orga-
nizacyjnej, braku twórczości ze stro-
ny komitetów partyjnych i ich
kierownictwa”.

Na zakończenie referatu, któ-
ry w gazecie zajmuje pełne
cztery strony, sekretarz ge-
neralny KC KPZR stwierdził:
„W październiku 1917 roku
odezłaliśmy od starego świata,
porzucając go bezpowrotnie. I-
dziemy ku nowemu światu -
światu komunizmu. Z tej drogi
nie zawróćmy nigdy”.

ODNOWA W POLSCE

W naszej prasie - w tym
także katolickiej - coraz wię-
cej jest materiałów radzieckich.
Niekiedy ubolewają, że po-
liska odnowa postępuje z mnie-
szym rozmachem. W stałym fe-
letonie na łamach miesięcznika
społeczno-kulturalnego „ODRA”
(nr 10) Urszula Kozioł pisze:

„Jakże się tu u nas podoba,
że tam jest «głębokość», hul
Grunt, że jest tam. Więc bije
się brzo, owsem, klaszcze
się, kłóci głowa, rzuca, przy-

tacza, przedrukowuje, rzuca
brziami... Hal A może by tak
i u nas, naszą małą, własną
«głębokość» - pytam cichutko
i nieśmiało, jako autorka diu-
- słowo daje, nazbyt pochop-
nie! - hm... dgtm... pssthm...
książek. Półki doszczętnie nie
zestymujemy i nie sądzę biel-
mem. A ja razem z nimi”.

Powoli jednak i u nas się
zmienia. Prasa staje się coraz
ciekawsza. W tygodniku „RZE-
CZYWISTOŚĆ” (nr 45) opubli-
kowano fragmenty wspomnień
Lwa Trockiego oraz komen-
taryz Władysława Walkiewicza i
Mariana Malinowskiego. Auto-
biografię przeciwnika Stalina
pt. „Moje życie” wydano w
1930 roku w Warszawie nakła-
dem spółki „Biblion”.

W tym samym numerze za-
mieszczono artykuł Jacka M.
Majchrowskiego o pierwszym
urządzie Drugiej Rzeczypospolitej,
czyli Bolesławie Wieniawie Dłu-
goszewskim. Będą jeszcze dal-
sze odcinki.

Z kolei w miesięczniku
„ZDANIE” (nr 9) Artur San-
dauier nie zgadza się, że auto-
r słów: „Jeśli my tego nie
zrobimy, to kto? I jeżeli nie
teraz, to kiedy?” - jest Michał
Gorbaczow. Twierdzi on, że
jest to ogólnie znany cytat po-
chodzący z Talmudu i poda-
je jego wersję hebrajską. Jed-
nakże przekład sentencji rabi-
ego Hillela w kwietniowej
„LITERATURZE NA ŚWIE-
CIE” (nr 4) wygląda inaczej:
„Jeśli ja nie będę dbał o
siebie, to kto o mnie zadba?
Jeśli zaś tylko o siebie dbam,
to kłmnie jestem! A jeśli nie
teraz, to kiedy?” (str. 5).

Niedawno cytowałem myśl
„zgrzyliwego dogmatyka” z o-
statniej strony tygodnika
„SPRAWY I LUDZIE”. Teraz
(nr 43) Hieronim Orzeszek
zwraca uwagę, że w naszych
środkach masowego przekazu
mało jest wiadomości z Węgier
i Jugosławii. A przydałyby się
przed drugim etapem reformy
gospodarczej.

„Winnimy właśnie jak naj-
więcej w dziedzinie o wynikach re-
formy gospodarczej w jednym
i drugim kraju, a to po to, aby
uniknąć ich błędów, ich słabo-
ści, a także ich nowych proble-
mów, które - aby nie były
kiedyś i naszymi...”

Na trzeciej kolumnie tygo-
dnika wrocławskiego Marek Po-
lański sugeruje, że słownikowo
rzecz biorąc, kolejne reformy
mogą doprowadzić do zmiany
istniejącego ustroju... Reproduk-
cji hasła ze Słownika Wyrazów
Obcych PWN towarzyszą rysun-
ki zachodzącego słońca oraz
rosnącej waluty polskiej i a-
merykańskiej.

Poważnych kłopotów i dyle-
matów nam nie brakuje. W
tygodniku „ODRODZENIE” (nr
45) Aleksander Bocheński i Jo-
zef Kaleta udzielają różnych
odpowiedzi na nasadnicze py-
tania:

CZY SPŁACIMY DŁUGI?

A. Bocheński: „Nie! W tym sa-
mym położeniu jest 40 krajów
na świecie. Prędzej czy później
nastąpi wieloletnia korekcja i
refinansowanie dłużników przez
wierzycieli. Dlatego nie po-
dajemy nastrojów panikarskich
ani wolania o despotę ze wszech-
ciąg”. J. Kaleta: „Musimy
spłacać i to możemy, wcześniej
czy później. Ale tylko we
współpracy z krajami wysoko
rozwinętymi, naszymi wierz-
ycielami, którzy powinni być
również zainteresowani odwy-
nieniem naszej gospodarki, bo to
jest dla nich jedyną szansą od-
zyskania swoich wierzycielności”.

Józef Kaleta uważa, że szan-
sa dla Polski są kapitały obce,
natomiast Aleksander Bocheń-
ski widzi w tym zagrożenie.
Oto wymiana zdań:

A. Bocheński: „Pan Profe-
sorze, ja pamiętam kapitał za-
graniczny przed wojną w Pol-
sce. Wiem co to są kupieństwo
Teraz jest ono nie mniejsze”.
J. Kaleta: „To prawda, że na-
sze doświadczenia przedwojen-
ne, a i powojenne, nie są naj-
lepsze. Tak się jednak ułożyło,
że czy chcemy, czy nie, musi-
my rozwijać stosunki z tymi
kapitałami, by nieśmy kraje
Dalekiego Wschodu nadrobić u-
tracony czas. Na co mamy cze-
kać, jeśli wszystkie kraje
RWPG eksportują razem o 20
proc. mniej niż amerykańska Ma-
lezya...”

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Straszak ceny

Wyobrażam sobie dość - jak się okazało - naiwnie, że ro-
dzimi oponenci polityczni, których zadna decyzja rządowa nie
zadowol (jeszcze zanim się z nią zapoznali), uznają przynaj-
mniej jeden autorytet - kapitalistycznych ekspertów. Bo prze-
cież tzw. szary człowiek (wiem to po sobie), jakiego autorytetu
w tej czy innej dziedzinie potrzebuje, nie potrafi bowiem sam
się we wszystkim rozgarnąć. W tej chwili np. trzeba się jakoś
ustosunkować do zagadnień ekonomicznych, związanych z wpro-
wadzeniem drugiego etapu reformy gospodarczej: czy podejmowa-
ne lub zapowiadane kroki rokuja jej pomyślny przebieg.

Oczywiście, pewien zakres ekonomicznej argumentacji jest do-
stępny umysłowi jako tako rozgarniętego człowieka, ale ma on
prawo zastanowić się, czy nie istnieją jeszcze inne, bardziej
skuteczne wersje rozwiązań i to właśnie skłania go do rozgła-
dania się za autorytetem, a więc ekspertem zasługującym na
zaufanie.

Otóż polskie środki masowego przekazu informują ostatnio
dość szeroko o opiniach na temat naszej reformy, wypowiedzi-
anych przez zachodnich ekspertów Banku Światowego, który, za-
nim udzieli jakimś państwu pożyczki, musi się wprawdzie zo-
rientować w przedsięwzięciach ekonomicznych potencjalnego dłu-
żnika, a w takiej sytuacji znajdujemy się wobec Banku Świa-
towego.

Zarówno eksperci tego Banku, jak i różni ekonomiści, repre-
zentujący „zachodni” punkt widzenia, oceniają na ogół pozyty-
wnie polskie poczynania związane z dalszym przeprowadzaniem
reformy, uznają jej rokowania za pomyślne, zwłaszcza wariantu
radykalnego, liczącego się wprawdzie z większymi przejściowymi
wyrzeczzeniami niż w wersji umiarkowanej, ale za to stwarza-
jącego przesłanki znacznie szybszego przezwyciężenia podstawo-
wych trudności, w których jeszcze tkwimy.

A tymczasem niemała garść moich znajomych, którzy lubią
powoływać się na opinie „Zachodu”, zupełnie ignoruje pocho-
dzące stamtąd pozytywne wypowiedzi o naszej reformie, co
trochę mi przypomina nagie „głuchnięcie” niektórych jakże zda-
wałoby się gorliwych katolików na te zaalenia Kościoła, które
stawiają im wysokie wymagania moralne. A więc, autorytet,
owsem, ale pod warunkiem, że będzie tylko przytakiwał prze-
sądom i uprzedzeniom, życzeniom i zachciankom, nie zmuszając
do wysiłku umysłowego i moralnego.

Nieznamość stosowanej argumentacji sprawia także, iż na-
wet człowiek pełen lojalności wobec państwa, jeśli ktokolwiek
lub przypadek nie podetknie mu pod nos odpowiednich mate-
riałów, nie potrafi przekroczyć zakletego kręgu obaw związa-
nych z nieuniknioną przeciętą zwykłą cen. Podstawą tej obawy
jest błędne przekonanie, oparte na pozorach słuszności, że
całość cen można kształtować dowolnie, zależnie tylko od „wi-
dzimiejsi” władz. Oddając tu głos komuś, kto „naciska” przez
związkowców, naświetlił ten ważny problem z pewnością lepiej
niż bym ja to potrafił, a uważam, iż warto ten wywód poznać.

„Ceny mają charakter obiektywny, nawet wówczas, gdy nie
ujawnia się to w cennikach lub na metkach towarów. W re-
czywistości jako społeczeństwo płacimy tyle, ile wynosi faktycz-
ny koszt wytworzenia. Różnicę bowiem pokrywają dotacje, a te
pochodzą z podatków, które również płacimy, często za pośred-
nictwem cen innych towarów. Wywołuje to również negatywne
skutki w postaci marnotrawstwa, nieprawidłowych relacji cen,
utrzymywania się rozdzielnictwa, systemu kartkowego itd. Daje-
niem programu realizacyjnego nie jest więc wzrost cen, ale prze-
budowa ich struktury”.

Jeśli dobrze zrozumiałem sens wystąpienia wicepremiera od-
powiedzialnego za reformę, prof. Zdzisława Sadowskiego, władcom
zależy nie tyle na „drenażu” społeczeństwa w pieniądze, aby tą
drogą zatrzymać towar na półkach sklepowych, ile na właści-
wych proporcjach między poszczególnymi cenami, a to powinno
oznaczać w praktyce, że wzrost cen będzie rekompensowany
w stopniu nie powodującym spadku konsumpcji podstawowych
artykułów. Zapowiedziano nawet, iż ich spókoje ma w tym naj-
trudniejszym okresie wzrastać o dwa do trzech procent rocznie.

Oczywiście, decyzje chyblone zdarzają się zawsze i wszędzie,
toteż nie miałbym chęci nadstawiać za kogoś głowy. Nie mamy
jednak innej szansy, jak wziąć na swe barki całe ryzyko śmia-
łej reformy gospodarowania. Tak mi się to przedstawia na tzw.
zdrowy rozum. No bo czymże się kierować?

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Ktoś kiedyś szumnie, hucznie i przesadnie nazwał
nasze miasto - tyle efektywnie, co hucznie - Holly-
wood. Kalambur jest dość zgrabny, ale można go oceniać
i tylko w kategoriach kalamburu. Bo Hollywood to hi-
storia i legenda kina, smak i zapach wielkiego świata,
to styl i sposób bycia, to dramaty i tragedie, bajeczne
karriere współczesnych Kopciuszków, to fortuny i niedza.
A jak jest u nas? - odpowiedź w reportażu MARKA
KOPROWSKIEGO.

— Chłopey robią dla Kulosa wszystko, tak samo jak
dla wódki. Wyżej od nich stoi tylko rodzina Papy: żona,
trzy córki i dorodny synalek. Wszyscy także w dżin-
sowym interesie. Wylaczając jedną córkę, wspierając
rodzinkę z Ameryki, krajowy klan dżinsowy z siedzibą
w Łodzi liczy pięć obrotowych głów. Zawisni twierdzą
jednak, że więcej i ślą regularne donosy... - dwuczę-
ściowy reportaż ROMANA KUBIAKA.

— Wszędzie szukamy „białych plam”, a jakoś nie po-
trafimy krytycznie spojrzeć na własne dzieje najnowsze.
I w naszej historii są „białe plamy”, które powstały nie
dlatego, że ktoś komuś nie pozwalał, ale dlatego, że le-
piej pewnych spraw nie ruszać, bo... po prostu wstyd
- cykl artykułów WITOLDA BOROWEGO zatytułowa-
ny „Przeklęte imię zdrady”.

— Spotkałem Polaków, którzy wegetowali na grani-
cy niedzy i takich, którzy wspominali obozy przejści-
owe jako koszmar, ale też i takich, którym się powiodło:
jeżdżąc najnowszymi modelami „Porsche” i sportowymi
„Mercedesami”, stać ich na grę w golfa na Wybrzeżu
Kości Słoniowej czy na podróże do Patagonii - kores-
pondencja MARKA BRZEZIŃSKIEGO.

— W atmosferze skandalu i sensacji pojawiały się na
rynku książki pisarza amerykańskiego Henry Millera. W
niektórych krajach zostały wyklęte, zakazano ich rozpo-
wszechniania. Cenzorzy świeccy i duchowni byli wstrzą-
śnięci obscenicznym językiem i pornograficznymi frag-
mentami - esej MIROSLAWY SARBINSKIEJ pt. „Nie
obrzydzać seksu”.

Sans właściwie nie było żadnych. Święte. Przymierz, kształtując w nie- małym stopniu obli- cze XIX-wiecznej Europy, mimo rysujących się coraz wyraźniej sprzeczności in- teresów, przejawiało w sprawie polskiej wyjątkową solidarność. Zaborcy nie mieli żadnych powodów do kwestionowania i- stniejącego stanu rzeczy, innym krajom europejskim bardziej zależało na dobrych stosunkach z Rosją czy Prusami niż na de- klarowaniu poparcia pozabawio- nemu państwu narodowi. To o- niczek pisał w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa największy z wieszczów narodowych:

„Rządzący francuscy i mędr- kowie francuscy... rządzący an- gielscy i mędrkowie angielscy... mówicie: żyjmy w przyjaźni z krewnymi naszymi, panami i królami Europy”.

Starano się zapomnieć o spra- wie polskiej i tylko tragiczne zrywy niepodległościowe - przy- pominały, że naród nie skapi- tułował.

W końcu jednak zabrakło i zrywów. Po klęsce Powstania Syczeńowego, kiedy to znów za- pełnili się najlepszymi z naj- lepszych sybirskie szlaki, wszy- skie ugrupowania polityczne od skrajnej prawicy po radykalną lewicę odstąpiły od myśli o nie- podległości, nie mówiąc już o działaniach.

CZAS REZYGNACJI

„Przy Tobie, Najjaśniejszy Pa- nie stoimy i stać chcemy” — pisał się w służebnym ho- dziu galicyscy konserwatyści. „Czujemy się pruskimi pod- danymi” — wtórował im bi- skup poznański Florian Stable- wski — istniejący stan prawno- państwowy uznaliśmy bez za- strzeżeń”.

„Nie niezależności Polski lu- dowi trzeba, ale narzędzi pra- cy” pisał w genewskiej „Ró- wności” działacz socjalistyczny Kazimierz Dłuski.

Wszystkie stany i ugrupowa- nia odrzucały możliwość walki. W kraju pociętym granicami za- borów niepodzielnie zapanował klimat rezygnacji i beznadziei.

Nie wniosło nic nowego w kwestię polską rozpoczynające się nowe stulecie. Nie przynio- sło nic nowego w skali między- narodowej, nie spowodowało żad- nych zmian w stosunku do Polski i Polaków, natomiast na-

ród wchodził w wiek dwudzie- sty inspirowany niepodległoś- ciowo przez lewicę społeczną, która dokonała przewrót w ocie- nianiu swych poglądów.

W tym nowym klimacie zna- lazł dla siebie miejsce w ru- chu socjalistycznym czolowy ówczesny reprezentant myśli niepodległościowej — Józef Piłsudski, ale nawet on, owla- dnięty bez reszty ideą niepo- dległości, nie widział w istnie- jących układach żadnych szans.

„Panuje słuszne przekonanie — pisał w „Robotniku” w 1910 roku — że sami, w stosunkach normalnych nie damy sobie ra-

gromady Strzelców czy późnie- jsi Legionów Polskich nie mógł w najmniejszym stopniu wpłynąć na bieg wydarzeń. Le- gionowe brygady próbowały o- budzić sumienie Europy i świa- ta, stanowiły zauważalny czyn- nik polityczny, ale z wojskowej punktu widzenia niewiele znaczący wśród milionowych ar- mii. A żołnierzy walczące strą- ny potrzebowały coraz więcej stąd i pewne gesty państw za- bórczych wobec Polaków. Gesty do niczego nie zobowiązujące, a mające na celu pozyskanie no- wego rekruta.

stwierdzono — znalazł się w łącz- ności z obu sprzymierzonymi mocarstwami rękojmię, potrze- bne do swobodnego ich rozwo- ju”.

Obleciany jak widać nieco więcej niż wielki książę Mi- kołaj, bo też i sytuacja mili- tarna państw centralnych była wtedy gorsza niż Rosji u pro- gu wojny. Zachód milczał. Mo- że by tam ktoś, gdzieś w ja- kimś aspekcie poruszył kwestię polską, ale nie można sobie było pozwolić na drażnienie po- tężnego sojusznika w toczącej się wojnie, jakim była Rosja. Wszystkie deklaracje na temat potrzeby odzyskania niepodle- głości przez Polskę, na czele za- słynnym 13 punktem Oświade- żenia prezydenta Wilsona do Kongre- su Stanów Zjednoczonych A- meryki, powstały dopiero po za- lamaniu się caratu w Rosji.

CZAS REWOLUCJI

Zmowę milczenia w sprawie polskiej przerwała dopiero re- wolucja w Rosji. 27 marca 1917 roku Piotrogrodzka Rada Dele- gatów Robotniczych i Żołnier- skich, na wniosek frakcji bol- szewików, uchwaliła następują- ce oświadczenie:

„Do narodu polskiego. Carat, który w ciągu półto- ra wieku dawał zarówno na- rodowi polskiemu, jak i rosyjski- mu obalony wspólnymi siłami proletariatu i wojska.

Zawiadamiając naród polski o tym zwycięstwie wolności nad ogólnorosyjskim zandar- mem Piotrogrodzka Rada Dele- gatów Robotniczych i Żołnier- skich oświadcza, że demokracja w Rosji stoi na stanowisku u- znania samookreślenia politycz- nego narodów i uznajmy, że Polska ma prawo do całkowitej niepodległości pod względem państwowo-międzynarodowym.

Przesyłamy narodowi polskie- mu swe bratnie pozdrowienia i życzymy mu powodzenia w oczekiwanej go walce o wpro- wadzenie w niepodległą Polskę demokratycznego, republikań- skiego ustroju”.

Nie podzielał zdania rosyjs- kiej lewicy Rząd Tymczasowy. 30 marca 1917 roku wydał oświadczenie niewątpliwie stanowią- ce próbę korekty Oświadczenia Rady Piotrogrodzkiej. W odczynie pi- sano wprawdzie: „Polscy bracia! Przyjmijcie dłoń, którą Wam podaje wolna Rosja”, ale stwierdzono, iż powstanie „Pań- stwo Polskie połączone z Ro-

sją wolną unią miłostną”, a ro- syjska konstytuanta ostatecznie potwierdziła nową braterską u- nię”.

Obalenie caratu nie spowodo- wało tylko przełamania milcze- nia w sprawie polskiej w Ro- sji. Zachodni sprzymierzeńcy poczuł się zwolnieni od soju- szniczej lojalności, a deklaro- wanie potrzeby niepodległości Polski właśnie w rewolucyjnej Rosji przyspieszyło podjęcie kwestii polskiej przez zwycię- żającą koalicję.

Wspomniany już trzynasty punkt Oświadczenia Wilsona, iż „win- no być utworzone Państwo Pol- skie obejmujące terytorium za- mieszkałe przez ludność nie- wątpliwie polską; będzie mu zapewniony wolny do- stęp do morza; jego niezawis-łość polityczna i gospodarcza, jego całość terytorialna winny być zagwarantowane przez um- owy międzynarodowe” — o- publikowany został w Waszyng- tonie 8 stycznia 1918 roku, a więc po zwycięstwie Rewolucji Październikowej i stanowił pró- bę przejęcia inicjatywy w świe- cie nowych realiów, a miano- wicie wydanej 18 listopada 1917 roku przez Radę Komisa- rzy Ludowych Deklaracji Praw Narodów Rosji. Stwierdzono w niej:

„Prawo narodów Rosji do swobodnego samookreślenia, aż do odzyskania się i utworzenia samodzielnego państwa”.

Rewolucję w Rosji przyjęła z nadzieją na niepodległość nie tylko polska lewica. Józef Pił- sudski, zdeklarowany przeciwnik rewolucji, na wieść o rewolucji lutowej stwierdził, iż „Rosja przestała zagrażać”. Re- wolucja obalała carat czynią- cą nieaktualną koncepcję Pił- sudskiego wystąpienia u boku dwóch zaborców przeciwko trzeciemu — jak sądził — naj- groźniejszemu. Fakt i skutki rewolucji lutowej legły niewąt- pliwie u podłoża decyzji Józefa Piłsudskiego o doprowadze- niu do kryzysu przysięgowej organizacji polskiej Organizacji antymiejskiej i wreszcie za- miany statusu sojusznika na wroga Magdeburga.

Rewolucja Październikowa ni- szczyła stary porządek w Ro- sji niszczyła jednocześnie pew- ne elementy starego porządku w Europie. Taki wymiar miał w przypadku kwestii polskiej dekret Rady Komisarzy Ludo- wych z 29 sierpnia 1918 roku, anulujący wszelkie umowy rzą-

du carskiego dotyczące rozbie- rów Polski. Oświadczone w nim:

„Wszystkie układy i akta wy- warté przez rząd b. Cesarstwa Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego i Cesarstwa Austro-Węgierskiego dotyczące rozbiórów Polski, zostają ze- względu na ich sprzeczność z zasadą samookreślenia narodów i rewolucyjnym poczuciem pra- wym narodu rosyjskiego, któ- ry uznaje niezaprzeczalne prawa narodu polskiego do niepodle- głości i jednolitości, zniesione ni- żejszym w sposób nieodwołal- ny”.

Związek polskich szans z ro- syjską rewolucją trwał i w- czasie stania się Polski niepo- dległą.

Radykalizował rosyjski Pań- dziernik nie mała część polskie- go społeczeństwa. Powstające na ziemiach polskich w przed- dzień niepodległości rady dele- gatów robotniczych i chłop- skich, czy wręcz — jak to mia- ło miejsce w Zagłębiu — od- działy Czerwonej Gwardii, mu- siały wywierać wpływ na kształt odradzającego się pań- stwa. Świadczą o tym i rząd ludowy w Lublinie i Manifest Lubelski, a także, mimo zwy- cież prawa, szereg demo- kratycznych zapisów w Konsty- tucji Marcowej.

Najważniejsze w tym wszy- stkim jest jednak stwierdzenie, iż tworzyła Rewolucja Październikowa w procesie burzenia starych i tworzenia nowych u- kładów i stosunków politycz- nych warunki wstępne dla od- rodzenia Polski, tworzyła moż- liwość niepodległości.

Stanowisko, zwycięskiej koa- licyj, zabiegł dyplomatycznie po- lskich polityków, czyniła zbrojny legionowy — wszystko to stano- wiło dopiero zespół czynników przekształcających tę możliwość w rzeczywistość. Ta rzeczywistość, która przybrała kształt II Rzeczypospolitej, choć uformo- wowała się w sposób odmienny od idei Październikowej Re- wolucji, od niej wywiodła swą genezę.

Regulamin nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w roku 1987

Po raz czwarty be- dzemy przyznawać nagrodę „Odgło- sów” za upowszech- nianie kultury. Chciałbym zapytać, jak pan pojmuje upowszech- nianie szeroko pojętej kultury? — Upowszechnianie kultury, to upowszechnianie dorobku kulturalnego, tego dorobku, który wytworzyła nasza cywil-

izacja w różnych dziedzinach: w sztuce, w literaturze, w nau- ce. Do upowszechniania kultu- ry zaliczamy również działal- ność, której celem jest kształtowanie nawyków kultu- ralnych. Na przykład: jeśli kształtujemy nawyk czytania, korzystania z teatru, filmu, muzyki, plastyki, wiąże się to z kształtowaniem pewnych na- wyków.

W sensie organizacyjnym powołane są instytucje do u- powowszechniania: sieci bibliotek, cały system edukacji kultural- nej... Myślę, że upowszechnia- niem kultury może być specy- ficzna działalność w zakresie tworzenia dóbr kultury połączo- na z jednoczesnym popularyzo- waniem. Dla przykładu przy- pomnę wypowiedź profesora Michałowskiego, znanego w świecie archeologa. Otóż uwa- żał on, że do jego powinności należy nie tylko prowadzenie badań archeologicznych, odkry- wanie kultur przeszłości, ale również upowszechnianie o tym wiedzy. O ile pamiętam użył, mówiąc o swojej powinności, słowa „misja”. A więc upow- szeczniac wiedzę o wynikach swojej pracy traktował jak sprawę równoważną z pracami archeologicznymi. Sądzę więc,

że ta część kadry naukowej, która stara się aktywnie po- pularyzować wiedzę z danej dziedziny — jak to robi np. prof. Aleksander Krawczuk — winna znaleźć się również w kręgu zainteresowania redakcji „Odgłosów”, kiedy będzie de- batować nad przyznaniem swo- jej dorocznej nagrody.

— Ludzie, którzy „działają w kulturze” za swoją pracę o-

gólnokrajowy. A więc to także upowszechnianie kultury. Myślę, że sens inicjatywy „Odgło- sów” zawiera się w tym, aby pobudzić aktywność środowisk twórczych. To bardzo ważne. Możemy już odnotować pewne sukcesy: oto w Łodzi będzie od- bywać się co kilka lat konkurs im. Karola Szymanowskiego. Bardzo to ciekawa inicjatywa o znaczeniu promocyjnym dla

kim jako upowszechnianie kul- tury w środowisku robotniczym. Być może poszukiwanie wła- snie tu działaczy, organizatorów, animatorów życia kulturalnego, którzy wybiegają daleko poza- przeświadczenie, że jest bardzo celowe. Więcej może pokazanie tych ludzi działających w śro- dowisku robotniczym jest god- ne zainteresowania. Bowiem ta- ki człowiek oprócz tego, że tworzy dzieła kultury, to prze- ciw jest także upowszechnia.

Myślę także jeszcze o czymś innym: nie należy śalić się, dyskutować, ssałanawiać się, jakie miejsce zajmujemy na mapie kulturowej, a tworzyć pewne fakty. W Łodzi istnieje ciągła podaż na konkretne, zor- gamizowane inicjatywy.

— Chciałbym na koniec u- słyszeć pańskie prywatne zda- nie: czy nagroda „Odgłosów” za taką właśnie działalność jak upowszechnianie kultury jest potrzebna?

— Jak najbardziej. Ze szcze- rym uznaniem odnoszę się do tej inicjatywy i sądzę, że be- dzie ona miała z roku na rok coraz większe znaczenie, gdyż należy tworzyć pewne tradycje. A w Łodzi, jeśli chodzi o na- grody, to sądzę, że mamy ich za mało. I nie chodzi o to, by tych nagród było co niebiera, lecz by obrastały w tradycję, by ich ranga była jak najwyż- sza, mająca znaczenie pozalo- kalne. Jestem przekonany, że wasza nagroda w taką tra- dycję obrótnie, czego szczerze „Odgłosom” życzę.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Komu nagrodę „Odgłosów”?

Z tym pytaniem zwróciliśmy się do wiceprezydenta m. Łodzi dr JANA NOSKI. Pu- blikując regulamin czwartej już edycji naszej nagrody, uważaliśmy, iż głos człowieka od lat związanego z życiem kulturalnym miasta posiada określone znaczenie.

1. Nagrodę tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury w 1987 roku w wysokości 60 tysięcy złotych przyznaje jury na wniosek Czytelników „Odgłosów” oraz stowarzyszeń twórczych, regionalnych, instytucji zajmujących się działalnością kulturalną.
2. Kandydatami do nagrody mogą być ludzie lub zespoły ludzi, którzy w 1987 roku wyróżnili się oryginalnymi koncepcjami, inicjatywami, pomysłami, eksperymentami, poszukiwaniem nowych form, poczynaniami organizacyjnymi oraz wybitną aktywnością w upowszechnianiu kultury, co znalazło potwierdzenie w prak- tyce.
3. Nagroda jest niepodzielna i może być przyznana jednej oso- bie lub zespołowi.
4. Do nagrody tygodnika „Odgłosy” można kandydować wiele razy, jeśli osiągnięcia w upowszechnianiu kultury w minionym roku upoważniają do złożenia właściwego wniosku.
5. Laureaci nagrody tygodnika „Odgłosy” za upowszechnianie kultury mogą kandydować ponownie dopiero po upływie 5 lat od roku otrzymania nagrody.
6. Wniosek o przyznanie nagrody powinien być sformułowany na piśmie, dokładnie udokumentowany działalnością, obejmującą rok 1987, i zgłoszony w redakcji tygodnika „Odgłosy” do 31 sty- cznia 1988 roku.
7. Jury może odstąpić od przyznania nagrody, jeżeli ilość kan- dydatów będzie mniejsza niż trzy, albo jeśli nadesłane wnioski nie będą odpowiadały wymaganiom regulaminu.
8. Fundatorem nagrody tygodnika „Odgłosy” jest Łódzkie Wy- dawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
9. Jury nagrody tygodnika „Odgłosy” na wniosek redaktora naczelnego „Odgłosów” powołuje dyrektor Łódzkiego Wydawni- ctwa Prasowego.
10. W skład jury nagrody tygodnika „Odgłosy” wchodzi: — przedstawiciele Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, — dwóch członków zespołu tygodnika „Odgłosy”, — przedstawiciele Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi, — przedstawiciele stowarzyszeń twórczych, regionalnych, za- wodowych — literatów, muzyków, plastyków, dziennikarzy i innych.
11. Wyniki pracy jury zostaną ogłoszone po 1 maja 1988 roku.

lizacja w różnych dziedzinach: w sztuce, w literaturze, w nau- ce. Do upowszechniania kultu- ry zaliczamy również działal- ność, której celem jest kształtowanie nawyków kultu- ralnych. Na przykład: jeśli kształtujemy nawyk czytania, korzystania z teatru, filmu, muzyki, plastyki, wiąże się to z kształtowaniem pewnych na- wyków.

W sensie organizacyjnym powołane są instytucje do u- powowszechniania: sieci bibliotek, cały system edukacji kultural- nej... Myślę, że upowszechnia- niem kultury może być specy- ficzna działalność w zakresie tworzenia dóbr kultury połączo- na z jednoczesnym popularyzo- waniem. Dla przykładu przy- pomnę wypowiedź profesora Michałowskiego, znanego w świecie archeologa. Otóż uwa- żał on, że do jego powinności należy nie tylko prowadzenie badań archeologicznych, odkry- wanie kultur przeszłości, ale również upowszechnianie o tym wiedzy. O ile pamiętam użył, mówiąc o swojej powinności, słowa „misja”. A więc upow- szeczniac wiedzę o wynikach swojej pracy traktował jak sprawę równoważną z pracami archeologicznymi. Sądzę więc,

trzymają wynagrodzenie. Czy wobec tego należy traktować ich jako popularyzatorów?

— Regulamin redakcji słu- żący chce preferować tych, któ- rzy wybijają się ponad prze- ciętność. Jest jednak grupa lu- dzi, których można byłoby na- zwać „cichymi bohaterami”, któ- rzy pracują sercem, i którzy w tym systemie społecznym nie zawsze są dostrzegani. Prze- ważnie są to bardzo skromni ludzie. Dziennikarze ze względu na specyfikę wykonywanej przez siebie pracy mają możli- wość tych ludzi wywodzić z tu- mu, pokazać ich ogółowi.

Moim zdaniem, liczą się przede wszystkim pomysły. Ja- ko przykład: pomysł na kon- kurs „Opisanie rodziny”, który nie tak dawno został rozstrzyg- nięty. W Łodzi jest wielka po- trzeba interesujących pomys- łów, które mogłyby mieć zna- czenie upowszechniające.

Inna sprawa: Łódź jest po- tęgą, jeśli chodzi o produkcję filmów i kształcenie kadr, ale nie obserwujemy w mieście or- ganizowania imprez dla upow- szeczniac filmu, jak robią to Kraków i Gdańsk, gdzie nie ma bazy, za to powstały kon- kretnie inicjatywy, mające wa- lor nie tylko lokalny lecz o-

gólnokrajowy. A więc to także upowszechnianie kultury. Myślę, że sens inicjatywy „Odgło- sów” zawiera się w tym, aby pobudzić aktywność środowisk twórczych. To bardzo ważne. Możemy już odnotować pewne sukcesy: oto w Łodzi będzie od- bywać się co kilka lat konkurs im. Karola Szymanowskiego. Bardzo to ciekawa inicjatywa o znaczeniu promocyjnym dla

miłymi muzyków, właściwie studentów akademii muzycz- nych. Myślę, że przy pomocy takich właśnie inicjatyw moż- na będzie dotrzeć z niektórymi bardzo ważnymi treściami do społeczeństwa.

— Czy nie uważa pan, że o- mineliśmy grupę twórców lu- dowych? Czy w Łodzi istnieje coś takiego jak ludowe zespoły folklorystyczne?

— Kiedy mówi się o twór- czości ludowej, to najczęściej w wyobraźni pojawia się obraz wsi. My natomiast możemy mó- wić o pewnych aspektach dzia- łalności folklorystycznej. Są zespoły pieśni i tańca — i mi- mo niewielkiego obszaru nasze- go województwa — są to zes- poby znane nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami, np. „Bychlewicka”, „Parzęczew- wianka”, zespół z Wiśniewa Góry... Natomiast z racji tego, że jesteśmy aglomeracją miejs- ką, jest tu ogromne zadanie w sferze upowszechniania: pobu- dzać inicjatywy w zakładach pracy (chodzi o orkiestry, zes- poby pieśni i tańca, teatryki itp.) bo jest tych inicjatyw ciągle za mało. Dotykamy co- prawda problematyki kultury robotniczej, ale ja rozumiem naszą powinność przede wszyst-

Zlikwidowano wam ministerstwo i co teraz będzie? — Nie sądzę, abyśmy to odczuli jako coś dla nas złego, jako jakąś niedogodność. Mieliśmy dobre stosunki z byłym Ministerstwem Przemysłu Lekkiego i Chemicznego, ale proszę pamiętać, że zajmowało się ono i przemysłem dziewiarskim, i kopalnią siarki, i Petrochemią w Płocku. Staraliśmy się nie zwracać głowy ministrowi. Uważaliśmy, że w końcu, skoro już nas tu postawiono, wybrano, powołano, to po to, abyśmy sami rozwiązywali nasze problemy. Uważamy dalej, że ministerstwo jest po to, aby

— To już sprawa wewnętrzna zakładu, rząd za to winy nie ponosi. — Ale rząd musi rozstrzygnąć, jaki będzie system tworzenia funduszu plac: czy będzie według wariantu, że określa się dopuszczalny próg średniej płacy, czy według wariantu, że przyjmuje się średnią płacę z dopuszczalnym wskaźnikiem jej wzrostu. W każdym razie obecny system tworzenia funduszu plac jest już przestarzały i musi ulec zmianie. Druga sprawa, która bardzo interesuje ludzi — to stosunek rekompensaty do wzrostu cen. Tego też sami w zakładzie nie

drugiemu etapowi reformy. A inne? Dostrzega pan takie? — Owszem. Jedną z nich jest ogromna strata czasu. Nominalny czas pracy w Polsce — według oficjalnych wyliczeń — wynosi w skali roku 2186 godzin. Moim zdaniem, jeśli u nas osiąga się 1800 godzin przepracowanych, to jest to bardzo dobry wynik. Czyli dużo czasu tracimy i tu jest wiele do zrobienia. Wykorzystanie tego czasu do maksimum, to przyspieszenie w realizacji reformy. Drugie zagrożenie to bariera materiałowa. Wiele mówi się teraz o potrzebie rozwijania przedsiębiorczości, czyli wyka-

— Ale nie są. A jak to jest w „Olimpii”? — Jesteśmy nastawieni na eksport. W najgorszych latach kryzysu nasz eksport nie spadł poniżej 50 procent produkcji. W Polsce jest 300 takich przedsiębiorstw. My zajmujemy na tej liście 202 miejsce. Zresztą, co tu dużo mówić, w eksporcie widzę ratunek dla przyszłości „Olimpii”. — Przy obecnych zasadach? — Zasady te muszą ulec zmianie. Niezbędne jest zwiększenie odpisu dewizowego z eksportu. Teraz mamy 17,6 proc., a powinno być więcej. Wtedy zwiększy się możliwość zakupu maszyn, części, surowców i tak dalej. — Ale to przyszłość. A prze-

Zapowiada się konkurs na robotnika

Rozmowa z BOGDANEM SCIEBURĄ — naczelnym dyrektorem Zakładów Przemysłu Dziewiarskiego „OLIMPIA”.

wydać dobre, niezbędne zarządzenia i sprawować kontrolę.

— W gospodarce mogą zdarzyć się różne rzeczy. Na przykład — brak surowców.

— I padniemy. Ale to będzie wynik naszej pracy. Albo mówiąc inaczej: naszej niedołężności. Musimy być i na to przygotowani. Nie sądzę jednak, aby coś takiego mogło się stać.

— Z tego, co pan powiedział można sądzić, że właściwie wykorzystaliście I etap reformy gospodarczej?

— Uważam, że nie straciłmy czasu. Odnosi się to i do „Olimpii” i do problemów w skali kraju. Wiele spraw zostało przestawianych, nauczyliśmy się samodzielności, poznaliśmy bariery i zagrożenia. Jeśli chodzi o „Olimpię”, to od 1983 roku jesteśmy w pełni przedsiębiorstwem samofinansującym się. Nie korzystamy z kredytów bankowych, koszty wynikłe z eksploatacji pokrywamy z naszych funduszy, czerpiemy niezbędne profity z eksportu.

— I sądzi pan, że tempo zmian było właściwe?

— Tego nie powiedziałem. Tempo było niewątpliwie hamowane, choćby przez społeczne obawy związane z ciągłym ruchem cen. Przedsiębiorstwom, które w pierwszym półroczu 1983 r. borykały się z trudnościami i spadała im produkcja, stwarzano różne preferencje i w drugim półroczu wychodziły na swoje. Gorzej na tym wychodziły te przedsiębiorstwa, które pracowały równo. Myślimy pracować równo i mieliśmy z tego powodu różne kłopoty. Na przykład musieliśmy gonić płace w stosunku do innych. Trzeba przecież pamiętać, że w Łodzi jest taka sytuacja, iż na 20 000 wolnych miejsc pracy 93 osoby pracy tej poszukują. Jeśli więc nie podgonimy plac, to ludzie pójdą szukać pracy lepiej płatnej. I trudno im się dziwić.

— Macie zakładowy system plac, pozwala to wam odpowiednio te płace regulować.

— Mamy. Wprowadziliśmy ten system w 1984 roku i przez pół roku barowaliśmy się ze związkami zawodowymi i Radą Pracowniczą. Jest to taki system, dzięki któremu rzeczywiście płacimy za pracę. Daje to zróżnicowane zarobki. Na przykład jedne szwaczki zarabiają około 15 000 zł, inne około 40 000 zł. Zdarzają się i takie sytuacje, kiedy tracą się za złą jakość i 6 000 zł. Ale zdarzają się rzeczy, których być nie powinno: godziny postojowe. Jeśli na przykład w akordzie płacimy za godzinę określoną stawkę, to ma się ona do stawki za godzinę postojową jak 1,5 do 1. A tak się, niestety, dzieje z powodu wadliwego zaopatrzenia w surowce, czyli nie zawsze z winy przedsiębiorstwa. Skutek jest taki, że kiedy jest tego surowca pod dostatkiem, to robotnik woli nadganiać produkcję w wolną sobotę, bo za to się więcej płaci.

rozwiązemy. Druga część pierwszego pytania referendum mówi o trudnościach, które potrwają 2 — 3 lata i to ludzi niepokoi.

— Czy nie potrwa to dłużej? Co pan o tym sądzi?

— Wszystko będzie zależało od prężności i konsekwencji w działaniu rządu. Jeśli program reformy będzie realizowany tak, jak to zostało ustalone, to nie powinno trwać to dłużej niż 2 — 3 lata. Ale już są opóźnienia. Na październik wyznaczono 4 zadania i nie wszystkie wykonano.

— Jakże są te nie wykonane?

— Są to przepisy formalne. Po pierwsze — dotyczące ułatwień w uzyskaniu uprawnień do prowadzenia handlu zagranicznego. Po drugie — dotyczące ograniczenia zakresu stosowania cen urzędowych w rozliczeniach w handlu zagranicznym, zwłaszcza w II obszarze płatniczym, towarów rolno-spożywczych. Po trzecie — dotyczące urealnienia stopy procentowej w zakresie kredytów obrotowych i inwestycyjnych.

Wprawdzie to są przepisy formalne, ale już wydanie ich w innym niż przewidziano terminie albo podrywa zaufanie do opracowanego harmonogramu, albo do sprawności i konsekwencji w działaniu.

Jest to oczywiście moje zdanie. Jestem wyjątkowym pedantem. Jeśli już coś polecam wykonać w przedsiębiorstwie, to za miesiąc polecam skontrolować, jak to zostało wykonane. A jak polecenia nie wykonano — to, jak to się mówi, „reka, noga”. I pragnęlibyśmy, aby inni też tak działali. Dla mnie najważniejsza jest konsekwencja.

— Czy to jedyne pragnienie dyrektora „Olimpii”?

— Jeśli chodzi o reformę gospodarczą, to podstawowe. Bardzo chciałbym, aby przedsiębiorstwo — a zatem i cały przemysł — mógł przynajmniej przez 3 lata pracować w warunkach ekonomicznej stabilizacji. To znaczy, aby przez ten czas nie zmieniano instrumentów ekonomicznych, żeby uchwały rządowe i ministerstwa nie zmieniały się co roku, żeby stosowano starą, rzymską jeszcze zasadę, że „prawo nie działa wstecz”, żeby w działaniu rządu obowiązywała konsekwencja. Jak coś postanowiono, to musi być wykonane. Inaczej będziemy dreptać w miejscu.

Poza tym, proszę pamiętać, że my już pracujemy z komputerami, inni również. Co to znaczy? Ano to, że jeśli zmienią się tylko jeden element w systemie ekonomicznym, to trzeba zmieniać cały program. Kosztuje to setki tysięcy złotych. Proszę przemyśleć to przez ilość przedsiębiorstw pracujących na komputerach.

— Można by było powiedzieć, że pana zdaniem brak konsekwencji i stabilizacji w grze ekonomicznej — jak to się niekiedy ładnie mówi — to podstawowe bariery sagrażające

związania różnych inicjatyw. Te inicjatywy wymagają wykorzystania różnych materiałów, których wielkość jest w końcu ograniczona. Może to spowodować różne perturbacje. A nie tak nie dezorganizuje pracy, nie tak nie demoralizuje ludzi, jak brak materiału, kiedy ludzie snują się po fabryce i nie mają co robić.

— Zmiany systemu zaopatrzenia w surowce pan się nie boi?

— Nie, bo dajemy sobie samą radę już od dłuższego czasu. Zużywamy około 85 proc. bistoru. Jest to surowiec, który chętniej jest kupowany za granicą i dobrze nam to zarabiamy. Sprzedajemy nasze wyroby po 15 dolarów za kilogram. A to jest przyzwolita cena. Mamy już podpisane umowy i to niekiedy na wiele lat na dostawy surowca. Poza bistorem w 1988 roku otrzymamy około 300 ton innego surowca, co wyniesie około 30 proc. rocznego zużycia.

Wyznaje taką zasadę, że w Polsce można wszystko załatwić, trzeba tylko chcieć i wiedzieć jak.

— Wspomniał pan o eksporcie. Jest to bardzo niepopularny temat, a przecież bez eksportu nie ma postępu.

— W zupełności z tym się zgadzam i bardzo boleję, że nie wszyscy to rozumieją. Uważam nawet, że powinniśmy uznać eksport jako polską rację stanu.

— Panuje przekonanie, że im więcej sprzedajemy za granicą, tym mniej zostaje w kraju.

— Polemizowałbym z takim poglądem. W Polsce eksport stanowi około 15 proc. produkcji. Są kraje, gdzie osiąga

od 30 do 50 procent. W Japonii nawet 80 procent. I jakoby Japończycy nie narzekają na braki w sklepach. Poza tym — eksport umożliwia import. Jedno nie może istnieć bez drugiego. Im większy eksport, tym większy import. Przez ten import poprawia się zaopatrzenie rynku, jakość wyrobów, technologie wytwarzania. To powinny być sprawy zrozumiałe dla każdego.

— Ale nie są. A jak to jest w „Olimpii”?

— Jesteśmy nastawieni na eksport. W najgorszych latach kryzysu nasz eksport nie spadł poniżej 50 procent produkcji. W Polsce jest 300 takich przedsiębiorstw. My zajmujemy na tej liście 202 miejsce. Zresztą, co tu dużo mówić, w eksporcie widzę ratunek dla przyszłości „Olimpii”.

— Przy obecnych zasadach? — Zasady te muszą ulec zmianie. Niezbędne jest zwiększenie odpisu dewizowego z eksportu. Teraz mamy 17,6 proc., a powinno być więcej. Wtedy zwiększy się możliwość zakupu maszyn, części, surowców i tak dalej.

— Ale to przyszłość. A prze-mysł dziewiarski już się starzeje i jeśli nie będzie modernizowany, to pozostanie w tyle za innymi. — Niełatwo. Na wystawie ITMA '87 w Paryżu mogliśmy to zobaczyć. Były tam maszyny, które wyprzedzają nasze już o 10 do 20 lat. I jeśli chcemy mieć takie maszyny, aby nie być w tyle, to musimy mieć za co je kupić. Bez eksportu tego nie osiągniemy.

— Czas ucieka, inni — jak sam pan mówi — nie stoją w miejscu. Co robić już teraz?

— Zawijamy spójkę ze szwajcarskim kontrahentem. Kupi nam 10 najnowocześniejszych maszyn wraz z urządzeniami pomocniczymi. Wartość produkcji powstałej na tych maszynach wyniesie czwartą część tego, co dziś produkujemy. Ale nie to jest najważniejsze. Najważniejsze jest to, że kontakt ze Szwajcarami zmusza nas do radykalnej zmiany systemu myślenia.

— Mogłby pan dać jakiś przykład?

— Nawet dwa. Pierwszy — chcemy zatrudnić w projektowanej spółce 74 osoby. Szwajcarzy mówią, że ich zdaniem o 22 osoby za dużo. My na to, że wydajność mierzona wartością będzie prawie na poziomie „Polmosu”. Oni na to, że to ładnie, ale to polski punkt widzenia. No to próbujemy spojrzeć na to krytycznie.

— I co wam wychodzi?

— Zastanawiamy się, w jaki sposób przyjmować robotników do spółki. I wychodzi nam, że trzeba będzie chyba rozpisac konkurs na robotników.

— To już zupełnie coś nowego. Ale oblać pan dwa przykłady.

— Będzie i drugi przykład, ale przedtem proszę mi pozwolić wyjaśnić, dlaczego konkurs. Otóż do obsługi tych maszyn potrzeba ludzi o pełnej dyspozycyjności, których można wezwać do pracy o każdej porze, tak we dnie, jak i w nocy, muszą to być poza tym ludzie ze stuprocentowym zdrowiem, o wysokiej wydajności i wysokich umiejętnościach. Dlatego myślimy o konkursie.

I teraz drugi przykład. W rozmowach ze Szwajcarami powiedzieliśmy, że zakładamy 80 procent eksportu. — A dlaczego nie 100 procent? — zapytali. — Bo mogą być wyroby nieudane — my na to. — U nas takich wyrobów być nie może — powiedział Szwajcarzy. I trzeba się teraz nad tym zastanowić, żeby i u nas takich nie było. A więc — jak z tego widać — wszystko zależy od nas i wiele można osiągnąć, jeśli się zechce. I jeśli się zechce myśleć inaczej.

Cały ciężar na kadre

Rozmowa z prof. ZDZISŁAWEM HASIEM — dyrektorem Instytutu Materiałoznawstwa i Technologii Metalii Politechniki Łódzkiej.

— W wywiadzie udzielonym mi pod koniec 1980 roku powiedział pan m. in., że „struktura naszej gospodarki nie zmuszała i nie zmusza do maksymalnej wydajności. Gdybym ja chciał, żeby wydajność pracy w jakimś przedsiębiorstwie wzrosła, uczyniłbym jego pracowników rzeczywistymi współwłaścicielami tego przedsiębiorstwa. Planowe centralne zarządzanie tak olbrzymim gospodarstwem, jakim jest Polska, nie jest praktycznie możliwe. Trzeba dokonać decentralizacji i dopuścić do głosu obiektywne mechanizmy rynkowe...” oraz: „Istnieje też konieczność uczynienia ze złotówki waluty wymienialnej...”

Siedem lat temu wywiad ten nie mógł się ukazać. Dziś zawarte w nim propozycje stanowią temat ogólnonarodowej dyskusji nad drugim etapem reformy gospodarczej.

— ...i to już jest pocieszające, mimo że nie wiadomo jeszcze, jak w praktyce przebiegać będzie reformowanie polskiej gospodarki. Niemniej mam wielką satysfakcję, że mówiłem o tym tak dawno. Z drugiej strony, żałuję, iż propozycje te mają możliwość wejścia w życie dopiero teraz. Straciłmy niepotrzebnie bardzo dużo czasu.

— Jak widzi pan tę możliwość?

— Dla mnie wciąż najważniejszą sprawą jest doprowadzenie do tego, aby pracownicy danego przedsiębiorstwa czuli się rzeczywistymi jego współwłaścicielami, gdyż tylko wtedy będą naprawdę wydajnie pracować, oszczędzać materiały i energię, troszczyć się o jakość produktów, bo to oznacza większy zysk, którym jako akcjonariusze będą się mogli podzielić. Tak już jest, że człowiek najpierw myśli o sobie, o własnych korzyściach, a dopiero potem ma na uwadze interes jakiejś zbiorowości, społeczeństwa, kraju. I nie trzeba z tym walczyć, ale umiejętnie wykorzystać dla dobra ogółu.

Cieszy mnie więc, że Sejm przyjął podstawowe założenia drugiego etapu reformy, w której za trwały element uznaje się tworzenie mieszanych przedsiębiorstw z udziałem kapitału indywidualnych osób oraz wprowadzenie akcji pracowniczych. Jednocześnie mam jednak duże wątpliwości, czy będzie to element znaczący, ponieważ w założeniach nie przewiduje się, że we wszystkich przedsiębiorstwach pracownicy mają być akcjonariuszami.

Obawa napawa mnie to, że zbyt wiele jeszcze wprowadzanych rozwiązań opiera się na cichym założeniu, że większość społeczeństwa wykaże dobrą wolę w trudnym procesie wychodzenia z kryzysu. A przecież w gospodarce, każdej gospodarce najważniejszym czynnikiem mobilizującym jest nie dobra wola, lecz przymus ekonomiczny, zimna kalkulacja. Byłbym więc za tym, aby do reformy podchodzić mniej emocjonalnie, a bardziej racjonalnie.

Zastanawiam się na przykład, czy zakładana możliwość wykupywania akcji przez pracowników stanie się rozwiązaniem skutecznym? Czy nie należałoby raczej założyć takiej konieczności — w stosunku do kadr kierowniczych od dyrektorów poczynając, a na brygadzistów kończąc, możliwość pozostawienia reszcie i to we wszystkich zakładach pracy.

Dlaczego tak? Ano dlatego, że to właśnie ta kadra odpowiedzialna jest przede wszystkim za złą organizację pracy, która jest naszą największą bolączką. Powierza się jej kierowanie majątkiem społecznym, nie żądając praktycznie żadnych gwarancji na wypadek, gdyby zadanie to miało być źle wykonywane. Jeśli pożyczkobiorca nie wywiązuje się ze swych zobowiązań, konsekwencje ponoszą żyrci. Ale kiedy dyrektor źle zarządza przedsiębiorstwem, konsekwencje jakie może ponieść są wątpliwe. Dlatego też to kadra kierownicza powinna wziąć na siebie główny ciężar reformy, a nie robotnicy, najbardziej obawiający się kolejnych podwyżek cen.

Nie lekceważyłbym przy tym tych dosyć powszechnych obaw, gdyż ludzie łatwo przyzwyczajają się do dobrego, trudno zaś godzić się z pogorszeniem warunków życia. Strach przed utratą tego, co już się posiada, odgrywa niezwykle ważną rolę tak w życiu jednostki, jak i społeczeństwa, przy czym wcale nie musi mieć destruktywnego charakteru. Może mieć pozytywny.

Ważny pod uwagę, że w krajach o wysoko rozwiniętej gospodarce strach przed utratą pracy jest bardzo silnym bodźcem do maksymalnego wysiłku. U nas — nie, a od momentu, kiedy skończyły się możliwości rozwoju gospodarczego poprzez tworzenie nowych miejsc pracy, niedobory w zatrudnieniu stale rosną. Zawsza słyszy się, że brakuje ludzi do pracy.

— Czy rzeczywiście brakuje?

— Tak, ale tylko dlatego, że mamy złą organizację i niską wydajność. Poza tym ostatnio dochodzi jeszcze do tego zjawisko odpływu z sektora państwowego najzdolniejszych, najbardziej operatywnych osób, które większe szanse widzą dla siebie w firmach polonijnych i w sektorze prywatnym, co, nawiasem mówiąc, jest paradoksalne, gdyż teoretycznie to państwowe przedsiębiorstwa powinny osiągać większy zysk liczonej na jednego zatrudnionego niż prywatne zakłady. Mają przecież na ogół lepszy park maszynowy, lepsze warunki, surowce...

Wracając jednak do strachu... Otóż uważam, że skoro socjalizm wyklucza bezrobocie, jako że każdy ma zagwarantowane prawo do pracy, to u nas powinien istnieć strach przed utratą pieniędzy zainwestowanych w zakup akcji swego przedsiębiorstwa, który — jak sądzę — ma większą siłę niż nadzieja na większe zyski.

Jestem przekonany, że to właśnie pozwoliłoby dosyć szybko poprawić efektywność gospodarowania, a wzrost ilości i jakości produkcji przy masowym inwestowaniu w akcje doprowadziłby do tak pożądanego równowagi rynkowej. Co ważniejsze, w mniej bolesny sposób niż podwyżki cen.

Założenia drugiego etapu reformy nie idą jednak tak daleko, choć — moim zdaniem — byłoby to nie tylko wskazane, ale w obecnej naszej sytuacji — wręcz konieczne.

Pozytywnie natomiast oceniam zasieg proponowanych zmian. Są one istotnie szerokie i należałoby sobie życzyć, aby warunki daly podstawę do ich rzeczywistej realizacji. Mam nadzieję, że i to wzięto pod uwagę.

— A co sądzi pan o centrum i zapowiedzi dalszej demokratyzacji życia w Polsce?

— Myślę, że zmiany te były konieczne, a czy dostateczne — pokaże przyszłość. O to jednak nie martwiłbym się aż tak bardzo, ponieważ jeśli poprawi się efektywność gospodarowania na poziomie przedsiębiorstw, to ich załogi, tak czy inaczej, wymuszają dalsze zmiany w centrum, aby móc jeszcze efektywniej działać i naprawdę w pełni samodzielnie. Przy dotychczasowych rozwiązaniach taka presja nie leżała w interesie pracowników i stąd między innymi tak wiele osób na kierowniczych stanowiskach działających nieefektywnie. Myślę, że już wkrótce to się zmieni.

Rozmawiał: PAWEŁ TOMASZEWSKI



Rys. Sławomir Łuczyński

Uprzejmie donoszę, że postawa i działalność obywatela Jana Czapki ze wsi Ciepeliów Stary koło Zwoleń, woj. radomskie, rażąco odbiega od przyjętych powszechnie norm, dla wielu osób jest niezrozumiała i podejrzana oraz budzi ich uzasadniony niepokój, przez co zachodzi obawa, że wyżej wymieniony może zagrażać istnieniu państwa i porządkowi społeczno-gospodarczemu w naszym kraju.

Obywatel Jan Czapka jest rolnikiem Posiada 13-hektarowe gospodarstwo, w którym osiąga zadowalające wyniki w produkcji roślinnej i zwierzęcej. Fakt ten jednak nie zaspokaja jego wybujałej ambicji, a także chęci zwrócenia na siebie uwagi za wszelką cenę. Mając to na względzie, dokonuje on w domu i obojętnie tak zwanych wynalazków, czyli

siadał najnowocześniejsze wówczas maszyny, więc powodowało się z pewnością dobrze, syn musiał kupić akumulator po spieniężeniu swoich ukochanych gołębi, a pomoc miejscowego kowala przy sporządzaniu niektórych części wiatraka — odpracował przez kilka dni w jego kuźni).

Według innej, trudnej dziś do sprawdzenia relacji mały Janek dokonał pierwszego w życiu „wynalazku” już w wieku 8 lat, kiedy to zrobił z drewna samochód-zabawkę napędzany pedałem nigdy przedtem nie widząc na oky prawdziwego samochodu. Jak by jednak nie było, trudno zaprzeczyć, iż Jan Czapka dotychczas został mianem wynalazcy, bardzo wcześnie i choć później po wielokroć dawano mu do zrozumienia, że nie potrzebuje takich mian, nie uchylił praktycznie nic, aby się zmienić.

to wcale jedyny w życiu obywatela Jana Czapki wypadek popadnięcia w konflikt z przedstawicielami wysoko kwalifikowanej kadry naukowej i technicznej, odpowiedzialnymi za postęp w rolnictwie. Przeciwnie Jan Czapka właściwie nieustannie podważa kompetencje wielu z tych ludzi, odmawia im fachowości i odwagi, krytykuje podejmowane decyzje, czym wystawia ich dobre imię na szwank, mimo że nikt go do tego nie upoważniał. Korzysta z każdej nadarzającej się ku temu okazji, a gdy takowych brak, sam je stwarza, posuwając się niekiedy aż do niewybrednych prowokacji.

I tak typowo prowokacyjny charakter miał chociażby pokaz pracy i działania wymyślonej w 1978 roku maszyny do niszczenia stonki ziemniaczanej — jak głosiła fama, rewelacji na skalę niemalże światową. Zjechało się nań do Ciepeliowa kil-

gą przedstawiciele produkcji na co innego. Życie samo pokazało jednak kto w tym sporze miał rację — seryjnej produkcji maszyn Jana Czapki jak dotąd nie podjęto.

Podobne zdarzenie miało miejsce na Targach Poznańskich, gdzie „Edison z Ciepeliowa” pokazał swój kolejny twór — „podnośnik hydrauliczny „Skrzat” zdolny unieść i załadować do 450 kilogramów ładunku, czyli tyle ile sam waży. Jest to oczywiście dużo, nawet bardzo dużo, jeśli wziąć pod uwagę, że fabryczny „Cyklop” przy identycznym udźwigu waży aż 2 tony. Czyżby to jednak, że musielibyśmy od razu zaprzestać produkcji „Cyklopa” i zrzucić kraj, a być może również zagranicę, cięższymi, poręczniejszymi „Skrzatami”? Na pewno nie, gdyż nie zawsze to, co lepsze, musi się lepiej opłacać. Producent „Cyklopa” wyjaśnił to prosto i rzeczowo: rozliczany jest z przerobu surowca, więc im więcej zużyje stali, tym korzystniejsze osiąga wyniki. Ale i tego Jan Czapka nie chciał zrozumieć, uparcie obstawał przy swoim, a jak określał tych, którzy się z nim nie zgadzają, że zrozumieliach względów wolalby nie powtarzać.

Rzecz jasna, był to znów typowy przejaw myślenia kategoriami klasnego partykularyzmu i niewiele zmienia fakt, iż Jan Czapka nigdy nie robił ze swych rozwiązań konstrukcyjnych tajemnicy, zaś dokumentację podnośnika powielił później w stu egzemplarzach i rozdawał wszystkim zainteresowanym — darmo!



Foto: Grzegorz Galasiński

Jest w Ciepeliowie Starym taki rolnik!

Donos na Jana Czapkę

PAWEŁ TOMASZEWSKI

konstruuje różne maszyny i urządzenia, którymi również natężnie, co bezskutecznie usiłuje zainteresować polski przemysł i wymusić na nim masową ich produkcję — rzekomo w celu podniesienia na wyższy poziom pracy w rolnictwie i nie tylko.

Jakkolwiek od lat władzom politycznym, administracyjnym i gospodarczym znane są podobne przypadki, ten wydaje się mieć szczególny charakter z powodu skali, na jaką Jan Czapka wywołuje wokół siebie zamieszanie oraz — czasu, od którego to czyni. Zebrane informacje upoważniają przy tym do twierdzenia, iż wspomniane wyżej skłonności i dążenia rolnika z Ciepeliowa są nieodwracalną cechą jego psychiki, która ulega odchyleniu od przeciętności już w dzieciństwie. Dowodem może być między innymi ustna relacja o tym, jak 13-letni syn Marcina Czapki zbudował wiatrak, dzięki któremu w Dąbrowie zapaliły się pierwsze w promieniu wielu kilometrów żarówki elektryczne. Co więcej, wytwarzana w prądnicę siła wiatru energia magazynowana była w 12-woltowym akumulatorze kupionym i własnoręcznie przywiezionym przez chłopca na rowerze z odległego o ponad 40 kilometrów Radomia.

Powiedzmy sobie szczerze, że normalne, przeciętne przedwojenne dziecko wiejskie nie byłoby w stanie tego wszystkiego dokonać i to z pełnym powodzeniem. Zabrakłoby mu wiedzy, pomysłów, uporu i wiary we własne siły (Problem pieniędzy można w zasadzie pominąć, gdyż choć Marcin Czapka gospodarował na 37 hektarach, stosował nawozy sztuczne i po-

W latach 60. na przykład powierzono mu ważne i odpowiedzialne zadanie kierowania Zakładem Maszynowym w Daniszewie, który należało uratować. Zadanie wykonał dosyć szybko — POM pozbył się długów — i chwalił mu za to. Ale zamiast docenić ten awans na dyrektora, siedząc cicho i spokojnie w wygodnym fotelu, aż do zasłużonej emerytury, Jan Czapka znów zaczął kombinować, wymyślać, stwarzać: a to wózek-regał, a to mieszarko-gniotarkę do przygotowywania pasz, „nożyce” do cięcia rur pod dowolnym kątem, to znów prasę mechaniczną do metalu, a to parę innych urządzeń, konstruowanych których nikt od niego nie wymagał. Po co to robił? Na co liczył? Swego czasu za wynalazki dokonane w okresie pracy w Zakładzie Energetycznym Okręgu Bydgosko-Toruńskiego dostał 12 tysięcy złotych nagrody, co nawet wówczas wystarczyło na niewielką więcej niż na porządne ubranie się. Nie łudził się więc chyba, że tym razem zostanie wreszcie milionerem. No i zamiast dyrektorskiej emerytury doczekał się w 1971 roku natychmiastowego wypowiedzenia. Za co? Oczywiście za swoje wynalazki i okazywaną z ich powodu pychę. Jak wynika z dostępnych mi źródeł pisanych, chodziło o to, że zdobywszy tytuł najlepszego racjonalizatora w województwie, śmiał publicznie zwrócić uwagę, iż wśród wyróżnionych nie ma ani jednego inżyniera z dyplomem. On — dyfektor bez wykształcenia i kwalifikacji, o czym w z do- brego serca stale przypomina- no.

Donoszą o tym, pragnę też od razu podkreślić, iż nie był

kadzieśią osób z przemysłu, placówek naukowo-badawczych, ze środowisk masowego przekazu. Ci ostatni — rzecz jasna, w oczekiwaniu sensacji. Ale sensacji nie było. Rewelacyjna pomysł maszyna okazała się bowiem mieć bardzo prostą konstrukcję i działać na równie prostej zasadzie. Jadąc między krzakami ziemniaków, porzuciła nimi, co wprawiało stonkę w stan odrętwienia i powodowało, iż odrętwiałe owoady spadały od razu do specjalnej rynny, gdzie były gniecione przez obracające się wałce. Słowem, nic takiego. Co prawda, część audytorium wpadła w ślepy zachwyt, zwłaszcza po obliczeniu, że maszyna niszczy szkodniki ze skutecznością 86 procent, czyli minimalnie mniejszą niż stosowane powszechnie środki owadobójcze, ale nie wszyscy, na szczęście, dali się zwieść liczbom. Z satysfakcją należy powiedzieć, że wyjątkowo trzeźwy umysł zachował pewien doktor nauk z Instytutu Hodowli Ziemiaków, który stwierdził autorytatywnie, iż podczas eksperymentu niektórzy krzaki uległy uszkodzeniu, a poza tym metoda Jana Czapki i tak nie może raczej liczyć na upowszechnienie, ponieważ stanowiłaby groźną konkurencję dla przemysłu chemicznego.

Jak można się było spodziewać, zdanie wybitnego specjalisty przekonało gospodarza, który nie potrafił pogodzić się z porażką i w odpowiedzi sięgnął po demagogiczne argumenty, że podczas oprysków środkami owadobójczymi również część krzaków ulega uszkodzeniu oraz — że mechaniczne niszczenie stonki jest korzystniejsze ze względu na ochronę środowiska, zaś zakłady chemiczne mo-

A skoro już o tym mowa, to pragnę też donieść, że z tą pokazową bezinteresownością i otwartością obywatela Czapki nie jest zupełnie tak, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Po pierwsze dlatego, że niektóre spośród kilkudziesięciu rozwiązań technicznych zostały przez niego skrupulatnie opatentowane, po drugie zaś — że nie chce on przyjąć do wiadomości, iż obowiązują u nas pewne zwyczaje, które każdy świadomy wynalazca powinien akceptować bez słowa, jeśli rzeczywiście ma na celu nie tylko własne dobro, ale również bliźnich. Oto znamieny przykład:

Po latach natarczywych prób dogadania się z przemysłem w sprawie podjęcia seryjnej produkcji „Skrzaty” (warunki do uzgodnienia), Jan Czapka postanowił wreszcie samodzielnie opatentować podnośnik i własnymi siłami zrobić po parę jego egzemplarzy w przydomowym warsztacie, bo „nie było już na co czekać”. Tymczasem kilka fabryk dogłębnie zapoznawszy się z dokumentacją, co przecież wymaga czasu, doceniło mimo wszystko walory urządzenia, decydując się w końcu wytwarzać. I wtedy dopiero wyszło szydło z worka, jako że zamiast okazać dożgonną wdzięczność, Czapka wystąpił z pretensjami i oskarżeniami: że przystąpiło do produkcji bez powiadomienia go i oficjalnego uzyskania jego zgody, że nie otrzymuje należnych mu rzekomo honorariów z tytułu praw autorskich, że wniosek o opatentowanie ładowacza „Skrzat” zgłosił ktoś inny.

Doprawdy, trudno w to uwierzyć. A zresztą gdyby nawet, to czy pracownikom „Ponostoru”, Głogowskiej Fabryki Maszyn Budowlanych, Warmińskiej Fabryki Maszyn, Fabryki Maszyn Rolniczych w Dobrym Mieście nie należało się nie za zaspokojenie ambicji jakiegś tam rolnika z wioch Ciepeliów?

Obywatel Jan Czapka naiwnie wyobraża sobie, iż wszyscy dookoła nie mają nic innego do roboty oprócz zajmowania się jego i innych domorosłych wynalazców pomysłami. Albo, że jak w czerwcu 1986 roku w Przysieku koło Torunia zorganizowano Krajową Wystawę Wynalazczości i Racjonalizacji w Rolnictwie, gdzie pokazano między innymi jego „Skrzat”, odmularkę „Amur” oraz wieloczynnościowy pojazd samojezdny „Zuch”, to zaraz powinien zostać wprost zasypany ofertami przemysłu i propozycjami współpracy. No i do dziś nie może przeboleć, że tak się nie stało. Ale przecież nie tylko on jeden wrócił do domu z niczym. I czy w ogóle można się temu dziwić?

Wystawę w Przysieku zwiedzały wybitni specjaliści w dziedzinie postępu technicznego, którzy doskonale wiedzą, jakie tytuły naukowe trzeba mieć i gdzie pracować, aby stworzyć coś naprawdę nowego, oryginalnego i użytecznego. Nie mogli więc nie być podejrzliwi i nieufni, kiedy zobaczyli, że jakiś chłopiec-roztropiec dokonał w stodołę tego, co często nie udawało się całemu zespołowi konstrukcyjnym w nowoczesnych

laboratoriach. I to w jakim czasie! Wystarczy powiedzieć, iż prototyp „Skrzaty” Jan Czapka wraz z synem skonstruował w tydzień. Potem długo go jeszcze ulepszał, ale fakt pozostaje faktem. „Zucha” zaś, który pełni funkcje podnośnika, spychacza, koparki i parę innych, jest bardzo zwrotny, lekki, silny, ma dwa silniki (spalinowy i elektryczny), a jeszcze na dodatek pokazuje ciężar podnoszonego ładunku, zbudował w zaledwie trzy miesiące. Tymczasem eksperci z Instytutu Budownictwa, Mechanizacji i Elektryfikacji Rolnictwa orzekli autorytatywnie, że u nich za- jęłoby to pięciu inżynierów co najmniej rok. Oczywiście, gdyby najpierw wpadli na pomysł stworzenia czegoś takiego.

Słowem — naprawdę dziwna, podejrzana sprawa. A zając się nią poważnie, to przecież zaangażować swój autorytet, tytuł naukowy, dorobek stanowisko... Taki rolnik nie musi się z tym liczyć, bo nie ma nic do stracenia, ale mógłby przynajmniej wykazać obywatelską postawę i zrozumieć, że dla finalnych kryteriów się w tym po prostu zbyt duże ryzyko. Mogłoby, a nie chce. Tylko narzekać, wspominać, krytykować... — o, to świetnie potrafi.

Jan Czapka jest człowiekiem chorobliwie niecierpliwym. Wszystko chciałby już, natychmiast. Denerwuje się, że jakaś tam instytucja od wdrażania myśli technicznej przez parę lat trzyma bez odpowiedzi złożoną przed nim dokumentację, że tygodniami nie może kupić potrzebnych mu części, że w swoim warsztacie zdąży zrealizować nie więcej niż jedną dziesiątą zamówień, jakie z całego kraju otrzymuje na „Skrzaty” i „Amury” od tych, którzy zdobyli jego adres. Bo Czapce mało być rolnikiem-wynalazcą, Czapce ciągle do czegoś się śpieszy i dlatego od czterech lat jest też sam producentem zrzeszonym w Spółdzielni Rzemieślniczej w Lipsku. Myśli, że bez tych jego maszyn polskie rolnictwo traci szansę rozwoju, że liczy się każdy dzień. A ile ón tego zrobi z pomocą syna i sąsiadów — w sumie nie 30 sztuk rocznie, czyli tyle, co nie. Więc czy ma to jakieś znaczenie?

W grudniu 1983 roku obywatel Jan Czapka i wiceminister rolnictwa, Edward Brzostowski podpisali umowę, na mocy której Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych podjęła seryjną produkcję odmularki „Amur”. Jest to przystawka do ciągnika pozwalająca oczyszczać z muli i pogłębiać rowy melioracyjne z prędkością 2 km/godz. Zastępuje pracę 60 ludzi. Najnowsza, ulepszona wersja, oznaczona numerem 4A może służyć też do zmiany o- przyrządowania do koszenia pochylonych brzołów rowów. Ale i ta poprzednia okazała się w kraju bezkonkurencyjna — między innymi na pokazie maszyn

do prac melioracyjnych, którego organizator — Wojewódzki Związek Spółek Wodnych w Zamościu na pniu zakupił od twórcy jeden egzemplarz.

Więc wreszcie sukces?

Właśnie powód do radości? Ależ skąd! Pokazując umowę, Jan Czapka nie tylko, że się już z niej nie cieszy, ale jest wprost oburzony. Mówi, że — co za niewdzięczność i złośliwość! — zgodnie z harmonogramem rozpoczęcie produkcji w Lublinie przewidziano na styczeń 1987 roku, a warszawscy IBMER nawet nie przeprowadził jeszcze wymaganych badań. Cóż zatem warta taka umowa? Cóż walc taki podpis ministra?

Doprawdy, trudno zrozumieć tego człowieka. Jeszcze trudniej go zadowolić. Dano mu już przecież dziesiątki różnych nagród, wyróżnień, tytułów i — nic. Ani śladu satysfakcji. Ostatnich dyplomów nie chce już nawet oprawić w ramki, gdyż — jak twierdzi obłudnie — znużyło mu się to tak, jak owo nieustanne, zabierające jego cenny czas dobijanie się z wynalazkami do bram krajowego przemysłu. Ale — uwaga! — nie dajmy się zwieść słowom. Bądźmy czujni. Bo Jan Czapka ani nie przestanie konstruować następnych maszyn i urządzeń, ani też — szukać nowych sposobów upowszechnienia swych dzieł. Donoszę, że już o tym myśli.

Taki, niestety, ma charakter.

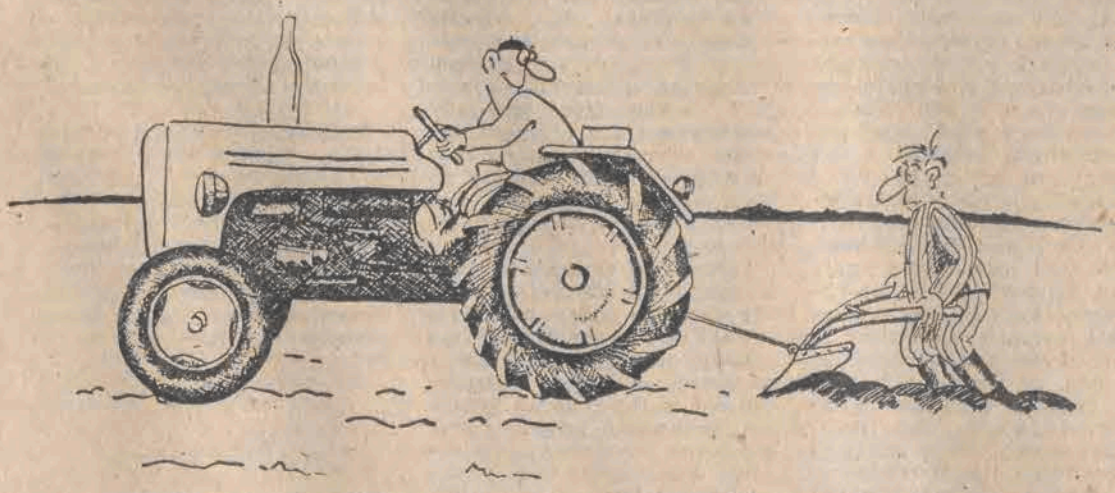
P.S. Ścisła tajemnica

W listopadzie 1983 roku na zwołany przez redakcję „Nowej Wsi” ogólnopolskim spotkaniu racjonalizatorów wiejskich zawiązało się Stowarzyszenie Wynalazców i Racjonalizatorów Wiejskich mające ponad 30 członków-zaloczek i setki sympatyków. Trzyletnie starania o rejestrację w sądzie w Warszawie nie dały żadnego rezultatu. Teraz Stowarzyszenie stara się o zarejestrowanie w Radomiu.

Uprzejmie donoszę, że pierwszoplanową postacią wśród założycieli jest obywatel Jan Czapka, który ze sto razy chyba jeździł już z Ciepeliowa do Warszawy swoim prywatnym samochodem w sprawach Stowarzyszenia.

Zdaniem niektórych osób z kręgów przemysłowych, naukowych i decyzyjnych, celowość istnienia SWiRW jest wątpliwa, ponieważ już inne organizacje dostatecznie dbają o ruch racjonalizatorski, a przemysł i rolnictwo w miarę możliwości chętnie korzystają z ciekawych rozwiązań.

P.T.



Rys. Stanisław Łuczynski

eżeniem pocztowym. Mówiąc prościej, „uprzywilejnia” państwowe pocztę i rzadziła się jak na swoim.

Zaczynała od kwot niewielkich, od „pożyczek” z kasy dość powszechnie praktykowanych. Z czasem sumy te rosły, ale jeszcze nad tym wszystkim panowała, jeszcze wyrównanie niedoborów było w granicach jej możliwości.

Od lutego 1984 roku Mielecka „poszła na całość”. To właśnie wtedy zaczęła wystawiać „lewe” książeczki. Pierwsza wpłata i pierwsze większe zagarnięcie, to kwota 303 549 zł. A później przyszły inne książeczki.

Przestępstwo było prymitywne, ale bez wnikliwej kontroli trudne do wykrycia. Wpadka poza kontrolą groziła wtedy, kiedy właściciel „lewej” książeczki zapragnąłby podjąć większą sumę poza urzędem w Osieku. Ale tu naczelniczka miała wyczuć i książeczki wystawiała osobom najmniej ruchliwym, takim, którzy do miasta wybierali się tylko od wielkiego święta. I grało.

Z czasem tych operacji „prywatnych” było coraz więcej, coraz bardziej komplikowały się i w końcu naczelniczka pogubiła się w tym wszystkim. Gorzej, że zaczęła się gubić także w służbowej dokumentacji pocztu. W listopadzie 1985 roku w ogóle przestała prowadzić jakąkolwiek dokumentację i patrzyła tylko w drzwi — kiedy milicjanci po nią przyjdą.

W tym czasie nie wiedziała nawet, ile w sumie ukradła. Nie była nawet w stanie tego sama wyliczyć. Zrobiła to za nią dopiero w śledztwie biegły sądowy. Nie do końca, bo trzy książeczki „zawieruszyły się” u ludzi, ale i tak wyszło 5 133 050 zł zagarnięcia. Później, już na sali sądowej, biegły wprowadził korektę, bo odnalazła się jedna książeczka i zagarnięcie zwiększyło się o dalsze 105 700 zł, do 5 238 750 zł.

Kiedy Wysoki Sąd pytał o techniczne szczegóły kradzieży, Mielecka wyczerpująco odpowiadała na wszystkie pytania. Czasem nawet jeden z komentarzy Wysokiego Sądu: „To są tłumaczenia przedświadczenia”, ale szumnie, bez zahamowań. Kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, kiedy padło pytanie, co się stało z zagarniętymi pieniędzmi. Oskarżona milczała.

Nie było to pytanie retoryczne. Inaczej wyglądałaby sprawa, kiedy ktoś kradnie, by codziennie schlewać się „Pod Zubernem”, a inaczej, kiedy pieniądze idą np. na bardzo drogie leki.

Wysoki Sąd wiedział jednak o tym, co Mielecka wyjaśniała w śledztwie i zaczął pytać. „Przypadkiem i kradzieżą, i wydawanie kradzionych pieniędzy nie miały związku z chorobą matki i z jej częstymi pobytami w szpitalu. Wiadomo, że matka Mieleckiej ciężko chorowała od stycznia 1982 do 29 października 1986 roku, kiedy zmarła. Na tak postawione pytanie Wysokiego Sądu trzymająca się dotychczas dzielnie Mielecka wybuchnęła płaczem. Podobnie zareagowała, kiedy o to samo pytała pani Mecenas.

Oskarżona miała prawo odmówić wyjaśnień na pytanie, co zrobiła z przywłaszczonymi pieniędzmi. Nawet merytorycznie nie było to takie ważne, bo mówiła o tym podczas śledztwa kapitanowi Bogusławowi Palidze z WUSW. A na sali sądowej podtrzymała wszystkie wyjaśnienia ze śledztwa. A ponieważ wszystkie inne kwestie zostały dostatecznie omówione, można było zamykać przewód sądowy. Zanim się to stało, głos zabrała pani Prokurator, a później pani Mecenas.

Dla oskarżenia sprawa była klarowna, a wina nie ulegała wątpliwości, ale i tak powoli groza, kiedy pani Prokurator zażądała 13 lat pozbawienia wolności, 5 000 000 zł grzywny, konfiskaty mienia w całości, wyrocznia skroń (ponad 4,5 mld zł) i kar dodatkowych... Pani Mecenas w długim wystąpieniu bardzo przekonująco wypunktowała wszystkie okoliczności „na plus” i uznała, że żadna kara jest stanowczo za surowa.

W stosunku do żądań prokuratury Wysoki Sąd (składający przewodniczył sędzia SW Julian Karsznia) wydał wyrok niemal ojcowski, ale także niezwykle surowy: 8 lat pozbawienia wolności, grzywna i wyrównanie szkód jak wyżej, częściowa konfiskata mienia plus kary dodatkowe. Wyrok nie jest prawomocny, a obrona zaowocowała rewizją.

Kolejny straszny wyrok. Dolegliwość finansową raczej nie podlegają dyskusji, ale te 8

lat... Tym bardziej, że to, o czym nie chciała mówić Mielecka w stresującej atmosferze sali sądowej, a o czym mówiła kapitanowi Palidze, smutno do niej nie należało. Chodziło o wydawanie ogromnych sum na ratowanie chorej matki, o lapówkę wręczane lekarzom, pielęgniarkom i personelowi wspomnianego na wstępie artykułu „pewnego szpitala”.

W sprawie tych lapówek wszczęto osobne śledztwo. Prowadził je Prokurator Rejonowy z Fabrycznej. Dlatego nie wymienimy nazwy szpitala i miejscowości, w której się znajduje. Ale o lapówkach musimy napisać, bo ma to bezpośredni związek z omawianym procesem, a ponadto do drugie śledztwo kuleje, a że by się stało, gdyby zakończyło się fiaskiem.

I tak doszliśmy do szpitala, który zresztą na pierwszy rzut oka nie wyróżnia się niczym. Typowy polski „szpital na peryferiach”. Także peryferiach prawa. Z racji rejonizacji sprawujący władzę nad życiem i zdrowiem okolicznych mieszkańców. I z ludźmi w białych kitlach z wielkimi kieszeniami, kieszeniami bez dna.

Trudno przecenić siłę władzy takiego szpitala. Kto ma ją kontrolować? Kto się jej może przeciwstawić? Przecież wszyscy w całym rejonie, nie wyłączając także milicjantów, prokuratorów i sędziów, to zwykli śmiertelnicy. Ludzie, którzy mają schorowanych rodziców i dzieci, które także mogą zachorować.

Matka Mieleckiej zachorowała w styczniu 1982 roku. Miała wówczas 69 lat i 6000 zł renty. Właśnie w tym czasie Mielecka zaczęła „podbierać” pocztowe pieniądze.

Gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia starszej pani nastąpiło na początku kwietnia — duszności, specyficzny ucisk w klatce piersiowej. Wezwano pogotowie ratunkowe „o powiatu”. Lekarz zbadał chorą, dał zastrzyk i stwierdził, że teraz wystarczy już opieka Gminnego Ośrodka Zdrowia w Kostomłotach. Pogotowie odjechało około godziny 17, a na ośrodek można było liczyć dopiero następnego dnia.

W pół godziny później chorą znów się pogorszyło. Znowu telefon do pogotowia. Okazało się, że karetka jeszcze nie dojechała. Na dramatyczne naleganie Mieleckiej nawiązano radiowy kontakt z karetą. Lekarz ponoc upierał się, że nie widzi potrzeby umieszczenia chorej w szpitalu. Córka była innego zdania i autobusem pojechała do szpitala, by prosić o ratunek.

Jak wspomnieliśmy, jest to normalny typowy szpital (podwrocławski), w którego rejonie działania choroba jest problemem przede wszystkim finansowym, a ciężka i długotrwała choroba, poza nią samą, także materialnym nieszczęściem. Taka choroba z reguły tak skutecznie „leczy z gotówki” bliższą i dalszą rodzinę, że często nie ma nawet za co pochować byłego pacjenta.

Mielecka podczas śledztwa bardzo szczerze wyjaśniała wszystkie okoliczności kradzieży, co przecież bardzo ją obciążało i dlatego nie widzę powodu, by nie wierzyć jej, kiedy mówi na co pieniądze wydawała. Brzmiały to tym bardziej wiarygodnie, że wielokrotnie podkreślała podczas przesłuchań, że dawała lapówki z własnej inicjatywy, że nikt od niej nigdy nie żądał pieniędzy, że nikt nigdy nie powiedział, że dała zbyt mało.

Inaczej mówiąc nie usłyszała nigdy: „Pani Mielecka, jeżeli nie da pani 100 000, to pani matka umrze bez opieki lekarskiej”, albo: „Im pani da więcej, tym lepszą opiekę w szpitalu będzie miała pani matka”. Tego nie trzeba było mówić. Wiedziała o tym od rodzin chorujących, leżących w tym szpitalu, od interesantów odwiedzających jej pocztę, od sąsiadów. Stosunek personelu szpitala wobec niej i wobec chorej matki potwierdził później tylko to, o czym wiedzieli wszyscy w rejonie.

Pierwszej lekcji, w kwietniu 1982 roku, udzieliła jej pani Ordynator wydziału wewnętrzznego. Tego dnia matka poczuła się bardzo źle. Wezwali pogotowie ratunkowe. Lekarz dał zastrzyk, ale stwierdził, że przypadek nie kwalifikuje się do leczenia szpitalnego. Kiedy w pół godziny po odejściu karetki matka znów poczuła duszność i charakterystyczny ucisk w klatce piersiowej, Mielecka pojechała do szpitala, by prosić o przyjęcie matki. O ratunek, bo przecież z sercem żartów nie ma. Pani Ordynator oświadczyła, że niestety

nie pomoże nie może, bo w szpitalu nie ma ani jednego miejsca. Nie pomogły tłumaczenia, że zdanem córki chorej jest umierająca.

Przygotowana na taką odpowiedź Mielecka wykorzystwała moment, kiedy towarzysząca pani Ordynator młoda lekarka oddaliła się i wsunęła do kieszeni kilka pani Ordynator kopertę zawierającą 30 000 zł. Tamta pomacała kopertę, kazała Mieleckiej poczekać i przez dyżurkę pielęgniarek poszła na salę intensywnego nadzoru. Kiedy wróciła, oświadczyła, że córka ma przywieźć matkę własnym środkiem lokocji.

starszy zadzwonił po karetkę pogotowia.

W sumie od kwietnia 1982 do 29 października 1986 roku (do dnia zgonu) starsza pani była w szpitalu kilkanaście razy. Najkrócej przez 3 dni, najdłużej blisko 2 miesiące. Rzeczywiście ani razu nie było kłopotów z przyjęciem chorej do szpitala, ale za każdym razem naczelniczka dawała sutę lapówkę. Po 20 000—50 000 za każdym razem.

Największa, bo 100 000, dała w listopadzie 1985 roku. I to przy świadku — drugiej lekarsce. Stan matki był wówczas bardzo ciężki, bo po przywie-

Wielka afera z ciągiem dalszym

Naczelniczka pobięła po tak-sówkę.

Alarm nie był fałszywy — wstępne badanie wykazało stan powściągliwy, a chora na sali intensywnego nadzoru przeleżała 5 dni. A później jeszcze 8—10 dni na sali ogólnej. Przez te pierwsze 5 dni córka dwa razy dziennie, rano i wieczorem, odwiedzała matkę. Rano jeździła autobusami PKS, wieczorem w tamtą stronę jechała autobusem, ale z powrotem zawsze taksówką.

Mielecka była niezwykle przywiązana do matki. Kiedy w końcu marca 1979 roku sprowadziła się do Osieka, do domu nowo poślubionego męża, przyjechała z matką. Matka miała swój pokój, a córka bardzo troskliwie opiekowała się nią. Szalała, kiedy matka zaczęła chorować. W śledztwie używała wyłącznie określenia „mama”. Na sali rozpraw płakała tylko wtedy, kiedy ktoś wspominał o matce.

Trzeciego dnia pobytu chorej na sali intensywnego nadzoru Mielecka odwiedziła panią Ordynator w jej gabinecie. Pytała o stan zdrowia matki, o szanse wyleczenia, o ewentualną potrzebę przewiezienia matki do innego szpitala. Na wszystkie wątpliwości i pytania lekarka zareagowała pozytywnie: Wszystko będzie dobrze. Mielecka położyła na biurku 50 000 zł. Więcej niż za pierwszym razem, bo odniosła wrażenie, że te 30 000 zł to było za mało, i że pani doktor była niezadowolona. Lekarka schowała zwitek banknotów, bez liczenia, pod jakiś błoczek leżący na biurku.

złeniu podłączono ją zaraz pod kroplówkę. Ale i kroplówka nie pomagała. Córka pobięła o pani Ordynator, by biegać o pomoc. Lekarka potwierdziła, że stan chorej jest rzeczywiście ciężki, ale jest pewna szansa w zmianie leku podawanego matce. Wtedy Mielecka oświadczyła, że ma coś dla pani Doktor. Powiedziała to ze skrepowaniem, bo rozmowie przysłuchiwała się jakaś nieznamiona lekarka, ale pani Ordynator ośmieliła ją: niech da, to co ma. Mielecka podała jej wówczas paczkę kawy naturalnej (kupionej u prywatarza za 1200 zł). Paczka była otwarta, a od góry wsunęte było 100 000. W ten sposób, że pieniądze wystawiały. Zdaniem „ofiarodawczyni” pieniądze widziały obydwie lekarki.

Już w kwadrans później po kroplówce podłączono chorą do innego lekarstwa, a następnego dnia pojawiły się jakieś nietypowe tabletki. Pierwszego i drugiego dnia pani Ordynator niezwykle dokładnie badała chorą. Pierwszego dnia jeszcze przy córce. Po kilku dniach stan zdrowia chorej zaczął się poprawiać.

Nie wie, ile w sumie dała pani Ordynator, 800 000? Może więcej? No i prócz tego z 50 paczek kawy, no i mięso, kurczaki, wędliny, masło, jajka, śmietana. Pani Ordynator wiedziała, że córka przychodzi do matki codziennie, więc co 3—4 dni pytała chorą o matkę. Matka przekazywała to naczelniczce, a naczelniczka rozumiała to w ten sposób, że musi znowu coś dać.

Nie miała wyjścia, bo kiedy natknęła się na panią Ordyna-

Taksówkarz wiedział, że pani Ordynator „bierze” od kilku-nastu lat, że „biora” inni. A teraz, kiedy pani Ordynator zastępuje w czasie urlopu pani Doktor, to warto z nią pogadać. Jest lepsza od pani Ordynator. Jego też leżał niedawno w szpitalu, więc dobrze się orientuje.

Za pierwszym razem pani Doktor dostała 20 000. Mielecka dowiedziała się, że matka jest chora na serce, że ma ogólną niewydolność krążenia, ale że może tak długo leżeć w szpitalu, jak długo to będzie potrzebne. Po dwóch tygodniach matka poczuła się dobrze i córka za-

w gotówce, a ponadto co najmniej 50 paczek kawy, dwa koniaki i dwa szampany.

Salowa Pierwsza dostała też co najmniej 100 000, ale za to często zmieniała podłame chorej, podawała basen, pomagała w każdej sytuacji. Kiedy chora leżała w domu, przyjeżdżała do niej, by się nią opiekować. Za te wizyty w domu dostawała mięso, kury, jajka. W dniu śmierci starszej pani przyjechała taksówką, by zawiadomić o tym fakcie. Za taksówkę naczelniczka zapłaciła 1500, za fatygę, salowej 3000.

Około 50 000 dostała Salowa Druga. Kiedy pierwszy raz naczelniczka zwróciła się do niej, by dała matce nową podłame, tamta odparła, że za podłame należy się jej butelka wódki. Od tej salowej zawsze czuć było alkohol. Alkoholu tamta nie dostawała, ale pieniądze dostawała dość często.

Oczywiście dostawały też inne pielęgniarki i inne salowe. Lapówki dawała w szpitalu nie tylko naczelniczka. Podczas śledztwa nasłuchiwał się na ten temat kpt. Bogusław Paliga. Mówiono o prawdziwych tragediach, padły konkretne nazwiska. Ale informacje te muszą być dopiero opracowane „procesowo” na użytek prokuratury i sądu.

Wspomnę tylko o jednym z sąsiadów naczelniczki. W czerwcu 1986 roku przechodził ciężką operację. Mniej więcej w tym czasie miał na książeczce 400 000 zł, o których nie wiedziała żona. Gotówkę wybrał na dwa dni przed operacją. Naczelniczka powiedziała o tych pieniądzach żonie chorego, a kiedy ta zaczęła dochodzić co się z nimi stało, zdążyła się dowiedzieć, że pieniądze dostał lekarz. Nie zdążyła ustalić, który, bo w grudniu 1986 roku jej mąż zmarł.

Być może o tych wszystkich sprawach już nie anonimowo będziemy mogli napisać o zakończeniu „drugiego” śledztwa. Warto dokładnie wiedzieć, za co Mielecka ma iść do więzienia na 8 lat.

I na koniec akcent optymistyczny. W tym samym szpitalu pracuje także Lekarka pediatra. Tak, który nie „bierze”, a leczy. Naczelniczka trafiła do niego 7 maja 1984 roku z chorym 4-letnim synem. Prywatnie, do domu. Stan dziecka był tak poważny, że Lekarz wysłał natychmiast skierowanie do szpitala z opinią, że dziecko trzeba od razu dać kroplówkę. Jeszcze tego dnia chłopiec znalazł się w szpitalu.

Następnego dnia naczelniczka dwukrotnie rozmawiała telefonicznie z panem Ordynatorem oddziału dziecięcego. Pytała o stan dziecka, wspomniła o kroplówce. Pan Ordynator odpowiedział, że kroplówka jest niepotrzebna, a stan syna jest niezły. Następnego dnia rano matka przyjechała do szpitala. Pan Ordynator znowu twierdził, że kroplówka nie jest niezbędna. Dała mu 30 000. Poszedł na oddział, zbadał chłopca i po powrocie podtrzymał swoją decyzję. A później wyszedł ze szpitala.

W chwilę później matka dostała się na oddział i stwierdziła, że stan chłopca jest bardzo poważny. Pielęgniarka uspokoiła ją jednak, że jeżeli pan Ordynator nie podejmie do 15.00 jakiejś decyzji, to po tej godzinie dyżur obejmuje Lekarz. A on nigdy nie przejdzie obok chorego dziecka.

I tak się stało. Lekarz zaraz po objęciu dyżuru podłączył dziecko do kroplówki, za co później pan Ordynator zrobił mu karczemną awanturę.

Ponoć do Lekarsza ludzie walał drzwiami i oknami. Mają zaufanie. Lekarz jest Arabem... Na koniec dwie refleksje:

Refleksja I: Jak wobec opisanych wyżej (doświadczenie życiowe podpowiada, że nie jednostkowych) obyczajów w służbie zdrowia wygląda jedna z największych zbrodni ustrojowych — bezpłatne leczenie?

Refleksja II: Lapówek w służbie zdrowia nie wykorzystano do postępowania karnymi. Sytuację może uzdrowić tylko „samoooczyszczanie się” środowiska. Lekarze słusznie mówią, że także podniesienie legalnych zarobków. Od czego jednak trzeba zacząć? Dlatego żyćce powodzenia prokuratorom z Fabrycznej.

BOGDAN DALESZAK



Foto: Grzegorz Gałasiński

Trzecią lapówkę pani Ordynator zainkasowała w dniu wypisywania chorej ze szpitala. Naczelniczka przyzwała wówczas z ogromnym bukietem kwiatów. Matka była już ubrana, karta informacyjna leczenia szpitalnego była już wypisana, a pani Ordynator była bardzo miła. Wprawdzie choroba matki nie jest do wyleczenia, ale wystarczy dobra opieka lekarska, a gdyby pogorszyło się bardzo, córka ma natychmiast dowieźć matkę do szpitala. O braku miejsc już się nie mówiło.

Tym razem naczelniczka przyniosła 70 000. Tyle miała dać, gdyby pani Ordynator oświadczyła, co było praktykowane, że chora zatrzymana zostanie jeszcze tydzień. Dla kuracji, rekonwalescencji. Taka propozycja nie padła, więc Mielecka odliczyła starannie 50 000 i położyła pieniądze na biurku. Lekarka jeszcze raz wyraziła gotowość przyjęcia matki, kiedy będzie trzeba, o każdej porze dnia i nocy. Wy-

tor z gołymi rękami, kiedy nie miała co dać, tamta nie chciała w ogóle rozmawiać. Mówiła, że nie ma czasu, że jest bardzo zajęta i tyle się widziały. Zresztą co tam kilo schabu czy paczka kawy. W 1984 roku jakaś kobieta z wioski spotkana na szpitalnym korytarzu (jej 18-letni syn był ciężko chory) powiedziała jej, że jak chce żeby matka wyzdrowiała, to musi pani Ordynator dać „zielone”. Tylko skąd naczelniczka miała wziąć „zielone”? Bułlia, ale była szczęśliwa, że na złotych kach i prezentach skończy, że nie musi kombinować dolarów.

O tym, że warto „dać” także pani Doktor, przekonał Mielecka taksówkarz. Taki stały, zaprzyjaźniony, który mieszkał obok szpitala i miał telefon w domu. Przez dłuższy czas korytarza z usług innych taksówkarzy, ale ten brał stałe tylko 800 zł, mimo, że taksometr wybił 1100 i więcej. Inni dzielili, a ten z dacia był najtańszy. W sumie zwróciła z nim około 300 kurów.

chać nie może, bo nie ma karetki. Naczelniczka zaproponowała wówczas, żeby sprawę potraktował prywatnie i przyjechał własnym samochodem. Przyjechał, dostał 2000, a później już wszystkie przyjazdy traktowano jako „prywatne”, nawet wówczas, kiedy brał karetkę. Dawała zawsze po 2000. Dwukrotnie dała po 10 000, kiedy matka czuła się bardzo źle.

Lekarze są w szpitalu najważniejsi, ale dla chorego równie ważne są pielęgniarki i salowe. Kiedy w pobliżu nie ma lekarzy, nawet ważniejsze. I niezastąpione, kiedy trzeba zmienić bieliznę, podać lekarstwa, przynieść jedzenie poza godzinami wydawania posiłków. Więc dostawały i pielęgniarki i salowe.

Z pielęgniarek najwięcej dostała jedna. Najuczynniejsza, najtroskliwsza, najbardziej zaangażowana przy chorą. Nazwijmy ją Pielęgniarką Pierwszą. Tylko Pielęgniarka Pierwsza dostała co najmniej 100 000 zł

K

amienica przy ulicy Nawrot 13 nie wzbudza już wśród przechodniów żadnych przykrych skojarzeń. Od wybuchu minęły ponad dwa tygodnie, a kłopoty i troski dnia codziennego skutecznie przytłumiły emocje związane z kolejną, gazową tragedią. Gdyby nie zabita deskami brama wejściowa i okalający zachodnią część domu świeży parkan — nikt by nań nie zwrócił uwagi. Okien pustych już nie ma. Puste są mieszkania, bowiem lokatorzy części frontowej nie będą tu mieszkali, już się przeprowadzają. Zresztą nie tylko oni, niektórzy z oficyj też już otrzymali nowe lokum, lub o nie walczą, ewentualnie ich sprawa ma się rozstrzygnąć w najbliższych tygodniach. Z 36 rodzin (a nie 26, jak uparcie podawały niektóre gazety, tyle było wy-

nier Henryk Kalarus. Chłonce ze wspomnianego wyżej urzędu są czynni: ani na moment nie zostawia mnie samego z „krakusem” nie mogę zamienić swobodnie ani słowa. Dowiaduję się jednak, że komisja ekspertów w pełnym składzie zjawi się za dwa dni, a Henryk Kalarus, na pożegnanie, raczy mnie ładną historią o zatruciu gazem w Krośnie bodaj i okolicach. Stara to już historia, ale pouczająca. Winne były wadliwie działające ogrzewacze gazowe. Po stosownej ekspertyzie stosowne władze wydały stosowne zalecenia, które jak to bywa — nie przyniosły większych efektów, bo ludziska nadal używają gazowych ogrzewaczy...

Małżeństwo Maroszków szuka się do ostatniego noclegu w „Mazowieckim”. Za kilka dni ich nowy adres brzmiał będzie: ulica Tuszyńska, osiedle Chojny-Zatorze. A dla może-

do nas w osobie ojca Stefana, który bez komentarzy wręczył każdemu „na głowę”, po 5 tysięcy złotych. Później, po niedzielnym kwiecie, każda rodzina otrzymała jeszcze po 10 tysięcy.

To bardzo ciekawa kamienica! Jak i sam lokatorzy. Jeden z nich, zapewne będąc jeszcze w szoku, przekazał do Muzeum Wnętrz wspaniałe, secesyjne meble; nawet nie próbował na czterdziestu kilku metrach nowego lokum ustawić pięknych i stylowych kredensów, komód, szaf i kompletu „jadalnego” na 16 osób... Dowiedziałem się także, iż w jednym z mieszkań zachowała się w doskonałym stanie oryginalna kryjówka; z niewielkiego pomieszczenia ukrytego pod parkietem w pokoju na piętrze wyjście prowadziło do... piwnicy. Doskonałe zakamufLOWANA skrytka sprawnie funkcjonowała przed wojną, w czasie okupacji, a ostatniego „lokatora” miała jeszcze na początku lat pięćdziesiątych...

Kolejną ciekawostkę dorzucił dwa dni później kierujący grupą ekspertów z Krakowa docent Ryszard Mielniowski.

— Oryginalny budynek, i mocny. A wie pan, że zachowała się tu jeszcze prawie w całości stara, gazowa instalacja oświetleniowa? Tak, z wyjściem w poszczególnych pokojach. Ale niech się pan nie obawia, nie było możliwości, by do niej przedostał się gaz z czynnej instalacji.

Deski w bramie zdjęto, odsłonięto znów pokrzywione belki stropu, sterty gruzu, zawalone piwnice. Wybielony tylny mur wyburza się stamtąd kolejny krakowianin — doktor Ryszard Zajda. Ale już obok mam dwóch „aniołów” — pana Krzysztofa i prokuratora Smakowskiego. Szanowny ekspert wie, że nie może „posypać” żadnych szczegółów. Choć miałby ochotę...

— No cóż, wie pan, jak to stare domy, mocne, solidne konstrukcje wytrzymują dziesięć lat, ale nie instalacje. Znamy to doskonale z własnego, krakowskiego, podwórka. Nikt nie przewidywał kiedyś takiego zatłoczenia ulic, którymi kursują wielotonowe drogowe kołosa. Ściany osiadają, przemieszczają się, wszelkiego typu rury też nie wytrzymują...

Ekspert chce jeszcze dostać się do piwnicy od strony chodnika. Zgrzytała gwoździe w deskach, ekipa sięga po łatar-ki, gdy jak spod ziemi wyrasta „konkurencja”. — Wiesław Machajko i jego kamerzyści. Usłyszeli od prokuratora to samo co i ja: że eksperci mają ustalić przyczynę wybuchu, epicentrum i kierunek fali wybuchu, że śledztwo trwa...

Z zastępcą naczelnika śródmiejskiej dzielnicy Aleksandrem Sową siedzę nad grubą teczką pełną papierzyków związanych z hasłem „Nawrot 13”. Znam już szczegóły prac zespołów powołanych do badania przyczyn katastrofy i stanu technicznego po wypadku. Przyczyna: korozja rur w piwnicy. Tak można to określić najkrócej. Po drugie: frontowa część budynku nie nadaje się do zamieszkania. Ale zanim do remontu przystąpią ekipy PBK „Zachód”, niezbędne jest przeprowadzenie ekspertyzy i stworzenie stosownej dokumentacji. A ludzie muszą gdzieś mieszkać, w domu przy ulicy Nawrot nie chce pozostać żaden z lokatorów.

Pięciu naczelników dzielnic umówiło się, iż każdy daje „do puli” trzy mieszkania. Na wypadek nieszczęścia, dla tego, w którego dzielnicy by się coś przytrafiło. I teraz to awaryjne rozwiązanie przydało się. Przykład? Choćby rodzina państwa Białków. Mieli dwa pokoje z kuchnią o powierzchni 69 metrów, jako zastępcę, teraz mają siedem metrów mniej, ale zyskali centralne ogrzewanie, otrzymali mieszkanie typu M-4 w bloku komunalnym przy ulicy Ogniskowej.

— Ile rodzin pozostaje jeszcze dziś, po dwóch tygodniach bez mieszkania?

— Chce pan powiedzieć bez nowego mieszkania? Czynimy starania by znaleźć mieszkania dla wszystkich lokatorów i przeprowadzić kompleksowy remont kamienicy. Może uda się podłączyć do sieci centralnego? Zobaczymy. A na teraz: dwadzieścia pięć rodzin otrzymało już mieszkania, z tego dwadzieścia jeden w lokalach komunalnych. Z pozostałych jedenaście rodzin część, a dokładnie sześć, ma jeszcze szanse na mieszkania spółdzielcze, bo są członkami

spółdzielni. I te sprawy staramy się przyspieszyć, niezależnie od statusu w spółdzielni.

Zastępcą dyrektora do spraw technicznych „Gazowni” — Jerzy Śrudka jest jednak nieco zdenerwowany, choć — jak wiem — sprawy z gazem związane ma „w małym palcu”.

— Obecna sytuacja nie powstała w ciągu roku czy dwóch — narastała latami: dziesiątkami lat. Sieć żeliwna? Mamy jej ponad 80 kilometrów w mieście, niemal wyłącznie w śródmieściu. Taka sieć moim zdaniem jest wieczna; połączenia rur uszczelnione sznurkiem, ołowiem i asfaltem wytrzymują wszystko.

— Tylko nie wielotonowe pojazdy nad sobą?

— Między innymi. Próchnika musieliśmy „wyciąć”, bo trzeba wymienić około 800 metrów rur żeliwnych. Ale przebiegająca po sąsiedztwie Jaracza wytrzymuje więcej, zbudowana między innymi z bardziej odpornej „kostki”.

— Na jakiej głębokości powinny leżeć gazowe przewody?

— Teoretycznie od 65 do 120 centymetrów. Ale są miejsca, choćby na Retkini, gdzie znalazły się na trzech metrach, a na Olechowie leżą... na powierzchni.

— Ile wam brakuje rur i kiedy zamierzacie wymieniać inne odcinki zużytych gazociągów... Czy macie precyzyjny plan czy raczej zaczniecie tam, gdzie będą sygnały o nieszczelnościach?

— Plan? Mamy. Jest to kilkadziesiąt ulic centrum miasta. A kiedy? Tego nie wie nikt... Zapotrzebowania nasze opiewała na 50–60 kilometrów rur rocznie, a otrzymujemy — 5–6 kilometrów...

— Gdy żeliwnego nie jesteście w stanie wymienić szybko i skutecznie, to?

— Bedziemy, co jest w pewnej mierze nowatorskim rozwiązaniem w skali kraju uszczelniać stare żeliwo, zaklejać. Życie nas do tego zmusza...

— W czasie ślarszystych mrozów będziemy „dogrzewać” się gazem...

— Oczywiście. Przeciętne zużycie gazu wynosi w Łodzi 21 tysięcy metrów sześciennych na godzinę, a zima wzrasta do... 37 tysięcy.

— Gazem ziemnym, w przeciwieństwie do koksowniczego, nie sposób się otruć...

— To też nie całkiem prawdziwe. Przy intensywnym spalaniu, na przykład zapaleniu kilku palników i piekarnika a brak intensywnej wentylacji — powstaje tyle spalin, że i wówczas może to być groźne dla życia.

Wiceprezydent Stanisław Zajączny jest realistą, wie doskonale, że nie ma ni jak gotowego zastrzyku finansowego ani praktycznych możliwości szybkiego wyremontowania pajęczej sieci podziemnych przewodów.

Musimy sukcesywnie wymieniać te najstarsze gazowe połączenia, a dotyczy to głównie śródmieścia. Problem jest bardzo trudny, przeszkód — jak choćby niedostatek rur — jest bardzo dużo. Tak zwana stara zabudowa musimy poddać kompleksowemu przeglądowi, w wielu domach równie w wyniku tak zwanych dogoszczeń, doszło do różnego typu instalacyjnych nieprawidłowości, co spowodowało, że choćby do braku kanałów wentylacyjnych. Tak więc uporządkowanie wszystkich spraw związanych z bezpiecznym korzystaniem z sieci gazowej oznaczać będzie przegląd i wymianę instalacji, ale może się także zdarzyć, że trzeba będzie wstrzymać dostawę gazu tam gdzie ze względu choćby na brak odpowiedniej wentylacji korzystanie z niego stanowiłoby potencjalne zagrożenie...

Znowu wybuch

GRZEGORZ GALASIŃSKI

Kolejna tragedia, związana z wybuchem gazu zdarzyła się w ubiegły wtorek, w jednym z mieszkań starej, bałuckiej oficyny przy ul. Zielnej 7.

W wyniku eksplozji i krótkotrwałego pożaru bardzo ciężkich obrażeń doznał mieszkający tu od 1954 r. Jerzy Kuśmirek; poparzenia obejmują 80 proc. powierzchni ciała. Dokładną godzinę eksplozji — 17.53 — wskazał stłuczony zegarek poszkodowanego.

Drobne obrażenia odniosło również małe dziecko sąsiadów.

Potężny wybuch zniszczył ścianę szczytową budynku na wysokości II piętra, od strony korytarzy — co było raczej szczególnym przypadkiem, bowiem w przeciwnym razie ofiar mogłoby być więcej.

Komisja ustalająca przyczyny wybuchu rozpatruje dwie możliwe wersje: nieszczelność zaworu w kuchence, znajdującego się tuż przy drzwiach wejściowych do mieszkania Jerzego Kuśmireka lub uszkodzenie instalacji gazowej, znajdującej się w korytarzu. Za tą ostatnią przemawia fakt, że eksplozja nastąpiła w sieni, natomiast zniszczenia w mieszkaniu były stosunkowo niewielkie.

Na piętrze, gdzie nastąpił wybuch zamieszkiwało 6 rodzin, natomiast w całej oficynie 14. Wszyscy lokatorzy zostali odczerpnięci, odpowiednią opieką. Część ewakuowano do hoteli.

Na przykład kamienica przy ulicy Nawrot 13

Po wybuchu...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI



Foto: Grzegorz Galasiński

łącznie lokal... żadna nie chce tu zostać. Dla nich wspomnienie jest zbyt silne, to uraz, ślad, który w psychice wyrzył się koszmarnym wspomnieniem ogłuszającego wybuchu, krzyku, sygnalizacji się szkła...

— Mielście szczęście — tłumaczy im najroźniejszy „fachowcy” — gdyby to był współczesny blok, ta piękna betonowa płyta, to złożyłby się jak domek z kart...

A jednak na Nawrot nie chcą zostać, wolą nawet do bloków, tych z płyty.

— A prasa skąd się tu wzięła?... — pan Krzysztof, z wydziału „dochodzeniowo-śledczego” jednego z, bardziej znanych wojewódzkich urzędów jest szczególnie zaskoczony. I ma prawo. Przez wybita w dwa dni po wybuchu w zachodniej ścianie budynku „furtę” wchodził bowiem na podwórko-studnię w chwili, gdy kilkanaście osób zaczyna dokładne oględziny bramy i zdemolowanych piwnic. Łut szczęścia, dziennikarski „nos”, — przypadkiem zjawiam się w momencie, gdy rozpoczyna pracę jakaś specjalistyczna komisja, (jeszcze nie wiem jaka...) a ja się już nie dam wyprowadzić.

— Ma się te kontakty... — rzucam enigmatycznie, bo w dzisiejszy przypadek i tak nie uwierzysz. — Chyba i ja mogę się z szanowną komisją zabrać? — dodaje i ocham się bezczelnie tuż za prokuratorem Bolesławem Smakowskim.

— Żadnych rozmów, żadnych wywiadów... — ucina krótko, gdy nieśmiało próbuje ować o cel dzisiejszej wycieczki. — Za wcześnie na jakiegokolwiek ustalenia czy opinie wszystkich, redaktorze, w swoim czasie, nasza żmudna robota dopiero się zaczęła...

Niedobrze. Nikt ze mną nie chce słowa zamienić. Każdy, zagadnięty wije się jak pisarz, a pan Krzysztof tylko palcem grozi. Ale o paru minutach już wiem, że na zlecenie Prokuratury Wojewódzkiej przyjeżdża specjalista z krakowskiego Instytutu Górniczo-Naftowego i Gazownictwa. Dziś, na wstępny rekonesans, zjawił się solo inżynier

my już o wydarzeniach feralnej niedzieli i kilku dni po niej porozmawiać znacznie spokojniej.

— Wle pan, dziś wspominam to jak kiepski horror — pan Marek Maroszek zaprasza do hotelowego stolika z filiżankami parującej herbaty. — Byliśmy w pierwszych godzinach, a nawet dnach pozostawieni samym sobie. Zdesperowani, niepełni jutra odwiedzaaliśmy w parę osób łódzka telewizję, wysłaliśmy też kilka telegramów obisujących naszą sytuację do osób i instytucji, które — mieliśmy nadzieję — mogły ten stan rzeczy zmienić. Poszły więc telegramy i do Komitetu Łódzkiego PZPR i na ręce I sekretarza KC...

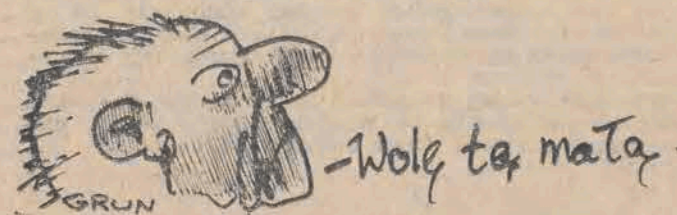
— Gdy pierwsze emocje minęły, gdy znaleźli się dla nas pokoje i obiady, zainteresowanie władz wyraźnie zmalało — Joanna Maroszek opowiada, iż trzeciego dnia zniknęły także milicyjne posterunki, a przecież sporo mieszkańców miało uszkodzone zamki w drzwiach bądź tych drzwi w ogóle nie było. To można by naprawdę nieźle książkę napisać: jak warowaliśmy przed domem, jak sami zabijaliśmy dymniki, by ktoś niepowołany nie zainteresował się naszymi mieszkaniem, jak przyszli szklarze, a byli tak „siabi”, że potulili dopiero co wprawiona szybę. Jeden był tak pijany, że maż wyrzucił go z mieszkania, choć tamten rwał się do roboty...

— Przy takim nieszczęściu zawsze wynika historia, w którą, gdybym tego nie przewidyła, pewnie bym nie uwierzyła — dorzuca obecna przy naszej rozmowie inna lokatorka domu przy ulicy Nawrot 13, Małgorzata Majewska. — Jedną z sąsiadek musiała zdobyć na przykład formalne zaświadczenie, że był wybuch, bo nikt nie chciał jej usprawiedliwić nieobecności w pracy ani przyznać okolicznościowego urlopu...

— Jaka otrzymaliśmy pomoc finansową? — pan Marek jest precyzyjny, sięga do swych notatek — każda rodzina dostała w granicach 25–30 tysięcy z PKPS, z PCK — koldry, powłoczki, koce, pidżamy. No i kościół przyszedł sam



NOWE ATENY Andrzeja grunA



Barbara Baron

Mrówki

były raz mrówki mieszkaly w torbie cukru pięciokilowej z miesięcznego przydziału na dwie osoby zimą w cukrze było ciepło jak w igloo żarcie pod nosem i słodki słodki sen wiosną już nie wstały wyciągnęłyśmy zwłoki łyżeczką do herbaty a cukru mogło im starczyć na całe życie

Myszka

po szklanym stoju będziesz wspinać się myszko pod przewieszka z glinianej misy w której czeka na ciebie słonina ile razy odpadnie od ściany ile razy pazurki ześlizgną się po bezlistnie gładkiej powierzchni przed upływem światła gdy z białej ceraty na która tyle razy upadałaś wezmą na następna noc zielony ogórek na którym zostawiałaś głodne ślady swej przegwizdanej walki o byt

Apetyty

napła ochota na racuchy z konfiturą pozbawilo robaczki domków z czereśni że wily się apetycznie na rozgrzanych kamieniach ku mrówkom stadem sunącym na niespodziewany obiad

Prezent dla psa

jeden cios kła jeden ruch pazura i już barania głowa wyzwolona z trybuny ludu starej poślizniętej która porcie miała przynajmniej wizualnej niespodziance dla psa gdy ten z nosem przy ziemi klusował przez las

a teraz wgrzy się uszczęśliwiony w rozdzieloną w niego mariwa paszczę schrupawszy najpierw oczy jak landrynki bo głupio tak pryskiem w pysk zataić się choćby najsmaczniejszym mózgiem gdy czujnie otwarte powieki udają żywe

Z premiera „Nabucco” zwlekaliśmy długo — oświadczył dyr. Pietras w programie wydrukowanym z okazji pierwszej w nowym sezonie artystycznym premiery łódzkiego Teatru Wielkiego.

Jest faktem, że wspomnianemu dziełu nie szczęściło się specjalnie w naszym kraju. Kiedy po stułetniej przerwie, w r. 1968, miało być zaprezentowane we Wrocławiu, zdjęła je przed premierą cenzura. Dopiero w 1983 r. wystawione zostało w Bytomiu (z Romualdem Tesarowiczem w roli Zachariasza), a w rok później w Gdańsku (z Florianem Skulskim w roli Nabucco).

Z obecności „Nabuchodonozora” — bo i taki tytuł jest

kontentowaniem, sycąc uszy pełnią brzmienia blachy, porównując mimowolnie np. ładnie grające wiolonczele z tak często nieprecyzyjnymi w działaniu i nieraz przeze mnie krytykowanymi ich odpowiednikami w orkiestrze filharmonii. Pst! O nieobecnych nie mówię się źle, a filharmonicy bawią akurat za granicą...

„Nabucco” nie bez słuszności uważany jest za operę zdominowaną przez chóry. Jak wiadomo przebieg numer 1 stanowi w niej śpiewana przez chór unisono (co jest ulubionym Verdiowskim efektem) melodia „Va, pensiero...” („Leć, myśli, na skrzydłach złotych!”). Wspomnę, że tę wzruszającą zespółową modlitwę, jako jedyną bisowano w trakcie trzech ko-

Nabucco, czyli spełnione oczekiwania

prawomocny — w repertuarze naszego Teatru Wielkiego można się tylko cieszyć. Opera obrosła pewną legendą, gdyż podobnie jak grane wcześniej „Fidello” Beethovena i „Zydówka” Halévy’ego reprezentuje tzw. nurt wolnościowy. Akcja osadzona jest mianowicie w czasach niewoli babilońskiej narodu żydowskiego i zawiera wiele motywów uniwersalnych. Nic dziwnego, że w XIX wieku ożywione patriotycznymi uczuciami społeczeństwo włoskie reagowało na pierwsze spektakle „Nabucco” tak spontanicznie, iż okupacyjne władze austriackie nakazały wkrótce zdjęcie tej opery z afisza, podobnie, jak po latach uczynili to zarządcy carscy w stosunku do „Strasznego dworu”.

Opera Verdiego stanowi pozycję o niekwestionowanych walorach muzycznych. Przygotowujący premierę kapelmistrz Andrzej Straszynski powiedział mi: „Nabucco” stawia w warstwie wokalne najwyższe wymagania. To dzieło 29-letniego twórcy pochodzi przecież z epoki Paganiniego i Liszta. Charakterystyczne, że bel canto połączone zostało tu ze skrajnymi emocjami. Stąd w wykonaniu tak bardzo potrzebna jest kontrola intelektu. Myślę zresztą, że do tzw. „młodego Verdiego” trzeba dojrzeć, gdyż niezbędne okazuje się w tym wypadku dokładne sprezyzowanie, stylu i dookreślenie się estetyczne”.

Jak te deklaracje mają się do wykreowanej rzeczywistości scenicznej? Cóż, może chyba powiedzieć, że do „młodego Verdiego” zespół łódzkiego teatru dojrzał w pełni i potrafi rzeczono arcydzieło przekazać w sposób właściwy i interesujący.

Już bardzo sprawnie, z wigorem i urozmaiconą dynamiką odtworzona uwertura mogła stanowić wręcz zaskoczenie. To jakby nie ta sama orkiestra, która po galowych zapowiedziach sezonu (26. IX i 3. X) zapisała się w pamięci fałszami „drzewa” podczas Andante z Koncertu fortepianowego C-dur Mozarta i słabutkim kwintetem smyczkowym w przedstawianych fragmentach „Toski”. Tym razem — jak się okazało — orkiestra przygotowana została wyjątkowo solidnie i przez cztery akty słuchałem jej z u-

lejnymi premierowymi wieczorów. Chórzyści faktycznie pokazali się od jak najlepszej strony. Sprawującemu nad nimi artystyczną opiekę Leonowi Zaborowskiemu składam wyrazy uznania za rzetelną i przynoszącą ewidentne rezultaty pracę. Tak trzymać!

Z niekłamana satysfakcją stwierdzam, że na pierwszej, sobotniej premierze wszyscy, bez wyjątku, soliści spisali się wyśmienicie. Ich poziom był całkowicie wyrównany i godny najlepszych scen europejskich. W tej obsadzie spektakl można już dziś śmiało eksportować, choćby i do ojczyzny Verdiego! Szczególnie odpowiedzialną partię Abigaille z techniczną perfekcją i ogromną muzikalnością wykonywała Joanna Cortés (wspomnę, że za znakomite aktorstwo, samym spojrzeniem i gestem potrafiła ona powiedzieć o charakterze srogiej babilońskiej władczyni niemal wszystkich). Wybitną kreację stworzył w roli Nabucca gościnnie występujący Florian Skulski, łączący wirtuozerie wokalne z wszechstronnymi środkami wyrazu scenicznego. Na wielkie brawa zasłużyli ponadto: Romuald Tesarowicz (Zachariasz), Jolanta Bibel (Fenena), Zygmunt Zajac (Ismaele), Zdzisław Krzywiński (arcykapłan), Roman Werliński (Abdallo) i Elżbieta Gorzadek (Anna).

Głównym bohaterem drugiej premiery został, obdarzony silnym głosem i ciekawą osobowością, Andrzej Malinowski (Zachariasz). Irena Głowaty w roli Abigaille nie spełniła, niestety, w pełni oczekiwań. Głos ma wprawdzie nośny, lecz trochę niewyrównany dynamicznie, ze skłonnością do „podciągania” tonów w wysokim rejestrze. Także Jerzy Jadcak (jako Nabucco) nie zaimponował szczególnie perfekcją. Zaś trzeciego dnia Tomasz Fitas (partia Zachariasza) wzbudził już istotne zastrzeżenia uchybieniami intonacyjnymi i nierazkim niedopracowaniem frazy. Wydało się też, że i Ewa Karaszkiewicz (Abigaille) podjęła się roli przekraczającej formatem jej naturalne, bardziej kameralne predyspozycje głosowe. Korzystnie wypadł to debiutujący w roli tytułowej Zbigniew Macias, którego głos, jak mniemam, będzie się jeszcze rozwijał.



Joanna Cortés (Abigaille)

Foto: Chwałisław Zieliński

Spektakl podkreślić chcę jeszcze trafność ogólnej koncepcji interpretacyjnej A. Straszynskiego, przejawiającej się w dobrych tempach, czytelnym kulminacjach, logicznym kształtowaniu poszczególnych części.

Opera śpiewana była po włosku. Może nie wszystkim przypadło to do gustu, ale uzasadnienie tkwi w samej muzyce. Powstała ona, do tego szczególnie dźwięcznego języka, jest z nim zespółona, i każda zmiana powodować musi pewną deformację dzieła. Ale wersja polska będzie i tak, trzeba jedynie „troszkę” poczekać. Póki co, omówienie akcji w programie musi wystarczyć, musi zasugerować, że śpiewa się w „Nabucco” o sprawach bynajmniej nie blahych: o nadziei i przemocy, pogromie i klęsce, o wolności, miłości i nienawiści, o zdradzie, żądzy władzy, potrzebie wiary, pożądaniu i namienności, o pysze, niewoli, szatanu i śmierci, o wierności, spisku i terrorze. Jak na jedną operę, to i tak sporo.

Reżyser spektaklu, Marek Okopinski, skonstatował: „głównym twórcą łódzkiej wersji „Nabucco” jest w istocie dyrygent, bo też muzyka znajduje się zdecydowanie na pierwszym planie. Reżyser spełnił jedynie funkcję służebną, co nie oznacza, że stworzył tylko koncert w kostiumach. Verdi notabene tak właśnie wyobrażał sobie swoją operę. Chciał, by zawierała ona przede wszystkim sytuację do „wyspięwania się”. Celem, do którego zmierzam, była więc równowaga między tym, co płynnie z dźwięku i gestu”.

I niewątpliwie owa równowaga została osiągnięta, stając się stylistycznym wyróżnikiem realizacji. „Nabucco” pokazuje skomplikowany mechanizm „szekspirowskiej maszyny świata” z pełną powściągliwością, bez niefortunnego „gwałtu scenicznego” i nadużywania weryzmów. Ustatkowanie scen zbiorowych, stylizacja grupowych zachowań sprawia, że z tym większą siłą oddziałują środki aktorskie wymienionych wcześniej solistów, którzy po-

trafili tchnąć w swe role autentyzm, życie.

Udana i przekonująca op-prawa scenograficzna. Mariana Kołodzieja w sposób konsekwentny wykorzystuje elementy rzeźbiarskie i architektoniczne (kolumny z płaskorzeźbami, fryzy), nawiązując nawet aluzyjnie w III akcie do wiszących ogrodów Semiramidy. Mniej może udało się utrzymać w bieli kostiumów żydowskiego ludu (szczególnie niektóre nakrycia głowy) z uwagi na trudne do odparcia skojarzenia z współczesną... obsługą kuchni i szpitala.

W sumie łódzki „Nabucco” to duży, głównie muzyczny sukces, nadający poniekąd lokalnym solistom i zespołom status par excellence europejski. Oby tylko nie stracił za szybko nabranego dopiero co w żagle wiatru.

„Z tą operą rozpoczęła się moja kariera artystyczna” — stwierdził Giuseppe Verdi. Powyższe zdanie przytaczam za interesującą biografią włoskiego twórcy, pióra Henryka Swolkenia. Z tej zresztą książki pochodzą obszernie cytowane w programie, szkoda jednak, że z pominięciem muzycznej charakterystyki „Nabucco”. Jest też w teatralnym wydawnictwie kronika życia kompozytora oparta na książeczce z „Małej biblioteki operowej”, jest wyimek z „Orfeusza siedemdziesięcioletniego” V. Sheena, przepisana z przewodnika Kańskiego treść opery oraz reklama... „Orfeusza”, czyli firmowanej przez TW restauracji. Brak natomiast jakiegos tekstu oryginalnego, nie zapożyczanego. Bardzo to zatem skromnie wypadło...

JANUSZ JANYST

Giuseppe Verdi: Nabucco. Kierownictwo muzyczne — Andrzej Straszynski, reżyseria — Marek Okopinski, scenografia — Marian Kołodziej, kierownictwo chóru — Leon Zaborowski, ruch sceniczny — Czesław Eliński. Premiera w łódzkim Teatrze Wielkim 24 października 1987 r.

Udany debiut Mariusza Debicha

Poszedł w ślady ojca

W sali Filharmonii Narodowej w Warszawie odbył się koncert prowadzony przez dyplomanta Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie — Mariusza Debicha, syna znakomitego dyrygenta i kompozytora Henryka Debicha.

Młody dyrygent jest podwójnym dyplomantem: na Wydziale Kompozycji Teorii Muzyki i Rytmiki Łódzkiej Akademii Muzycznej ukończył studia, od r. 1984 studiował dyrygenturę u doc. Ryszarda Dudka w Akademii Muzycznej w Warszawie. Jego dyrygencki debiut wzbudził zrozumiałe zainteresowanie. Wraz z orkiestra symfoniczną Filharmonii Narodowej na koncercie występują soliści: Mariusz Niepółko grający na trąbce oraz Andrzej Sienkiewicz grający na puzonie.

Wśród słuchaczy na sali zasiadł Henryk Debich.

Koncert w Filharmonii Narodowej w Warszawie był sukcesem dyplomantów: wszyscy sa wychowankami Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie, jednej z najstarszych uczelni tego typu w Polsce.

Pierwszy „roboczy” koncert prowadzony przez Mariusza Debicha miał miejsce w Filharmonii im. Artura Malawskiego w Rzeszowie, która przeżywa swój pomyślny okres. Niedawno, z ogromnym sukcesem, wystawiano „Requiem polskie” Krzysztofa Pendereckiego pod batutą kompozytora.

Sukces odniosła IX Symfonia Ludwika van Beethovena. Na program, prowadzony przez Mariusza Debicha, złożyły się: Uwertura do dramatu Goethego „Egmont” Beethovena,

Amadeusza Mozarta Symfonia C-dur „Linzka”, oraz Józefa Haydna koncert obojowy. Jako solista z koncertem na oboju wystąpił Piotr Maćkowiak, wychowanek Akademii Muzycznej w Poznaniu.

Mariusz Debich poprowadził koncert dla młodzieży szkolnej, zaś następnego wieczoru koncert tzw. abonamentowy. Obok miłośników muzyki obecnych tu na każdym wieczorze, występ dyrygenta (któremu również przysłużył się ojciec) zgromadził przede wszystkim liczne rzesze młodzieży muzycznej. Rzeszów posiada filię Krakowskiej Akademii Muzycznej. Wydział Wychowania Muzycznego Wyższej Szkoły Pedagogicznej, preżny Zespół Szkół Muzycznych.

Współpraca Mariusza Debicha z zespołami muzyków Filharmonii w Rzeszowie układa-

ła się pomyślnie. Młody dyrygent, obok dobrego przygotowania profesjonalnego, wykazał się taktem, umiejętnością nawiązania kontaktu z zespołem, co bynajmniej nie jest tu sprawą nieważną.

Koncertem w rzeszowskiej Filharmonii Mariusz Debich rozpoczął swą zawodową pracę, wkrótce dyrygować będzie zespołem filharmonicznym w Białymstoku i w Bydgoszczy.

Wypada chyba żywić, by droga profesjonalnej pracy stała się w przyszłości drogą kariery i sukcesów.

C. BŁONSKA

Profesor Stefania Skwarczyńska

85-lecie urodzin Pani Profesor Stefania Skwarczyńskiej przypadające na dzień 17 listopada jest nie tylko okazją, aby choćby w sposób wielce skrócony określić zasługi Wielkiej Uczonej na rozległych polach humanistyki (historii i teorii literatury, genealogii literackiej, teatrologii oraz kultury życia naukowego), nie tylko możliwością ponownia gratulacji z okazji jubileuszu i najgorętszych życzeń zdrowia i dalszej owocnej pracy, ale bodzi refleksję nad rolą osobowości uczonego w sytuacji, kiedy owo pojęcie (uczonego, badacza) zostało powszechnie zastąpione przez określenie „pracownika naukowego”.

Należy bowiem Pani Profesor do tej wspaniałej (i niestety

— dziś już nielicznej) formacji Uczonych — Autorytetów, zaś ów autorytet wyrasta w równej mierze z Jej naukowego dorobku (często prekursorskiego, bowiem odkrywającego nie dostrzeżone problemy humanistyki), z Jej etosu badawczego — z kultury rzetelności, obiektywności i sprawiedliwości — podstawowych dyrektyw działań naukowych, w końcu (a jest to bardzo ważne) z cech osobowościowych Profesor Stefania Skwarczyńskiej, która Jej uczniowie, słuchacze i czytelnicy po dzień dzisiejszy nazywają i nazywać będą n a s z a Panią Profesor, Dwie postulatyczne Norwidowe wartości: Mądrość i Dobroć są najuchwytliwymi cechami Wielkiej Uczonej. Jej mądrość

oniemiała nas często, a Jej dobroć zawsze była zachęta, by nie ustawać w trudzie poszukiwania prawdy, dawała nadzieję, że to wewnętrzne „przezwyciężanie siebie” doprowadzi do postawy otwartości — gotowości na przyjęcie i dalsze pomnażanie wartości wiążących się ze wspólnotą ludzką, szacunku wobec g o d n o s c i innego — drugiego człowieka, naszego bliźniego.

Podziękowanie zatem za to niezwykle Dzieło Otwarte, jakim jest twórczość Pani Profesor, niech poprzedzi gratulacje, jakie składamy w dniu Jej jubileuszu, zaś nasze gorące życzenia zdrowia i dopisywania do tego Dzieła nowych rozdziałów nie są okazjonalne, bowiem twórczość i Osoba Czcigodnej Pani Profesor jest ważkim elementem współczesnej kompetencji kulturowej, z której wyrastamy i którą staramy się w miarę naszych możliwości realizować codziennie, nie tylko w sytuacjach jubileuszowych.

Drukowany poniżej fragment „Autobiografii” Profesor Stefania Skwarczyńskiej obejmujący lata 1951—1986 wprowadza zarazem w najistotniejsze zagadnienia problematyki badawczej Uczonej i ewokuje Jej związki z Łodzią.

W kłopotliwym okresie życiowym — stałam pozbawiona katedry w Uniwersytecie Łódzkim. A chciało mi się zeń w ogóle wyrugować. Ze jednak skończyło się tylko — to do czasu — na likwidacji Katedry Teorii Literatury, jest to zasługa niezwykłego w swej mądrości i szlachetności prof. dra Jana Szczepańskiego, wówczas upatrzono na rektora Uniwersytetu Łódzkiego. Otóż jako warunek przyjęcia tej godności postawił on pozostawienie mnie w Uniwersytecie w charakterze wykładowcy — zwłaszcza literatury powszechnej czy też literatur zachodnioeuropejskich. Ale po paru latach przywrócono Katedrę Teorii Literatury i — co więcej — nie tylko niebawem uczczono mnie jubileuszowo, ale dozwolono mi, bez zastrzeżeń, rozbudować ją na trzy zakłady, a mianowicie — jak już wspominałam na Zakład Teorii Literatury, na Zakład Teorii Dramatu i Teatru oraz na Zakład Filmu i TV, a następnie przekształcić Katedrę w Instytut.

Ala zanim jeszcze doszło do likwidacji Katedry Teorii Literatury i mnie razem z nią, a więc do niedoskiej ostatecznej katastrofy życiowej mojej rodziny, tak się złożyło, że zaczęłam się intensywnie interesować znaniami w czasie — a niekiedy i równocześnie — w pojmowaniu literatury i to nie zawsze w zgodzie z logiką historii, co pociąga za sobą zmiany w jej teoretycznej koncepcji, a w konsekwencji domaga się zmienności zasad badawczych. Często, ale bynajmniej nie zasadniczo, zmiany teoretycznej koncepcji literatury nie następują wyłącznie po sobie w kolejności czasowej, ale ujawniają się żywotnie na jednym przecięciu w czasie. Stąd należy je pojmować jako kierunki zarówno żywotnej poetyki i poezji, jak też w planie badań literackich, gdzie równie dobrze pojawiają się takim narastającym w czasie literatury, jak w walce ze sobą — równocześnie. Otóż owe kierunki, ich stosunek do konkretnego literatury i — ewentualnie — także do siebie wzajemnie, szczególnie mnie wówczas zainteresowały badawczo. Zamierzałam ująć ten temat w dwa tomy pod tytułem Systematyka głównych kierunków w badaniach literackich. Tom I, o stronach 315, wydany został przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe w roku 1948. Treść jego otwierało omówienie „Filologii”, a zamknęło ją omówienie „kierunku historyczno-literackiego, historii literatury i właściwego kierunku historyczno-literackiego”. Ale cóż? Książka nie była do nabycia w księgarniach. Nic też dziwnego, że recenzje jej echa ograniczyły się do dwóch wypowiedzi, a to prof. Juliusza Kleina w „Tygodniku Powszechnym” oraz — za granicą — prof. Manfreda Kridla, a to w „The American Slav and East European Review”.

Wprawdzie idea monograficznego opracowania kierunków w badaniach literackich nie przestawała mnie niekaż, ale zadowalałam się omówieniami tego czy innego kierunku tylko w poszczególnych rozprawach. Gdy jednak w spore lat później, bo w 1984 roku, otrzymałam propozycję ze strony Państwowego Wydawnictwa Naukowego powierzenia mi do publikacji książki o kierunkach w badaniach literackich, z radością się temu poddalam. To i owo wlażyłam do niej z owej swojej dawnej, zapomnianej już książki; tej nowej nadałam tytuł: Kierunki w badaniach literackich. Od romantyzmu do połowy XX w. Poszczególne w niej rozdziały zostały skupione w wielorozdziałowych pięciu częściach. Część pierwsza obejmowała Kierunki romantyczne i przedmarksofską rosyjską szkołę realizmu; część II — Kierunki pozytywistyczne i naturalistyczne, krytykę subiektywną i kierunki postpozytywistyczne; część III — Orientacje postocentryczne i kulturocentryczne w I połowie XX wieku; część IV — Orientacje egocentryczne i ostatnia część V — Badania marksistowskie. Książka ta została żywcem przyjęta przez krytykę, a młodzież studiująca literaturę uważa ją na ogół za pozytywną.

Naukowa moja pasja dla teorii literatury nie ograniczała się bynajmniej w wypowiedziach do jej tylko poświęconych książek i do tomów w ich cyklach. Problematyka teoretycznoliteracka, zwłaszcza o charakterze nowatorskim, domagała się ode mnie przede wszystkim jej poświęconych rozpraw i rozprawek publikowanych u nas w Polsce po polsku, a później także często za granicą — w językach obcych. A domagała się dlatego, że w tej postaci mogła łatwiej wywołać cenna naukowa replika. Zresztą — wprawdzie nie zawsze, ale często — owe rozprawy i rozprawki trafiały właśnie do moich książek zbudowanych właśnie z takich rozpraw. Znamienna pod tym względem jest moja książka pt. Szkice z zakresu teorii literatury, wydana w 1952 roku, w której dominują rozprawy dotyczące pasjonującej mnie ówczesnie tzw. literatury stosowanej. I równie znamienna jest moja ostatnia książka, która przynajmniej w połowie poświęcona jest problematyce teoretycznoliterackiej — książka pt. W obrębie literatury — teatru — kultury naukowej — wydana w 1985 r. przez Instytut Wydawniczy PAX — a odznaczona Nagrodą Narodowej Rady Kultury w 1986 r.

Specjalizacja naukowa w teorii literatury nie jest prosta, nie jest — powiedzmy — jednorozmiarowa. Nie da się potraktować jako coś, co przypomina jakby pewną sumę dotyczących jej przedmiotów, czegoś jakby słownika przynależnych do niej pojęć. Stanowi ona konsekwencję nadrzędnej wiedzy o literatu-



rze, a ściślej: o literaturach. Ma przecież u swego fundamentu solidną wiedzę nie tylko o literaturze jednego kraju, powiedzmy: ojczystego badacza, ale jak najszerzy krąg różnorodnych literatur — i to dwójako uporządkowanych. Nie tylko w kształt sumy różnych literatur ani w kształt zbliżonych do siebie wyborem jakichś dwóch przynajmniej literatur poddanych porównaniu — i — ewentualnie — doprowadzonych w ocenie do wniosku o charakterze ich i wartościach. Czyli teoria literatury musi mieć u swych podstaw znajomość historii literatury — i powinna o tym świadczyć przez twórcze wypadki badawcze na gruncie historycznej literatury i wielu literatur — zwłaszcza w ich wzajemnych podobieństwach i osiągnięciach. Otóż te szczególne komplikacje i zależności, te historyczne naróżnych gruntych „przejawy” literackie — to była droga, jaką wyznaczył mi czas historyczny moich studiów uniwersyteckich dla dotarcia do swegośkiego szczytu, jakim jest nadrzędna genetyczna nad wiedzą o literaturze — teoria literatury.

Jako studentka studiowałam — jak już wspominałam — literaturę polską i literaturę francuską — a to ze względem badawczym także do innych literatur romańskich; i czasem nie brakło w licznych moich rozprawach względów w literaturę niemiecką, angielską, a sporadycznie także i w literatury inne; zdarzały się nawet takie rozprawki, jak ogłoszona w 1959 roku rozprawka: Imaginacyjny opis Wielkiej w poemacie Erazma Darwina. Niewątpliwie jednak najwięcej spośród wszystkich literatur absorbowala mnie literatura polska. I to w zakresie swych szczytów. Wykładnikiem tego faktu była nie tylko moja pierwsza książka — z doby studentkiej — poświęcona Słowackiemu, ale i druga, wydana w roku 1934, poświęcona Mickiewiczowi pt. Rozwój wątków i obrazów w twórczości Mickiewicza, paralelna tematycznie z poprzednią, lecz na innej zasadzie konstrukcyjnej. Bytujac na szczytach polskiego romantyzmu — jakby zgodnie ze swoim mistrzem prof. J. Kleinem, nie zabrakło mi także książki poświęconej Krasińskiemu. Jest nią wydana w 1959 roku książka — monstre — bo zawiera aż 616 stron i tablic 36. Poświęcona Nie-boskiej komedii — jest ona równocześnie — przede wszystkim wkładem do historii teatru — głównie w Polsce, ale także i za granicą; niewątpliwie znajduje się tu pewne luki, a także i ich późniejsze dopełnienia w rozprawach, zebranych między innymi w tomie W kręgu wielkich romantyków polskich (1966, s. 490), gdzie znalazła się także ogłoszona w roku 1959 rozprawka: Inscenizacja „Nie-boskiej komedii” w Leningradzie. Uporczywie jednak powracałam w zakresie historii literatury zwłaszcza do Mickiewicza; i to nie tylko w licznych rozprawach, ale także w jeszcze jednej o nim książce, a mianowicie w wydanej przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe w 1964 r. książce pt. Mickiewicza „Historia przyszłości” i jej realizacji literackiej. (s. 200, tablic XIV). Nie jest mi znana żadna z niej recenzja, bo dać jej uległo zahamowaniu jej rozpowszechnianie. Wówczas przyszło mi na myśl, iż uczyniono to z kurtuazji dla profesora S. Pigonia, z którym w tej książce w pewnej sprawie się nie zgodziłam, acz w formie — zaiste — dwornej.

Oczywiście jako historyk literatury polskiej nie ograniczałam się do naszych największych, ani do omawiania odnośnych do nich spraw w języku polskim; sporo rozpraw, dotyczących naszej literatury, ukazało się także w języku francuskim, niemieckim, również w językach angielskim i rosyjskim, nie brakło języka węgierskiego oraz czeskiego. Jak już o tym wspominałam, nie zabrakło w moim dorobku jako historyka literatury prac poświęconych polskimi literaturami, począwszy od najbliższej mi literatury francuskiej. Sporo takich moich prac — prac dotyczących literatury, pozapolskich, a także ich związków z polską kul-

turą literacką — ogłoszonych zostało za granicą, a to bądź w czasopiśmie, bądź w księgach pamiątkowych „ku czci...”; sporo ich ukazywało się w moich książkach „zbiorowych”, jak między innymi w książce wydanej w roku 1975 pt. Pomiędzy historią a teorią literatury lub wczesniej: Wokół teatru i literatury. Studia i szkice (wyd. 1970, s. 366).

Ala teoria literatury nie tylko opiera się o samą historię literatury, a to w rozmaitych jej odmianach i odniesieniach. Opiera się także — i to nie tylko pośrednio poprzez podległe naukowe teje historii literatury we wszelkich jej precyzacjach, ale także, i to nierzadko, bezpośrednio w swej tematyce naukowej na potężnej w humanistyce dyscyplinie naukowej, jaką jest językoznawstwo. A w dodatku musi się liczyć teoria literatury z tą właśnie lingwistyczną specjalizacją naukową, bo ona to głównie powołała do życia — i to w kulturze naukowej europejskiej, bo w antyku greckim i łacińskim — awoista dyscyplinę naukową (ewentualnie: poddyscyplinę naukową), jaką jest przede wszystkim stylistyka, a z jej rozgałęzień wspomnieć tu można i wersologię. Tak więc teoria literatury zarysowuje się nam jako wyniosła kopuła nad szeregiem odnośnych do literatury nauk, dyscyplin i poddyscyplin. Reprezentuje ona nie jakiś zbiór zjawisk literackich, nie jakiś ich prostą sumę, ale żywotność tychże zjawisk — w rozkwicie i przemianach. Dlatego nie operuje ona — względnie nie powinna operować — niezmiennymi dogmatami. Jest więc jedną z nauk o życiu, a nie o niezmienności, o skamieniałości obiektu, którego dotyczy, a który przecież — powtórzmy — załamuje się także rozmaicie w czasie i w doświadczeniach różnych odbiorców.

Wydało mi się, że z tych właśnie, bardzo nieprostychozów, twórcza uprawa teorii literatury jest sprawą skomplikowaną i trudną, wymaga wielostronnej erudycji, a także u-wrażliwienia na subtelne nowatorstwo w poetyce twórczości różnych wieków, różnych krajów, twórców w bardzo różnych sytuacjach historycznych i żywotnych. Można by nadal — i to w kilku kierunkach — rozszerzać różne aspekty zależności teorii literatury, a to w zależności od spojrzenia na różne strony samej istoty literatury. Mogą dać o tym pojęcie już tu wymienione aspekty, a więc wypowiedzi, które nie są przecież rozprawą o naturze źródeł teorii literatury. Niemniej naukowe zadanie o tych sprawach wydaje się być warunkiem rzetelności, a więc sumienia literaturoznawcy. Nie zatem dziwnego, iż w wykładach, jak i w kontaktach dyskusyjnych z młodzieżą uniwersytecką wglądałam się raz po raz w te głębie istnych cętepów.

Zaangażowanie się w pracę nie tylko, aktualnie ważką nie ograniczało się w tych czasach do spraw nauki, a tym bardziej do spraw własnej dyscypliny naukowej. Zgodnie z wielką tradycją Polski, zwłaszcza Polski w rozbiorach, nie było innej legitymacji dla służby ojczyźnie jak poprzez zaangażowanie w idee i w trud społecznego. Jak to już tu było wspomniane, po paru latach podejmowania przez przeciwników prób dokuczenia, acz w rezultacie mało skutecznego, do odsunięcia w mojej osobie „przeciwnika” ponad ideowo-politycznego, doszło do udrównoprawienia nas wszystkich w działalności patriotyczno-społecznej. A w dodatku wspólnota w działaniu społecznym w Łodzi jeszcze na pierwszym etapie powojennym zdolała swymi osiągnięciami odebrać skuteczną „srogosć” etapowi następemu, jak i osiągnięciami z etapu pierwszego zbudować podłoże kolejnych etapów po owym etapie: „contra”. W pierwszym przeciw powojennym etapie Łódź funkcjonowała po części jak namiastka stolicy — Warszawy, znajdującej się wówczas w gruzach. I zaczęła się rozrastać nie tyle od strony licznych domów mieszkaniowych, lecz przede wszystkim — i to skutecznie — od strony szkolnictwa wyższego i najwyższego, które ściągalo nowych mieszka-

ców — patronując i z tej racji nad rozbudowę potężnych gmachów. Powstał nie tylko Uniwersytet Łódzki, ale i Akademia Medyczna oraz Politechnika. Powstały szkoły wyższe wszystkich, a różnych sztuk, czym nie może się pochwalic ani odbudowana Warszawa ani dostojny, pradawny Kraków. Nic więc dziwnego, iż Łódź bądź organizowała wówczas działalność kulturalną ważką dla całej Polski, bądź nawet w kontaktach z zagranicą. Dawny przemysł wytwórczy bynajmniej nie upadł, zrosł się swojsie w jedność z kulturą polską i przynajmniej częściowo ze światową. Rozszerzały się kontakty Łodzi ze światem. Rozszerzały się współtwórczo i twórczo stylem własnym.

Jeśli akcentujemy tutaj rozwój — kulturowy Łodzi i jej w tym względzie awans, wykraczający nawet poza ramy naszego państwa, to dlatego, iż fakt ten nie był bierny wobec osób zdolnych do wybicia się także poza ramy własnej ojczyzny. Wyraźnie poczuł się — zwłaszcza po wojnie — kulturowy kontakt naszej Łodzi także z pozapolskim szerokim światem, kontakt wyrażający się zarówno współpracą łódzkiej nauki i łódzkiej sztuki także z owym pozapolskim światem, jak i ze światowym uznaniem dla tej współpracy. Otóż ten stan rzeczy nie pozostał bierny także w stosunku do mnie, do moich trudności zarówno ogólnospołecznych, jak i naukowych.

Po szeregu różnorodnych podjętych do pracy naukowej i społecznej, którym zawdzięczałam różne osiągnięcia, nie zabrakło owej ostatniej dla mojej postawy twórczej podjętych, jaką była w toku dwóch dziesięcioleci lat podjęcia twórczego współdziałania w zakresie współpracy naukowej i społecznej z szerokim światem, zarysowującym się jako jedność wspólnoty ludzkiej. Warto podkreślić — ze wzruszeniem — iż niekiedy inicjatywę do tej wspólnoty dawała Polska, a bywało, iż w niej i Łódź.

Trudno tutaj dać pełny wykaz owych działań w imię i dla dobra wspólnoty ludzkiej, choćby tylko na gruncie literatury. W imię autobiograficznych „zessań” może warto przypomnieć mój udział w dyskusji na Międzynarodowej Sesji Naukowej PAN na temat: Adam Mickiewicz 1855—1955 (1958). Warto może powtórzyć wspomnianą już poprzednio sprawę założenia w Łodzi międzynarodowego czasopisma „Zagadnienia, Rodzajów Literackich — Woprosy Literaturnych žanrow — Les Problemes des Genres Litteraires”, czasopisma, które pozyskało uznanie w całym świecie, a to dzięki publikacji prac wybitnych uczonych oraz rozległości jego autorskiego zasięgu, bo zastąpiło się w Europie, Azji, Ameryce, Afryce, Australii. A dalej warto zaznaczyć z osobistego względu moje członkostwo w Komitecie Nauk o Literaturze PAN (1961 r.); uczestnictwo w Belgardzie na Kongresie AILC (1964 r.), uczestnictwo z referatem jako delegata Łodzi w Kongresie Kultury (1966 r.); przemówienia na uroczystości jubileuszowej J. Zawieskiego w Warszawie (1967 r.); udział w Konferencji AILC w Budapeszcie (1968 r.); udział w Międzynarodowym Kongresie Sławistów w Pradze; przewodnictwo Komisji Poetyki i Stylistyki Słowiańskiej Międzynarodowego Komitetu Sławistów (1970 r.); przewodnictwo i organizacja konferencji naukowych tegoż Komitetu Sławistów w Warszawie (1972 r.); tegoż Komitetu w Tihany (1974 r.), a także w Lipsku (1976 r.).

W tych źródłach sycących człowiecze pragnienia pod adresem przyszłości uderza to, iż jakby te właśnie społeczne ośrodki przygotowywały wówczas szczególnie ów czas, który miał nadejść. I który nadszedł. Wiadomo, walka o pokój, o rozbrojenie, opieka nad dziećmi i młodzieżą stały się hasłem dzisiejszego dnia, przygotowywanym wczoraj. I jakoś trafiającym nawet do naukowych prac literackich — wczoraj i dzisiaj. Bo niewątpliwie naukową treść ideową współpudują także właśnie przedstawienia, programy, poczynania. Im to i ja zawdzięczałam pewne aspekty ostatnich moich prac naukowych. Mam tu zwłaszcza na myśli swoją — jakżeż nagrodzoną mi przez nasze władze uznanie — książkę pt. W obrębie literatury — teatru — kultury naukowej (1985 r.). Zaprzęgałam dać w niej wyraz nie tylko pewnym poglądom dotyczącym teorii teatru, ale także ujęciu w literaturę człowieka w jego wierach i wizjach posmiertnego istnienia, a przede wszystkim — w ostatniej części książki — ukazaniu miłości do Polski uczonego francuskiego — Francka-Louisa Schoella w jego spojrzeniu na polską kulturę w świetle kultury europejskiej i w historii; i nie tylko w spojrzeniu na jej kulturę, ale także na jej losy, aktualne losy: podjął się on podczas ostatniej wojny roli obrońcy Polski przed jej deptaniem przez Niemców, Polski pozbawionej wówczas możliwości samobrony, w tym względzie... Stał się tą swoją postawą modelem człowieczeństwa wysokiej — może najwyższej rangi...

A tym stwierdzeniem można podnieść aż do wyżyn glorię walor natchnień, które życie w swym bogactwie poddaje uwadze i rozważdze badacza literatury, walor nie objęty także z perspektywy teorii literatury...

(fragment większej całości — druk: „Kwartalnik Historii i Nauki” nr 2/87).

STEFANIA SKWARCZYŃSKA

— A kim ty jesteś jeśli można wiedzieć? — drwiąco spytał Boris.

— Mnie nie wytoczono sprawy, tylko wezwano mnie i powiedziano: pojedź pan do Kańska, będzie pan tam mieszkał.

— Chodź się meldować?

— Chodzę.

— Paszport masz?

— Nigdy nie miałem radzieckiego paszportu.

— Masz prawo wyjechać?

— Nie.

— Znaczący jesteś taki sam, jak i my. A teraz idziemy.

Boris i Igor podeszli do okienka i wrócili: Igor z talerzem barszczu, Boris z chlebem i sztućcami.

— Jedź! — rozkazał Boris. — I nie śpiesz się, nikt ci nie zabiera.

Igor jadał milcząc, nachyliwszy się nad talerzem.

— Przecież jesteś artystą, możesz rysować portrety.

Igor położył łyżkę, wytarł palcem usta.

— Nie chcą, mówią, fotografie bardziej podobne i tańsze.

— Możesz malować jakies pejzażyki — nalegał Boris — tutaj to lubią, w klubie można dorobić przy święcie. Trzeba tylko ruszyć głową i nie uważać się arystokratą.

— Ja się nie uważam — wyszeptał Igor.

— Klamiesz, uważasz się. A mnie uważasz za parweniusza.

Igor pokręcił głową.

— Nie, nie za parweniusza.

— No to za kogo?

Igor spuścił głowę, jego język zasychał w powietrzu.

— Uważam cię za żłoba.

I jeszcze niżej nachylił się nad talerzem. Sasza nie mógł powstrzymać uśmiechu, Boris pobił.

— Dla mnie to nie nowina. Cham, parweniusz. Żłób — to jedno i to samo w Rosji. Nie wiem jak w Paryżu. Ale ponieważ parweniusze, to jest, przepraszam, żłoby, obowiązane są karmić panów szlachtę, to zostawiam ci siedem rubli — Boris wyjął z kieszeni i oddał siedem rubli — na dziesięć obiadów. Pieniądże zostawie w kuchni, bo przeżreś je w jeden dzień. No a potem, kiedy ugnieściesz te dziesięć obiadów, to albo znajdziesz sobie innego żłoba, co jest wykluczone, albo będziesz pracował, co jest wątpliwe, albo zdechniesz z głodu, co jest najbardziej prawdopodobne.

Podszedł do okienka, zamienił parę słów z kucharką, przekazał jej pieniądze. Z widocznym niezadowoleniem rzuciła je na talerz, służący jej za kasę.

Sasza wstał. Igor też wstał. Jego kaszkiet upadł, nachylił się i podniósł go.

Sasza oddał mu rękę.

— Do widzenia, mam nadzieję, że się w końcu jakoś urządzisz.

— Postaram się — odpowiedział Igor smutno.

— Bywaj! — sucho kiwnął mu Boris.

Rano pod dom podjechał woźnica w podartej kapocie, zafuszczonej uszance i zdeptanych igrzawkach. Na pomarszczonej twarzy zamiast brody rosła kępami rudawa szczecina, spoglądał z lekkiem i troską: czy aby nie wziął za tanią?

Sasza i Boris położyli na wóz rzeczy, gospodyni — torebkę z jedzeniem. I długo stała na ganku, patrząc za nimi.

Krocząc za wozem, Boris powiedział ze smutkiem:

— Co tu dużo mówić, dużo dla mnie zrobiła. W komendanturze czekali na nich etatowi towarzysze. Wołodia Kwaczadze — wysoki przystojny Gruzin w nowym czarnym waciaku, otrzymanym na miesiąc przed upływem kary obozu, a kara była: pięć lat; Iwaszkin, starszy człowiek, drukarz z Minska; Karcew, były pracownik Komsomolu z Moskwy, przetransportowany do Kańska z Wierchneurskiego więzienia politycznego po dziesięciodniowej głodówce.

Boris zastukał w okienko i zawiadomił, że wóz przyjechał, on, Solowiejczyk i Pankratow Aleksander Pawłowicz też już są.

— Poczekajcie!

Wołodia Kwaczadze trzymał się hardo, pochmurniał, milczał. Karcew też nie wdawał się w rozmowy, zamknawszy oczy, słaby, zmordowany, obojętny na wszystko.

— Drogi jeszcze nie ma i woźnica zdzielił sto rubli — powiedział Boris — na koszty podróży mamy pięćdziesiąt. Pozostałe trzeba będzie dopłacić.

Nawet nie mam zamiaru — ripostował Wołodia — niech oni dopłacają.

— Daj, ile się należy — wyjaśnił Boris — latem, oczywiście, można przejechać.

— To ja też mogę pojechać latem, nie śpiesz mi się — odpowiedział Wołodia — i w ogóle jest to czcza gadanina: nie mam pieniędzy.

— Ja też nie mam — nie podnosząc powiek, cicho odpowiedział Karcew.

— I ja nie mam — skruszonym głosem dodał Iwaszkin.

Okno się otworzyło.

— Iwaszkin... Podpiszcie!

Iwaszkin obejrzał się z zakłopotaniem.

Kwaczadze odsunął go, wsunął głowę w okienko.

— Dajecie po dziesięć rubli, a wóz kosztuje sto!

— Dajemy, ile się należy.

Boris schylił się do okna.

— Nie wszyscy mają pieniądze, co robić?

— Myśleć, co robić — padła odpowiedź.

— Wy powinniście myśleć! — krzyknął Wołodia.

— Wy! — Kwaczadze wałnął pięścią w okienko.

— Czego się awanturujecie?

— Poproście komendanta!

Iwaszkin pociągnął go za rękaw.

— Nie ma co urządzać awantur, chłopcy.

Wołodia rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

Pojawił się spasyjony mężczyzna z dwiema belkami na naszywkach.

— Kto zgłasza pretensje?

— Nie możemy i nie mamy obowiązku opłacać transportu — przez ramię rzucił Wołodia Kwaczadze.

— Idźcie pieszo.

— A rzeczy? Wy będziecie nieśli?

— Ty z kim rozmawiasz?

— Jest mi wszystko jedno, z kim... Pytam: kto poniesie rzeczy?

— Zwrot kosztów podróży następuje w wysokości ustalonej przez ludowego komisarza

spraw wewnętrznych — opanowując się, poinformował komendanta.

— Niech wasz komisarz ludowy sam jeździ za takie pieniądze.

— A ty co, z powrotem do obozu ci się zachciało?

Wołodia usiadł w kućki przy ścianie.

— Odsyłajcie!

— Potrafimy cię odesłać.

— A proszę!

— Eskorta! — krzyknął komendant.

Wyszło dwóch konwojentów, podnieśli Kwaczadze, związali mu ręce z tyłu.

— Od tego, że go związaliście, pieniędzy mu nie przybędzie — powiedział Sasza.

— Ty też chcesz?! — purpurowiejąc, wrzasnął komendant.

— Mnie też od tego pieniędzy nie przybędzie — spokojnie ciągnął Sasza.

Komendant odwrócił się i rozkazał:

— Niech wóz zajedzie na podwórze.

Kwaczadze wprowadził do wnętrza budynku komendanturę.

Iwaszkin kaszlnął.

— Dostanie się nam, chłopcy.

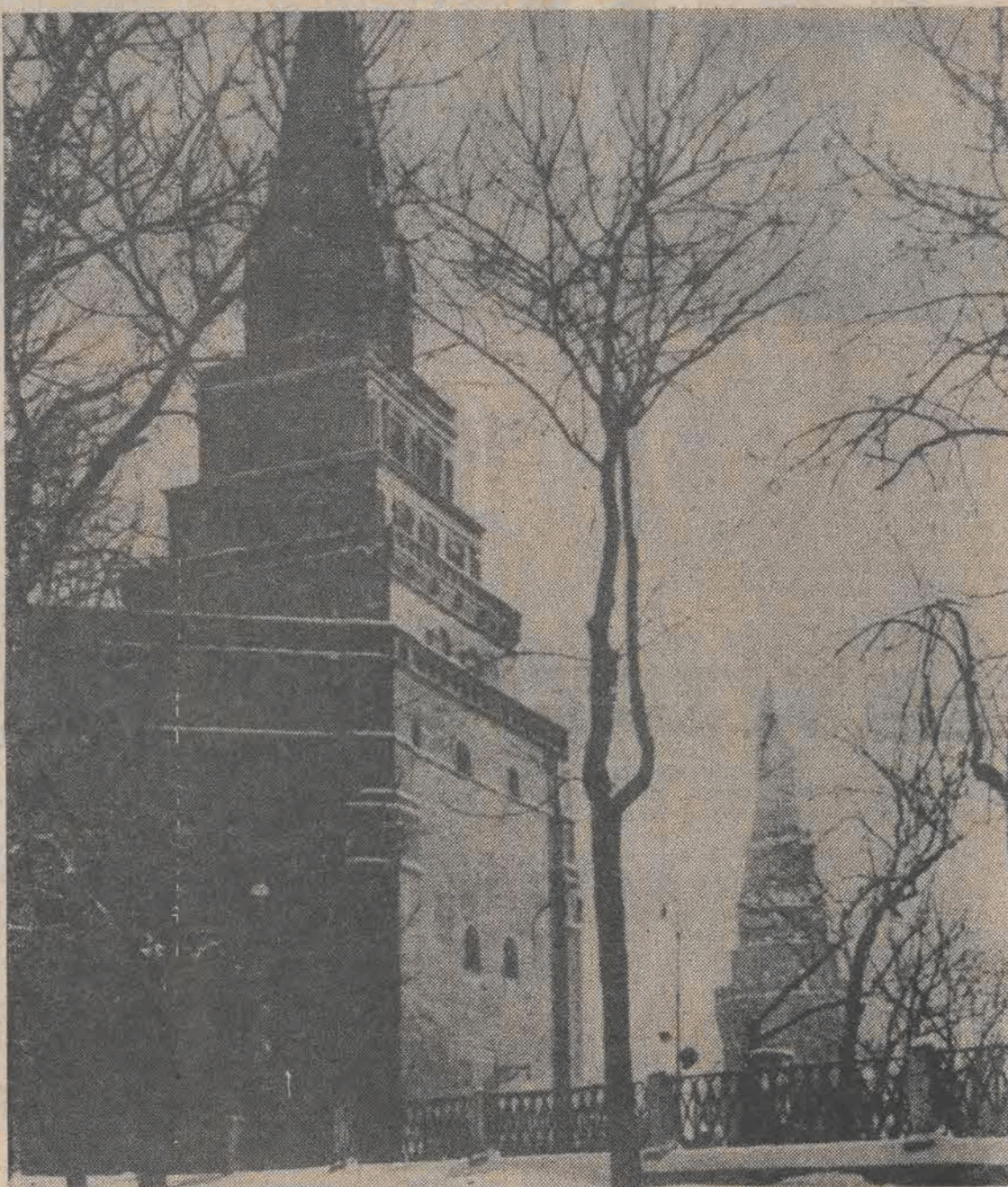
Otworzyło się okienko.

— Solowiejczyk!

Boris podszedł.

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



— Zapłaćcie teraz woźnicy, ile dostajecie za przejazd, resztę dopłaci pełnomocnik w Boguchanach. Przekazcie mu tę paczkę, tu są dokumenty dla wszystkich. Wychoźcie!

Wyszli na ulicę. Z bramy komendantury wyjechał wóz, za nim konno dwóch konwojentów z karabinami. Na wozie leżał związany Wołodia Kwaczadze, nieprzejednanie zezował czarnym złym okiem.

Partia ruszyła.

Pod ceglany murem stanęli chłopcy, na ławkach usiedli nauczyciele, a na ziemi — dziewczynki, wystrojone, radosne, uroczyste. Ukończyli dziewiątą klasę, ukończyli szkołę, roztapiają się z nią na zawsze. Tylko Waria nie przyszła w taki dzień! Ninę aż zatykało z oburzenia. Nie pożegnać się z klasą, z kolegami, z którymi spędziła dziewięć lat życia, nie zostawić na pamięć nawet fotografii! Nie pomyśleć, w jakiej sytuacji postawi ją, swoją siostrę, przed kolektywem pedagogicznym.

Kilka dni temu w pokoju nauczycielskim podszedł do niej matematyk, chwalił Warię — „uzdolniona panienska”. Słowo „panienka” nieprzejmnie ją ukłuło. W siostrze pojawiło się rzeczywiste coś ostentacyjnie niewspółczesnego, włosy nosiła z przedziałkami pośrodku, a nie ściągając ich po prostu w węzeł na karku, ale spuszczała na uszy, jak kobiety na starych portretach. I nabrała manieri przekrzykiwania głową, tak jakby patrzyła na wszystko z boku.

Słowo „panienka” Nina uważała za klasowo obce, a dlatego obrażliwie, przygotowała się na to, że rozmowa nie będzie należała do przyjemnych, ale on spoglądał życzliwie, fizyk i chemik też dobrze mówili o Warii, potakiwał im, Waria może się nie obawiać konkurencji, nikt z nich nie wątpił, że pójdzie na studia.

Nina zbyła ich ogólnikami: Waria i rysuje dobrze, i kreśli świetnie, a kiedy człowiek jest wszechstronnie uzdolniony, to trudno mu się odnaleźć... Nie będzie przecież przyznawała się

do tego, że siostra się z nią nie liczy, żyje, jak chce, i prowadzi się, jak chce.

Pali. Na pytanie, skąd takie drogie papierosy, „Hercegowina flor”, wąska paczka, dziewczynka, spokojnie odpowiedziała: „Kupiłam”. I na pytanie, dlaczego tak późno przychodzi do domu, gdzie bywa, tak samo krótko odpowiadała: „U znajomych”. Skąd miała pieniądze na papierosy, u jakich znajomych przesiaduje do rana — nie mówiła. Kiedy Nina spytała, kto daje jej zagraniczne płyty patefonowe, beczelnie przymrużyła oczy. „Przecież pracuję dla japońskiego wywiadu. Czyżbyś nie wiedziała?”

Z wyzwaniem powiedziała, prac do awantury. Nina opanowała trytację, uśmiechnęła się, jak z dowcipu.

— Myślę, że w wywiadzie wyżej cenią ludzi z wyższym wykształceniem. Obejrzyj się dookoła, Waria, w jakich czasach żyjemy. Każdy ma możliwość rozwijania swoich zdolności, czy to nie jest najważniejsze? Po co masz tracić lata, przecież wszyscy się uczą...

— To mnie nie interesuje, rozumiesz?

— A co cię interesuje? — krzyknęła Nina. — Sterczenie w bramie?!

W jaki sposób nawinęła jej się na język ta brama, nie wiedziała sama, rozumiała, że nie

(22)

Co wpaja jej Zofia Aleksandrowna. Przecież ona jest po przeciwnej stronie, dlatego, że Sasza też jest po przeciwnej stronie. Dziwnie, ale właśnie tak. Nina pamięta, jaki był Sasza w szkole, ale wzruszająca szkolna przyjaźń jest niedostateczna do politycznego zaufania. Dzieciństwo to dzieciństwo a życie to życie. Co zostało z ich paczki? Sasza zesłany. Maks na Dalekim Wschodzie. Ożenił się, na pewno, założył rodzinę. Szarok w prokuraturze. I to też jest dziwne. Jurka Szarok — sprawca ludzkich losów, prokurator, słowo, ucieleśniające dla Niny rycerską wierność rewolucji, a Sasza Pankratow — to zesłany kontrewolucjonista.

Ale jednak istnieje okrutna, lecz nieubłagana logika historii. Jeśliby oceniać komunistów jedynie według cech osobistych, to partia przekształciła się w amorficzną masę pięknoduchowskich inteligentów.

Zatem, kto zostaje? Wadim Marasiewicz? Jest po dawnemu serdeczny, kiedy się spotykają na Arbacie. Publikuje w gazetach i czasopismach, powodził mu się, jak i całej jego rodziny, a przecież władzę radziecką uznali w siedemnastym roku jej istnienia.

Waria stała boso na parapecie, w krótkiej wypłowiałej sukience, myła okno. Ciemne kropki zbiegały po rękach, pelżyły po szkle, ściekały w kałużę między ramami.

— Dlaczego nie przyszłaś się sfotografować?

— Zapomniałam. A jak mi się przypomniało, było już za późno.

— Chwała Bogu, że pamiętasz przynajmniej o pozostałych swoich sprawach.

Waria rzuciła ściągę do miski z wodą, namoczyła na podłogę.

— Nie sfotografowałam się — powysuwała szuflady, wyjęła fotografie, położyła na stole — to jest szósta klasa, to siódma, ósma. Zresztą, jest i dziewiąta, robiliśmy sobie zdjęcie jesienią. Niezbyt się zmieniłam przez te pół roku. Możesz sprawdzić.

Nina, nie spojrzawszy na fotografie, chłodno poinformowała:

— Za dwa dni wyjeżdżam na seminarium. Decyduj, co zamierzasz robić. Mogę ci pomagać tylko pod warunkiem, że będziesz się przygotowywać na studia. W innym wypadku będziesz musiała sama się o siebie zatroszczyć.

— Sądzę, że nie masz podstaw do zbytniego niepokoju — odrzekła Waria — idę do pracy.

Wstrząs, którego doznała Waria na dworcu, zobaczywszy Saszę, nie przechodził. Przeraziło ją to, że prowadzono go pod eskortą, przeraził jego wygląd — błądy, postarzały, zarosnięty, z brodą. I jak biegali po peronie ludzie, troszczący się tylko o jedno — żeby jak najszybciej dostać się do wagonu i zająć jak najlepszą miejsce, i to, że ci młodzi dowódcy, weseli, o rumianych policzkach, nawet nie spojrzeli na człowieka, którego prowadzono pod eskortą, wyjeżdżał na Daleki Wschód, przekonani, że wszystko jest dobrze urządzone.

Jeszcze bardziej wstrząsnęło nią to, jak pokornie szedł Sasza, sam taszczył walizkę, na własnych nogach szedł na zesłanie.

Dlaczego się nie wyrwał, nie sprzeciwiał, dlaczego nie nieśli go związaniego? Jeśli się wyrwał, sprzeciwiał, krzychał, protestował, jeśli go nieśli związaniego za ręce i nogi, wtedy by nie dwóch konwojentów, ale cały pluton, wtedy by nie do ogólnego wagonu, ale do żelaznego, z kratami, wtedy by ludzie nie biegali tak bezzwrotnie po peronie. I ci Maksimowie i Serafimowie w swoich nowiutkich wojskowych mundurach także, być może, nie byłiby tacy zadowoleni z siebie, ograniczeni, tacy posłuszni.

Sasza poddał się.

Kiedy zanosila mu paczkę do Butyrek, zdawało jej się, że te wysokie, grube, nie do zdobycia mury zbudowano dla Saszy — tak się go boją ci uzbrojeni ludzie. Nie, oni się go nie boją, on nie jest dla nich groźny, to oni są dla niego groźni. Dlatego tak potulnie szedł pomiędzy dwoma młodziutkimi konwojentami, których mógłby roztrącić jedną ręką! Nie mógł.

Ale Zofia Aleksandrowna było jej żal, po dawnemu była w niej codziennie, przynosiła rozmaite nowinki, próbowała ją rozzerwać. Kiedy Zofia Aleksandrowna poszła do pracy do pralni, chodziła za nią po sklepach, realizowała kartki.

Zofia Aleksandrowna chwaliła Saszę, nazywała go prawym, dzielnym, nieulekłym. Waria nie zaprzeczała, ale sama nie uważała Saszy więcej za dzielnego. Jeżeli pozwolił, żeby go tak poniżono, to znaczy, że jest taki, jak wszyscy. I zawsze był taki, jak wszyscy, wykonwał, co mu kazano. A teraz kazano mu jechać na zesłanie, to i pojechał na zesłanie, pokornie szedł po peronie, taszczył walizkę.

Zofia Aleksandrowna zdecydowała się na wynajęcie pokoju Saszy. Waria pomagała sprzątać dla nowej lokatorki. W szafie leżały żywy Saszy „hageny” na zdeptanych butach, z długimi sznurowadłami, w miejscach, gdzie się przerażały, związany na supły. Zofia Aleksandrowna wzięła żywy i rozplakała się, przypomniała jej dzieciństwo Saszy.

A Warii przypomniały mroźny zapach ślizgawki, płamę mętnego światła na lodzie, orkiestrę w muszli, gorącą herbatę w bufecie, tłok w szatni. I ona też miała porwane sznurowadła pozawiązywane na takie same niekształtne supły. Te supły przeszkadzały w przewlekaniu sznurowadeł przez dziurki butów, trzeba było się długo z nimi morderować.

I jeszcze Waria przypomniała sobie, jak byli w „Piwnicze arbackiej” i ona zaprosiła Saszę na ślizgawkę. Wtedy się wydawało, że wszystko skończyło się szczęśliwie. Sasza pokonał wszystkich. Było im wesoło, tańczyli tango, rumbę, orkiestra grała „Mister Brown” i „Czarne oczy”. „Ach cytrynki, wy moje cytrynki!” i „Gdziekolwiek się błąkam o wiosnę kwitnącej”... I Sasza obronił nieznajomą dziewczynkę, zachowywał się dzielnie.

Wtedy, w „Piwnicze arbackiej”, wydawał się jej bohaterem.

Teraz zrozumiała, że nie jest bohaterem. I w ogóle nie ma bohaterów.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie” publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zastrzegamy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

„JEŚLI NIE MY, TO KTO?”

Właściwie to chciałem machnąć ręką, skulić uszy po sobie i jak to wiele razy bywało — „przeczekać”. Sprawa dotyczy artykułu Lucjusza Włodkowskiego: „Jeśli nie my, to kto?” (Odgłosy nr 44, 31.X.1987).

Jestem całym sercem po stronie argumentacji L. Włodkowskiego i, tak jak on, nie jestem wolny od obaw i wątpliwości. Staram się jednak zdusić w sobie niepokój, by, pełen wiary i entuzjazmu, jeszcze raz uwierzyć w możliwość „wyjścia na prostą” po kolejnym „ostrem zakręcie”.

Moje machanie ręką nie mi pomaga. Coż mnie smutnia, bym i ja wtrącił swoje „trzy grosze”.

To red. Włodkowski mnie sdomingował swoim — „czy ktoś wstał i powiedział, że to wszystko nie ma sensu...? (...)”. Nadal zdarzają się listy anonimowe...

Teraz już żadne „przeczekać” nie pomoże. Nie ma na co czekać.

Przytoczę krótką rozmowę z facetem, który reperował mojego sfałgowanego „malucha”. Rzecz dotyczyła referendum.

— Panie — zaczął mój rozmówca. — Sytuacja jest taka: Mammy tatę pijanica i utracjusza. Za co się nie weźmie, nie mu nie wychodzi. Po wielu latach i licznych swanturach tata, zmuszony przez całą rodzinę, zdał się na jej osąd. Sprawę postawił szczerze i otwarcie — „Kochana rodzinko, czy mam przestać pić, czy nie?”.

Ta „cienka aluzja” wcale mnie nie speszyla. Od pięciu lat miałem przygotowaną na to odpowiedź:

„Jeśli mamy tatę pijaka, karciarza, utracjusza i beznamiętnego, zadufanego ryzykanta, to nawet, gdy za przyzwoleniem całej rodziny, zabijemy lekkomyślnego rodzica, nie nie uwolnimy nas od złudnego odpracowania strat, po to, by znowu znaleźć się na maleńkim miejscu w hierarchii społecznej”.

Byłem bardzo dumny, gdy, po zakończeniu tej retorycznej figury, mój rozmówca przyznał mi rację.

— Zgoda. Odpracować musimy. Ale co zrobić, jeśli tata jest nadal ten sam?

Tu straciłem koncept. Zabrakło mi argumentów na to, że tata się zmienił. Zapomniałem języka w gębie.

Odejdźmy od naprawionego „malucha” od leśkiego mechanika. Mimowolnie sięgnąłem po leżący w schowku atlas samochodowy. Odruchowo otworzyłem go i spojrzałem na polityczną mapkę Europy.

Już teraz wiedziałem, że nie ma o co się bawić w przepychanki. Nie mamy alternatywy. To naprawdę musimy zrobić my i musimy zrobić teraz. Dlatego wezmę udział w referendum i odpowiem „tak”.

WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS

„ZŁE SIĘ DZIEJE NA KOLONIACH”

Chciałem nawiązać do zamieszczonej w 43 nr „Odgłosów” z dn. 24.10.87 r. wypowiedzi lekarza pedytary z Łodzi dotyczącej kolonii zdrowotnych w Nętnie koło Drawsku Pomorskiego.

Jestem matką 14-letniej córki, która została tam skierowana w celach zdrowotnych (skrząwienie kręgosłupa) już 5 lat temu, a która powróciła z tych kolonii chora (ostre niezbyt złośliwe), wycieńczona i w dodatku z wybitnym stałym już zębem (i górna) wskutek nieumiejętnych „ćwiczeń”. Ćwiczenia te polegały na ciąganiu się przez dzieci na koczach po śliskim parkiecie, co nie było w mojej opinii żadnym ćwiczeniem rehabilitacyjnym tak potrzebnym wysłanym tam dzieciom. Dziecko powiedziało mi, że żadne ćwiczenia nie były prowadzone pod opieką lekarza, tylko pod opieką młodych panienek, na pewno do tego nie przygotowanych. Po przyjeździe dziecka z kolonii moja interwencja u wychowawczyń grupy (bardzo młodzieżowej) nie miała skutku. Odpowiedziała mi, że można „dobudować” dziecku „plombę” na ząbkach i będzie jak „nowy”. Zagoniona trudnościami codziennego dnia (także opieką nad małym dzieckiem) oraz pracą i brakiem czasu, zrezygnowałam z dalszych interwencji i dochodzenia naprawienia wyrządzonej szkody, mojemu dziecku, jak również zwrotu kosztów związanych z wprawieniem brakującego zęba.

Wypowiedzi lekarza z Łodzi opisującego karygodne warunki panujące na tej kolonii wcale mnie nie zaskoczyły, wręcz odwrotnie, umocniły w przekonaniu, że nie się widocznie nie zmieniło przez te 5 lat.

Lekarz ten padł widocznie ofiarą działającego i szalenie zorganizowanego klanu działającego bezkarnie przez ostatnie lata, nie dopuszczającego „intruzów” do swego kręgu. Stan taki utrzymuje się widocznie od dłuższego czasu w wyniku słabości organów kontroli, nieświadomości dzieci, jak również bezsilności rodziców, którzy zwykle dowiadują się jedynie o pewnych niedociągnięciach zbyt późno lub wcale. Duża odległość kolonii od Łodzi jest także pewną barierą do szybkiego rozszyfrowania istniejącego tam stanu.

Przedstawione zdarzenia kompromitują oświatę i wystawiają niechlubne świadectwo jej pracownikom, nie mówiąc już o społecznych kosztach ponoszonych w wyniku działalności nieodpowiedzialnej grupy osób.

H.P.
(nazwisko i adres znane redakcji)

„NIE MA CZŁOWIEKA — NIE MA SPRAWY”

Nawiązując do artykułu redaktora Jolanty Wronskiej pt. „Nie ma człowieka — nie ma sprawy” opublikowanego w nr 33 z dnia 15 sierpnia 1987 r. uprzejmie informuję, że Prokuratura Rejonowa dla Dzielnicy Łódź-Polesie po przeprowadzeniu postępowania przygotowawczego, w dniu 24 czerwca 1987 r. wniosła do Sądu Rejonowego w Łodzi X Wydziału Karnego akt oskarżenia przeciwko Mirosławowi Pawłowskiemu oskarżonemu z art. 184 § 1 k.k. i 156 § 1 k.k. w zw. z art. 10 § 2 k.k. tj. o fizyczne i moralne znęcanie się nad żoną Małgorzatą oraz o pobicie jej, w następstwie którego pokrzywdzona doznała pęknięcia błony bębenkowej ucha prawego, co spowodowało naruszenie narządu słuchu na okres powyżej siedmiu dni.

Przedmiotem tego postępowania przygotowawczego było również zmuszenie Małgorzaty Pawłowskiej przez Mirosława Pawłowskiego przy użyciu groźby karalnej do podpisania formularza, na podstawie którego została ona wymeldowana ze wspólnie zajmowanego mieszkania. Czyn ten jednostkowo wypełniający znamiona występków z art. 167 § 1 k.k. został przez Prokuraturę Rejonową zgodnie z „Wytłumaczeniem wymiaru sprawiedliwości i praktyki sądowej w zakresie prawnokarnego ochrony rodziny” potraktowany jako jeden z elementów składowych zbiorczego pojęcia moralnego znęcania w rozumieniu art. 184 § 1 k.k.

Prawomocnym wyrokiem z dnia 4 września 1987 r. w sprawie sygn. akt KK 464/87 Sąd Rejonowy w Łodzi skazał oskarżonego Mirosława Pawłowskiego na podstawie art. 184 § 1 k.k. i art. 156 § 1 k.k. w zw. z art. 10 § 2 k.k. na karę 1 roku i 6 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem jej wykonania na okres 3 lat oraz w związku ze skazaniem z art. 156 § 1 k.k. na podstawie art. 59a pkt. 1 i 2 k.k. zasądził od oskarżonego dwie nawiązki po 25 000 zł, jedną na rzecz pokrzywdzonej Małgorzaty Pawłowskiej a drugą na rzecz Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi.

Przedmiotem postępowania w powyższej sprawie było wyłącznie zachowanie się Mirosława Pawłowskiego względem jego żony w aspekcie naruszenia przepisów prawa karnego.

W związku natomiast z sytuacją, w jakiej pozostaje Małgorzata

Pawłowska po pozbawieniu jej uprzednio zajmowanego z mężem mieszkania nr 11 przy ul. Marchewskiego 73 w Łodzi, na skutek jego sprzedaży i podstępnego wymeldowania przez Mirosława Pawłowskiego, nieosobno Prokuraturze Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Polesie w ramach prokuratorskiej kontroli przestrzegania prawa udzielenie stosownej pomocy prawnej Małgorzacie Pawłowskiej.

Nadmieniam, że pismem z dnia 5 września 1987 r. nr Den 662/87 Prokuratura Wojewódzka skierowała się do Redakcji „Odgłosów” z prośbą o podanie nazwiska i adresu osób wymienionych w artykule pt. „Nie ma człowieka — nie ma sprawy”, na które nie otrzymała żadnej odpowiedzi, co utrudniło wcześniejsze udzielenie przedmiotowej informacji.

Zastępca Prokuratora Wojewódzkiego w Łodzi
ANDRZEJ MODRO

Informuję Prokuraturę Wojewódzką, iż pismo, jakie otrzymała redakcja z dnia 8 września 87 r. dotyczące reportażu „Nie ma człowieka — nie ma sprawy” zostało przekazane osobom zainteresowanym. Zgodnie z posiadanymi przeze mnie informacjami, osoby, których dotyczył reportaż nawiązały kontakt z prokuratorem Andrzejem Modro, bowiem od ich tylko decyzji zależało, czy zechcą udzielić Prokuraturze Wojewódzkiej interesującej ją informacji. Tym samym, moja rola, autorki tekstu zakończyła się, bowiem nie mam uprawnień do samodzielnego decydowania w kwestii ujawniania personaliów osób bez zgody tych osób.

Uzupełniając powyższe dodam, iż posiadam notatki dokonane w trakcie relacji, jakie otrzymałam od bohaterów mojego reportażu z ich rozmowy w Prokuraturze Wojewódzkiej, która wszczęła odpowiednie działania kontrolne, czego dowodem jest pismo, jakie otrzymała redakcja, datowane 26.10.1987 r., zawierające wyjaśnienie sytuacji formalno-prawnej osób, których dotyczył reportaż.

JOLANTA WRONSKA

„KONFLIKT W KLUBIE JEŹDZIECKIM”

Kocham konie i dlatego z zainteresowaniem przeczytałem artykuł: „Konflikt w Klubie Jeździeckim”. Jeżeli u podstaw działania Klubu leży logika, jaką w swoich wypowiedziach zaprezentował prezes Jabłoński, to nie należy niczego się dziwić. Prezes narzeka na istnienie przy klubie grupy rekreacyjnej. A idea sportu w państwie socjalistycznym jest jego masowość.

Jedynym argumentem na rzecz hołubienia sportowców ze szkoda dla amatorów, miłośników koni mogłyby być osiągnięte wyniki w sporcie. Tymczasem w nr 1/87 „Konia Polskiego” znajdujemy na str. 21 tabelę wyników osiągniętych w roku 1986. Wynika z niej, że wśród klubów jeździeckich mających powyżej 20 koni, jest takich klubów 22, Łódzki Klub Jeździecki znalazł się na... 29 miejscu ex aequo z Klubem LKS Rieczna. LKJ ma 26 koni sportowych, LKS Rieczna — 11.

Również w poprzednich latach, za kadencji prezesa Jabłońskiego LKJ osiągał podobne wyniki.

Jakie z powyższego można wyciągnąć wnioski? — Gdyby w Łódzkim Klubie Jeździeckim grupa rekreacyjna uzyskała takie same prawa jak grupa sportowa i brała udział w ogólnopolskich zawodach jeździeckich, to wynik byłby ten sam: — 29 miejsce na 22 możliwe.

J.M.

(nazwisko i adres znane redakcji)

„NIEPOTRZEBNE SKRĘŚLIĆ

TO NIE TAK PANIE SZMAK...

I po cóż było zaczepiać (prowokować, wyzywać) wywiadów „Odgłosów” w felietonie „Panny w skórze wilka” (PT nr 44)? Czyżby pan nie spostrzegł, iż wywiad z p. Jerzym Chmielewskim — dyrektorem Biura „Mias Polonia” to klasyczny pastisz (parodia)? Być może pan przepływał wspomnianego z przyberkami amerykańskiej, tablicy Mendelejewa i przebiegu bitwy pod Płowami. Trzeba to było po prostu zrobić, zamiast pohukiwać za węgla (listu panny Siedzikiej) w trzy miesiące po zakończeniu sopockiej gonitwy. Pozdrawiam i przy okazji zapraszam na kawę (uspokajająco-przeciszczającą herbatkę „Paracelsus”), ja funduję.

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

SPÓR O ZESPÓŁ „TIGER-RAG”

Z mieszczanymi uczuciami czytałem w numerze 41 „Odgłosów” artykuł — wywiad A. Karolczaka pt. „Jak Tiger-Rag wyzwał diabła”, a tydzień później list Barbary Orłowskiej-Makowieckiej pt. „Kto założył Tiger-Rag?”. Skoro zaś zarówno w jednej, jak i drugiej publikacji byłem wymieniony, czuję się upoważniony do zabrania głosu.

Do Makowieckiej i Hungera osobiście nie mam nic. Wyda się mi się jednak, że gdyby to chodziło o mnie, nie udzieliłbym red. Karolczakowi wywiadu — materiałów do artykułu świadom, że jest w Łodzi, mieszka i można się spotkać z Andrzejem Orłowskim, rzeczywistym założycielem i „spiritus movens” Tiger-Ragu.

Nie jest dla mnie ważne, czy któryś z byłych członków tego zespołu jest ministrem, pisarzem, redaktorem, rektorem itp. Nie w tym rzecz. Sprawa odnosi się do dawnych czasów, w których mieliśmy równy start i równa prawa, zależne jedynie od uzdolnień muzycznych i możliwości.

Nie jest również tajemnicą dla pewnej grupy osób, że stosunki osobiste Makowieckiej i Orłowskiej nie należały i nie należą do wzorcowych. Jeśli stwierdzenie to będzie poczytane przez kogokolwiek za naruszenie dóbr osobistych — proszę o proces.

Zamykając więc ten element wypowiedzi stwierdzam, że nie zdobyłbym się — będąc członkiem tej grupy — na mówienie o niej i jej losach bez będącego pod ręką założyciela.

Co do samego „Tiger-Ragu” — mogę tylko powiedzieć, że grupie tej poświęciłem sporo miejsca w swym kilkudziesięciostrońkowym opisie jazzu w Łodzi lat czterdziestych i pięćdziesiątych, który to opis, niestety, nie może znaleźć sponsora. Pozwoliłem sobie nawet nazwać „Storyville” w Pałacyku ZMS grupą konkursową dla „Jazz-Clubu 77” — studenckiego, co zresztą nie przeszkadzało, iż znaliśmy się i mamy do dziś, wzajemnie lubiąc i szanując.

Ale o co to kogo dzisiaj obchodzi?

WITOLD AFELT

Pani Barbarze Orłowskiej-Makowieckiej, autorce listu, zamieszczonego w tej rubryce 24 października br. jestem wdzięczny, głównie za wiadomość, że Andrzej Orłowski żyje. Wprawdzie wiedziałem o tym, ale dobrych wiadomości nigdy nie za wiele. Mam nadzieję, że A. Orłowski cieszy się dobrym zdrowiem.

List Czytelniczki jest klinicznym przykładem na to, że czytelnik bardzo często czyta to co chce przeczytać, a nie zauważa tego, czego zauważyć nie chce: pismo Pani „pomijać (...)” istnienie założyciela i kierownika tego zespołu, perkusistę Andrzeja Orłowskiego. Otóż nazwisko pana Orłowskiego zostało w moim tekście wymienione 3 razy, zawsze z informacją, że był on perkusistą i liderem Tiger-Ragu.

Ma Barbara Orłowska-Makowiecka pretensję, że rozmawiałem z Andrzejem Makowieckim i Ryszardem Hungierem, a nie z Andrzejem Orłowskim, co odbiło się niekorzystnie na faktograficzności mojego tekstu. Otóż nie było moim zamiarem

napisanie historycznej monografii zespołu (w takim przypadku niewątpliwie rozmawiałbym przede wszystkim z A. Orłowskim), a tylko napisanie tekstu wspomnieniowego, impresyjnego. Wybrałem na rozmówców ludzi, którzy zrobili pozamuzyczne kariery, których znam i cenię. Interesowało mnie i — jak sądzę — czytelników, co dziś ci dwaj panowie myślą o swej jawniej młodości, jak wspominają swój zespół (tak, tak, wiadnie, „swój”).

Chyba nie sądził pani Barbara Orłowska-Makowiecka, że dziennikarzowi nie wolno zrobić rozmowy np. z piłkarzami, jeśli nie bierze udziału w tej rozmowie kapitan drużyny?

Pisze autorka listu w zakończeniu: „...zaskakujący i niesmaczny artykuł pod mylącym tytułem”. Nie wiem, co było mylącego w tytule mego tekstu. Natomiast, jeśli idzie o to, że wydał się niesmaczny to cóż, do gustibus...

Myślę, że jeśli nam nie smakuje w jednej restauracji idziemy do drugiej. Ja natomiast odebrałam list B. Orłowskiej-Makowieckiej jako „smaczny”.

ANDRZEJ KAROLCZAK

W poniedziałek, 2 listopada 1987 roku zadzwonił do mnie Czytelnik, nie podając ani imienia, ani nazwiska, który wyraził oburzenie, że w artykule Andrzeja Karolczaka nie wymieniono innych członków zespołu „Tiger-Rag”. Czytelnikowi wyjaśniłem, że autor ma pełne prawo do wyboru rozmówców, co nie musi koniecznie podobać się odbiorcom. Można oczywiście tych rozmówców nie lubić, można o nich mieć różne zdania, ale nie można autorowi tekstu publikowanego, pod którym się podpisuje pełnym imieniem i nazwiskiem, mieć za złe, że rozmawiał z kim rozmawiał. Taki był jego samy autor.

Inna sprawa, czy jego rozmówcy nie powinni byli wymienić wszystkich byłych muzyków zespołu „Tiger-Rag”, niezależnie od tego, w jakich byli i są z nim stosunkach i co ci jedni i drudzy robią. Wymaga tego zwykła ludzka lojalność i uczciwość. Ale też trudno, aby autor tekstu opisującego przebieg rozmowy, a taki to przecież był tekst, wzmawiał im, co mają powiedzieć i wręcz to wymuszał.

Anonimowy Czytelnik otrzymał ode mnie propozycję, aby napisał list, w którym wymieni wszystkich muzyków „Tiger-Ragu”. List ten zobowiązuje się wydrukować, jeśli nie narusza żadnego z artykułów „Prawa prasowego”. Czekam więc na ten list! Ciekaw jestem, czy nadejdzie?

I na tym byśmy skończyli tę dziwną wrzawę wokół dawnego „Tiger-Ragu”.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

JESZCZE O „CENTAURO”

Jakże mnie, prostaczce i nalepioną na plecach etykietą ZSMP, spierać się z erudycją tej miary jaką reprezentuje wójca do krwi ostatniej Andrzej Arczewski? Tertuliana nie czytałem, Boga nie stworzyłem, a o Absolutie mogę sobie tylko pomarzyć. Na dodatek nie wierzę w absurd, choć wierzę w poezję, która daje się zrozumieć i przeżyć. O takiej poezji często rozmawiałem również z członkami grupy „Centauro”, ale A. Arczewski był wtedy gdzie indziej i wiedzieć o tym nie musiał.

Właśnie on natomiast i bardzo się tym cieszy, że Klub Młodych Pisarzy „Władut” w chwili obecnej nie istnieje. Jest tak nie dlatego, że ostatni przewodniczący przeżył 26 lat tradycji, ale m.in. dlatego, że nie umiał on znaleźć wspólnego języka ze sponsorem, którego A. Arczewski uważa za „wszechwładną egidę „Władutów” poczynając.

Jeśli idzie o udowadnianie pewnych stwierdzeń, to odpowiadając za swoje, ale stu podpisanych centaurowów nie udowodni, że to alkohol, a nie na przykład poezja Dutkiewicza doprowadziła mnie do stanu euforii. Dutkiewicza, którego notabene poznałem właśnie podczas pamiętnego konkursu i więcej na swej drodze nie spotkałem. Nie zasiadałem w jury tego konkursu, bo w przeciwieństwie do szefów innych grupowań poetyckich nie pchał się tam, gdzie nie prowadziłam moje kompetencje.

Nie mam również pojęcia o wykluczeniu Dutkiewicza z grupy „Centauro”, ani o tego wykluczenia przyczynach. Co więcej, nie interesują mnie tego typu sprawy, tym bardziej, że z poezją niewiele mają wspólnego. Między człowiekiem jako poetą, a człowiekiem jako człowiekiem dystans bywa ogromny, a że centaurowcy wolą wałęsać się po sądach niż po Parnasie, to ich sprawa.

„Gratulacje” z powodu moich koleżeństw są zatem chybione. Słowa „kolega” użyłem, bo nie każdego tytułuję towarzyszem, zaś pana T. Kołaczka nie miałem przyjemności poznać w ogóle. Jedynie jego list zainspirował mnie do „zrobienia prasy” grupie „Centauro”. Ta zamiast wdzięczności okazuje mi niezrozumienie.

Tak, niezrozumienie, bo gdyby dokładnie przeczytał się w mój poprzedni tekst, pojęłoby, że pismu jedynie grafomania, karierowiczostwo i robenie drobnych awizdów — niegodnych nie tylko poety, ale nawet szanującego się hochsztaplera. Nie dąbiły się wpuszczać w polemiki, nie biorąc do siebie tego co ich nie dotyczy.

Takie moje stanowisko dbały o honor swej grupy A. Arczewski powinien chyba popierać, pomimo całej swej elitowności i inteligencji. Dlatego, zamiast zanudzać Czytelników pismem społeczno-kulturalnym, proponuję mu prywatne spotkanie na neutralnym gruncie, gdzie będziemy mogli wyjaśnić sobie pewne rzeczy bez uciekania się do pośredników reprezentujących tak mało poetyckie Prawo. Nie dlatego, że obawiam się strasznego zemsty centaurowów na sądowej sali, ale dlatego, że gra nie warta świeczki, a pieniaczowi już ponoć nie w modzie.

Odnależć mnie nie trudno, bo z wieloma członkami grupy „Centauro” pozostaję w poprawnych stosunkach towarzyskich.

ANDRZEJ KRAKOWSKI

Od redakcji: Listem Andrzeja Krakowskiego samykamy dyskusję na temat grupy „Centauro”.

PABIANICKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA UZUPEŁNIA

W uzupełnieniu odpowiedzi z dnia 1987.10.08, przesłanej do Waszej Redakcji, Pabianicka Spółdzielnia Mieszkaniowa informuje, iż w dniu 27 października 1987 r. obywatel Zdzisław Koniuszy otrzymał nową propozycję przydziału mieszkania jako docelowego, którą przyjął. W lokalu zwolnionym przez wyżej wymienionego zostanie przeprowadzony przez wykonawcę budynku LKB „Północ” remont w celu wyeliminowania wydzielenia się substancji toksycznych.

Jednocześnie pragniemy poinformować, iż we wszystkich podobnych przypadkach zgłoszonych przez mieszkańców tego bloku został przeprowadzony przegląd w obecności wykonawcy budynku. Stwierdzone wady usunięte zostaną przez LKB „Północ” w ramach odpowiedzialności wykonawcy z tytułu rękojmi z wady.

mgr inż. JACEK VOGTT
z-ca prezesa ds. eksploatacji

Gieorgij M. Malenkov urodził się w 1902 roku. W 1920 roku wstąpił do RKP(b). W 1939 roku został wybrany członkiem KC WKP(b). W 1946 roku został wybrany członkiem Biura Politycznego KC WKP(b). W latach 1946–1953 był wicepremierem ZSRR, a w latach 1953–1954 premierem. W 1957 roku za działalność frakcyjną został usunięty z KPZR.

Człowiek bez biografii

O Gieorgiju Malenkowie trudno jest napisać najmniejszą nawet notatkę. W istocie rzeczy jest to człowiek bez biografii. Pracował w wydziałach specjalnych i w zamkniętych gabineciech. Nie miał ani własnej osobowości, ani własnego stylu. Był orzeźmieniem Józefa Stalina, a jego ogromna władza była jedynie przedłużeniem władzy Stalina...

Po zakończeniu wojny domowej Gieorgij Malenkov nie wrócił do rodzinnego Orenburga, lecz w 1921 r. pojechał do Moskwy i zaczął studiować w Wyższej Szkole Technicznej. Wkrótce ożenił się z Walerią Golubową, która wykonywała jakąś niezbyt ważną pracę w aparacie KC.

Wielu studentów należących do partii w latach 1923–24 zachwyciło się Lwem Trockim. Gieorgij Malenkov od samego początku zachowywał ortodoksyjne stanowisko i krytykował trockistów oraz ich platformę. Kiedy po klęsce Lwa Trockiego stworzono komisję, mającą za zadanie skontrolowanie studentów należących do partii i popierających opozycję, w jej skład w Moskwie wszedł 22-letni student Gieorgij Malenkov. Jego aktywność została odnotowana i zapamiętana.

Za radą żony i na jej nalegania Gieorgij Malenkov rzucił studia tuż przed ich ukończeniem i podjął pracę jako sekretarz techniczny Biura Organizacyjnego KC RKP(b). Okazał się wspaniałym urzędnikiem, a jego praca została zauważona. W dwa lata później Gieorgij Malenkov pracował jako sekretarz techniczny Biura Politycznego KC WKP(b).

Niemal równocześnie z Malenkowem Józef Stalin wysunął na najbardziej odpowiedzialne stanowisko w aparacie partyjnym Jeżowa. Pod kierownictwem Jeżowa i przy aktywnym współudziale Malenkowa w pierwszej połowie 1936 r. w kraju przeprowadzono „weryfikację dokumentów partyjnych”. Była to w istocie jeszcze jedna czystka partyjna i administracyjna przygotowanie terroru. Każdemu członkowi partii założono bardzo szczegółowe „osobiste dossier”.

Podczas gdy Józef Stalin był głównym organizatorem i inspiratorem masowego terroru lat 1937–38, Jeżow był głównym wykonawcą tej przerażającej krwawej kampanii. Malenkov pracował w cieniu, ale właśnie on był jednym z ludzi, którzy pod kierownictwem Józefa Stalina nacagali najważniejsze ukryte sprężyny terroru. W 1937 r. Malenkov razem z Jeżowem pojechali na Białoruś, gdzie dosłownie zniszczone organizacje partyjne całej republiki. Jesienią tego samego roku Gieorgij Malenkov pojechał z Anastasem Mikojanem do Armenii, gdzie represjami tak samo został objęty niemal cały aktywny i administracyjny aparat. Z udziałem Malenkowa przygotowywano plan represji we wszystkich obwodach RSFSRR. W celu ukrycia wielkich rozmiarów terroru w styczniu 1938 r. w Moskwie zorganizowano plenum KC, na którym dyskutowano „O błędach organizacji partyjnych przy wykluczaniu komunistów z partii”. Na plenum tym obecnych było zaledwie 28 z 71 członków KC, którzy zostali wybrani na XVII zjeździe partii. Od tego czasu kilku z nich zmarło, lecz niemal 40 członków KC zostało już aresztowanych.

Dopiero w 1939 r. Gieorgij Malenkov zaczął wychodzić z zamkniętych gabinetów władzy na otwartą scenę polityczną. Na XVIII Zjeździe WKP(b) przewodniczył komisji mandatowej. Został wówczas wybrany członkiem Komitetu Centralnego WKP(b). Na plenum KC w marcu 1939 r. Malenkov zostaje wybrany sekretarzem KC...

Lawrientij Beria zawiązał bardzo skomplikowaną intrygę, aby skompromitować Andrieja Zdanowa. Wozniesińskiego i ludzi z bliskiego im kręgu. Malenkov udzielił Berii pełnej pomocy. Stosunki między Andriejem Zdanowem i Malenkowem już od dawna były skrajnie wrogie. Zdanow i jego bliscy przyjaciele uważali Malenkowa za półnalfabeta — karierowicza i w swym intymnym kręgu nazywali go „Malania” — co było aluzją do zniewieściatego wyglądu tegoż Malenkowa. Beria i Malenkov zdolali przekonać Stalina — którego i tak złościły ambicje teoretyków wyrażane przez Zdanowa i Wozniesińskiego — że chodzi o „separatyzm” organizacji partyjnej w Leningradzie i młodych kadr, które znalazły się „na górze” w tym mieście.

W ten sposób powstał „przypadek leningradzki”, którego ofiarami padli wszyscy członkowie kierownictwa organizacji partyjnej na czele z Popkowem. Represje rozszerzyły się następnie na „dół” i objęły setki, tysiące działaczy partyjnych i komсомольских Leningradu, naukowców, działaczy gospodarczych. Represje szły się też „ku górze”, ich ofiarą padli: N. Wozniesiński, A. Wozniesiński, Kuzniecow, Rodinow i wielu innych odpowiedzialnych działaczy aparatu partyjnego i administracyjnego Malenkowa, organizację partyjną i w tym celu przyjechał do Leningradu. Lawrientij Beria kierował represjami w Moskwie.

Andriej Zdanow, który do niedawna również sam kierował licznymi kampaniami pogromów ideologicznych, został zdjęty z kierowniczego stanowiska i zmarł w 55 roku życia w swym domu w czasie urlopu w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach. Po śmierci Andrieja Zdanowa Malenkov stał się jednym z przywódców w sterze ideologii. Pod jego kierownictwem narastała kampania antysemita. Ponieważ Wozniesiński i Kuzniecow padli ofiarą represji, a Zdanow zmarł, wpływ Gieorgija Malenkowa w kierownictwie partyjnym i państwowym znacznie wzrósł. Im bardziej Stalin oddalał od siebie tak bliskich współpracowników, jak Władysław Molotow, Klimient Woroszyłow, Łazar Kaganowicz, Anastas Mikojan, tym bliżej pozostawał z Malenkowem. Gdy w grudniu 1949 r. „Prawda” zaczęła publikować wielkie artykuły członków Biura Politycznego poświęcone 70-leciu urodzin Stalina, najpierw wydrukowano tekst Gieorgija Malenkowa, dopiero później Władysława Molotowa.

Dla wszystkich, którzy pojmowali znaczenie takich spraw, był to wyraz osobistego zaufania. W latach 1950–52 Malenkov był w partii absolutnie drugą postacią. Wpływ Gieorgija Malenkowa zwiększył się również dzięki jego przyjaźni z Lawrientijem Berią. Józef Stalin zbliżył się w tym czasie jeszcze z dwoma ludźmi — z Nikitą Chruszczowem i Nikołajem Bułganinem. Jednak ich wpływ na sprawy partyjno-państwowe był bez porównania mniejszy.

Nocne uczty u Stalina

Georg Bartoli stwierdza, że Józef Stalin powierzał Gieorgijowi Malenkowowi wszystkie swoje tajemnice i dlatego ten „wiedział wszystko o wszystkim”. Georg Bartoli pisze o Malenkowie: „Jest mądry i ostrożny jak dziki kot. Pewien francuski polityk, który spotkał się z Malenkowem w czasie jego politycznej ucieczki, powiedział mi: „Przypominał mi młodego Laval’a”.

Gieorgij Malenkov, Lawrientij Beria, Nikołaj Bułganin i Nikita Chruszczow byli stałymi gośćmi na nocnych ucztach urządzanych przez Stalina. Teraz nawet Józef Stalin często tracił charakterystyczne niegdyś dla niego umiarkowanie w jedzeniu i piciu. Bardzo często upijał Malenkowa. O świcie pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa odwozili Malenkowa do domu, a dwójka lub trójka z nich trzeźwiła go w ogromnej łazience. Dopiero w środku dnia stawał się zdolny do pracy.

Przygotowania do XIX Zjazdu partii powierzone specjalnej komisji, której przewodniczył

Roy Miedwiediew: „Wszyscy ludzie Stalina”

Gieorgij Malenkov

Malenkov. Właśnie temu Józef Stalin powierzył wygłoszenie sprawozdania na zjeździe. Oczywiście, również to było wyrazem szczególnego zaufania. Sam Stalin był już w tym czasie zbyt stary i tak pozbawiony sił, że nie mógł przez 3–4 godziny składać sprawozdania przed wielkim audytorium.

Ostatecznie i bezpowrotnie.

Nie ma potrzeby zajmować się szczegółowo treścią sprawozdania przedstawionego przez Gieorgija Malenkowa XIX Zjazdowi partii. Schemat tego sprawozdania można było napróżd, bez trudu odgadnąć, przynajmniej w głównych zarysach. Pierwszą część sprawozdania Malenkov poświęcił słabnięciu światowego systemu kapitalistycznego. Akcentował sukcesy przemysłu, którego produkcję brutto na początku lat 50 była dwukrotnie większa od przedwojennej. Maksymalnie upiększając sytuację, mówił Malenkov o radzieckim rolnictwie. I tak np. przytoczył nie odpowiadające rzeczywistości dane o wielkich żniwach i, przy burzliwych okłaskach, oświadczył, że problem zboża został pomyślnie rozwiązany i to „ostatecznie i bezpowrotnie”. Nie minęły nawet dwa lata, a ustalono, że w kraju występuje wyjątkowo wysoki deficyt zboża, że w rolnictwie panuje ciężki kryzys i że dane o produkcji zboża brutto — które Malenkov cytował w sprawozdaniu — są oparte na fałszyfikatach. Jak wiadomo, jeszcze jest to problem „palący i poważny”.

Mówiąc o sprawach partyjnych, Gieorgij Malenkov całkowicie uprzedził masowe represje dokonane przed wojną. Twierdził, że w latach 30 w naszym kraju zniszczono „wyródków”, „kapitulantów”, „zdrajców”, „podłych zdrajców”, „nieudzielników”, którzy rzekomo czekali tylko na atak zbrojny na ZSRR, by w tych ciężkich chwilach „wbić nóż w plecy naszemu narodowi ku zadowoleniu jego wrogów”. Na zjeździe wybrano Biuro Prezydium KC KPZR składające się z 9 członków. Lecz od razu po plenum Stalin wybrał z tego biura „platkę” ludzi do kierowania partią. Wchodzili do niej Józef Stalin, Gieorgij Malenkov, Lawrientij Beria, Nikita Chruszczow i Nikołaj Bułganin. Wybrano również Sekretariat KC składający się z 10 członków; czołowa rola w nim miała przypaść Malenkowowi.

Problem następcy Józefa Stalina zrodził się zaraz, jak tylko członkowie najwyższego kierownictwa kraju dowiedzieli się, że jego choroba jest poważna, a stan beznadziejny. Bardzo ostrośnie rozmowy na temat podziału władzy prowadzono między najbliższymi współpracownikami Stalina u łoża śmierci wodza. Malenkov rozmawiał o tym z Berią, a Chruszczow z Bułganinem. W istocie wszyscy się zgodzili, że właśnie Gieorgij Malenkov powinien zająć najbardziej znaczące wówczas stanowisko przewodniczącego Rady Ministrów. Zaproponował to Beria, a Chruszczow i Bułganin od razu zaakceptowali. Jednocześnie podjęto decyzję o zwolnieniu Malenkowa z funkcji sekretarza KC KPZR i sfornowaniu o wiele waższego Sekretariatu, w którego skład wszedło 5 członków: Ignatiów, Pospiełow, Susłow, Chruszczow, Szatalin. Nikt z tej piątki nie był uważany za „pierwszego sekretarza”, jedynie Nikita Chruszczow był członkiem nowego, o wiele waższego Prezydium KC i z tej racji przewodniczył posiedzeniom Sekretariatu.

Bez względu na to, właśnie Gieorgij Malenkov był w pierwszych miesiącach po śmierci Stalina nie tylko pierwszą osobistością w kierownictwie aparatu państwowego, lecz także w partii. Przewodniczył sesjom Prezydium KC KPZR, musiano z nim uzgadniać wszystkie decyzje mające charakter dyrektyw. W „Prawdzie” pojawiła się fotografia, na której widnieją Józef Stalin, Mao Zedong i Gieorgij Malenkov. Wszyscy pozostali politycy, którzy znajdowali się na tym zdjęciu, zostali „usunięci” za pomocą retuszu.

Konflikt z Lawrientijem Berią.

Zrozumiałe, że po śmierci Józefa Stalina Gieorgij Malenkov stanął przed wieloma złożonymi problemami. Nie mógł, a nawet nie

chciał rozwiązywać ich sam. Lecz nie mógł także dopuścić, by ktokolwiek z członków Prezydium KC KPZR indywidualnie rozwiązywał znaczące problemy polityczne i organizacyjne. Z tego powodu zaczęły się konflikty Malenkowa z Berią, który podjął sporo ważnych przedsięwzięć reorganizacyjnych w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Bezpieczeństwa Państwowego i zaczął się zachowywać tak, jakby z góry był pewien, że Malenkov zaakceptuje wszystkie jego posunięcia. Malenkov uważał się za przyjaciela Berii, ale nie zamierzał być pionkiem w jego rękach. Doprowadziło to do zerwania politycznej przyjaźni i do tajnego porozumienia z Chruszczowem, którego wynikiem było zdjęcie i aresztowanie Berii.

Latem 1953 r. Gieorgij Malenkov mówił na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR o wielu znaczących propozycjach, zmierzających do rozwiązania problemów gospodarczych. Jedną z tych propozycji było znaczne zmniejszenie podatku dla rolników i anulowanie wcześniejszych długów kolchozom i kolchoźnikom. Malenkov oświadczył też, że partia może teraz poświęcić więcej uwagi przemysłowej grupie „B”, tj. artykułom powszechnego użytku. Zdaniem Malenkowa, tempo rozwoju produkcji środków produkcji mogło być nieco zmniejszone, a uwolnione środki można było skierować na produkcję towarów powszechnego użytku potrzebnych ludności. Propozycje te zapewniły Malenkowowi na dłuższy okres popularność wśród ludności, a szczególnie wśród rolników, bowiem wieś po raz pierwszy w ciągu wielu lat odczuła pewne obciążenie.

Wśród szarych ludzi rozpowszechniła się i uporczywie utrzymywała pogłoska, że Gieorgij

tościach rodzinnych, obdarowywał jego krewniaków. Przy tym wszystkim Gieorgij Malenkov nie przestał marzyć o powrocie do władzy. Jak stwierdza Edward Crankshaw, który spotkał Malenkowa w Anglii pod koniec 1956 r., ten — zwykle bardzo dowcipny szczególnie w rozmowie z cudzoziemcem — znielacka i ze złością powiedział: „Ja jeszcze wrócę”. Wy-mówił to, młodziąc mnie spojrzeniem swych ognistych czarnych oczu.

Uwolnienie i rehabilitacja milionów więźniów nieuchronnie otworzyły kwestię odpowiedzialności Gieorgija Malenkowa i pozostałych bliskich współpracowników Józefa Stalina za represje i śmierć niewinnych ludzi, wśród których było też wielu wybitnych aktywistów partyjnych i działaczy państwowych. Co prawda, na XX Zjeździe KPZR nie zrehabilitowano jeszcze wielu bezprawnie prześladowanych ludzi.

Organizatorami grupy frakcyjnej byli Władysław Molotow i Łazar Kaganowicz, ale od razu dołączył do nich i Malenkov. Jednoczyli ich strach przed odpowiedzialnością. Klęska tej grupy była równocześnie kresem i politycznej, i państwowej kariery Malenkowa. Został mianowany dyrektorem elektrowni w Ust-Kamienogorsku, w górnym biegu rzeki Irtysz w Ust-Kamienogorsku G. Malenkov mieszkał ponad 4 lata. Po XXII Zjeździe został wykluczony z partii i odesłany na emeryturę. Gieorgijowi Malenkowowi i Łazarowi Kaganowiczowi nie zezwolono na powrót do Moskwy. Zezwolenie to otrzymali dopiero w 1965 r., kiedy do władzy doszedł Leonid Breżniew.

Utrzymywanie przeciętności

Przejdzie ze świata władzy i przywilejów, a niemal całkowicie zamkniętego świata, ukrytego w pewnym stopniu przed obcymi spojrzeniami, do wspólnego świata ze wszystkimi jego trudnościami i problemami przyszło bardzo ciężko wszystkim zdjętym ze stanowisk i odsuniętym od władzy. Szczególnie trudne było to dla nadanego i nie umiającego dostosować się do zwykłego życia człowieka, jakim był G. Malenkov, który od młodych lat przebywał w „korytarzach władzy”. Bez poparcia żony, Walerii Aleksiejewny, która jako osobowość okazała się silniejsza i mądrzejsza od męża, Malenkowowi byłoby ciężko nie do wytrzymania. Gieorgij Malenkov ma piękne mieszkanie na tym samym Wybrzeżu Frunzego, gdzie mieszka i Łazar Kaganowicz, ale nie przyjaźnią się ze sobą, a Malenkov nie gra nawet u domo. Największą część roku spędza w swojej willi pod Moskwą. Swego czasu jeździł po Moskwie i okolicy tylko w opancerzonej limuzynie. Teraz musi kupować bilety na zwykły elektryczny pociąg podmiejski. W czasie jazdy milczy, czasem zamieni parę słów ze swoją żoną. Malenkov bardzo schudł i dlatego nawet starsi ludzie nie zawsze mogą go rozpoznać, a co dopiero młodzi. Prawie zawsze nosi przewieszony przez ramię aparat fotograficzny i w wolnym czasie fotografuje przyrodę. Pewnego razu przypadkowo spotkał się ze starym bolszewikiem J. Fridmanem, kiedy ten podniósł obiektyw, który wypadł Malenkowowi z ręki.

— A ja, Gieorgiju Maksymilianowiczu, spędziłem dzięki wam 15 lat w obozach — powiedział J. Fridman.

— Nie wówczas z tym nie wiedziałem — odpowiedział G. Malenkov.

— Ale ja widziałem wasz podpis na swoim wyroku — odpowiadał J. Fridman. Malenkov, wyraźnie nie chcąc kontynuować rozmowy, szybko się oddalił.

O Gieorgiju Malenkowie również obecnie krąży sporo pogłosek. Uporczywie rozchodzi się plotka, że Malenkov się ochrzcił i systematycznie chodzi do cerkwi. Są ludzie, którzy twierdzą, że widzieli G. Malenkowa w małej cerkiewce w Mitiszczach lub w osiedlu Iłłińsko w pobliżu Kratowa. Powiada się, że przychodził do wielkiej cerkwi Jelechowskiej w Moskwie. Ma dwóch synów, obaj są naukowcami, doktorami nauk, słyszałem, że mówi się o nich w samych superlatywach.

Również w przeszłości G. Malenkov ukrywał za nietowarzystwością i nadciębem nie tyle swoją pozycję, ile przeciwność swej osobowości. Jego występek nie zostają zapomniane, bez względu na to, jak żarliwie by się nie modlił. Trudno mi jest mówić o Gieorgiju Malenkowie, jako o utalentowanym działaczu państwowym, którego zdolności zostały zdeformowane lub zniszczone przez straszną epokę stalinizmu. Nie, on w pełni odpowiadał swoim czasom, które wynajdowały i wynosiły ludzi pokroju Malenkowa.

W drugiej połowie 1948 r. Józef Stalin zaczął często chorować, a w 1949 r., jak wszystko na to wskazywało, miał pierwszy wylew krwi do mózgu. Wszystko to nasiliło walkę o władzę w kręgu ludzi najbliższych Stalinowi. Na krótko przed chorobą również sam Malenkov stał się ofiarą owej walki. Wyraźnie przy udziale syna Stalina — Wasilija skonstruowany został zarzut o niskim poziomie radzieckiego przemysłu lotniczego. Wynikiem tej prowokacji było aresztowanie dowódcy sił lotniczych armii radzieckiej, marszałka lotnictwa Nowikowa, członka KC WKP(b), Szachurina, który w czasie wojny był komisarzem ludowym przemysłu lotniczego, a także wielu innych pracowników tego resortu i lotników wojskowych. Wszystkie te aresztowania musiały mieć wpływ również na sytuację Malenkowa. Zwolniono go ze stanowiska w aparacie KC i wysłano do Taszkentu. Owo „wysłanie” było jednak krótkotrwałe. Szczególnie Lawrientij Beria wstawiał się mocno, by całkowicie zrehabilitować Malenkowa i by mógł on powrócić do Moskwy.

Wszyscy chcemy śmiechu.

Gieorgij Malenkov poruszał również problem literatury. Poskarżył się, że w naszej literaturze i sztuce „do dzisiaj nie ma wybitnych dzieł z dziedziny satyry. Nieścisła byłaby opinia — oświadczył G. Malenkov — że w naszej radzieckiej rzeczywistości nie ma materiału na satyrę. Potrzebni nam są radzieccy Gogole i Szchedrin, którzy by ogniem satyry wypalili wszystko, co negatywne, zgnie, bez życia, wszystko, co hamuje posuwanie się naprzód”.

W rok po zjeździe, kiedy Józefa Stalina nie było wśród żywych, satyryk E. Krotkin napisał w związku z tym oświadczeniem Malenkowa następujący epigram:

„Chcemy śmiechu, ale potrzebni są nam najtęgodniejsi Szchedrini i tacy Gogole, którzy nas nie wysmiewali”.

Ocean jest trudny do ogarnięcia nawet dla poetów; można bez końca opisywać setki widoków, które oferuje i różnicować co najmniej tyle samo barw, które przybiera, ale wyikajęca z tego wszystkiego myśl jest w gruncie rzeczy tylko jedna: nostalgiczne poczucie metrowości człowieka, znikomości jego wysiłków i pragnień zaczepiających się o kolejne fale. Choćby udało się to zrobić jak najdalej od brzegu, przedzie czy później i tak tu się rozbił — ocean to przecucie śmierci. Zupelnie podobnie jest z pustynią. Znana metafora mówi, że choćbyś biegł po niej jak umiesz najszybciej i tak krajobraz dookoła pozostanie bez zmian — jakby nie został zrobiony nawet jeden krok. A większość oaz okazała się fatamorgana, może za wyjątkiem tej jednej, chociaż i tego nie można być pewnym...

Ocean i pustynia to prawie całe wybrzeże Peru.

Meteorolodzy udowodnili, że za ten paradoskalny stan rzeczy — najsuchszą pustynię świata w sąsiedztwie równika i niewyobrażalnej obfitości wody — odpowiedzialny jest przede wszystkim chłodny prąd Humboldta wędrujący peruwiańskim wybrzeżem aż do zatoki Guayaquil. Obserwując skutki jego działalności trudno uznać go za coś przyjemnego i dobroczynnego, a jednak pojawiają się tu co jakiś czas prąd ciepły, zwany pieszczotliwie nino (dziecko), zamiast spodziewanych korzyści przynosi ze sobą jedynie nieszczęścia i tragedie; z powierzchni oceanu uciekają ryby powodując masowe wymieranie ptaków i zmniejszając do minimum produkcję guana, co w rezultacie wywołuje ostry kryzys gospodarczy w całym kraju, nie mówiąc już o egzystencji ludzi utrzymujących się bezpośrednio z rybołówstwa bądź eksploatacji piasnego nawozu.

Jak widać przyzwyczajenia, nawet złe, to nie tylko druga natura człowieka, ale i całej przyrody, a tęsknota za zmianami na lepsze może być niebezpieczna.

Jedynie pierwsze kilometry na północ po Szosie Panamerykańskiej wywołują zaciękanie; ciągnącymi się szerokim pasmem plażami o zachęcających nazwach, nieprawdopodobnymi kształtami usypianych z piaskowca, ale robiących wrażenie wzniesionych ludzką ręką wzgórz, pojawiająca się i znikająca majestatyczna linia oceanu... Mija to jednak szybko, razem zresztą z wyraźnym pogorszeniem się jakości samej szosy; podróz staje się nużącą do granic wytrzymałości i nawet postoje nie przynioszą oddechu.

Ani miasta Chancay, Pativilca, Huarney, Chimbote. W dzień puste, jakby wdużone w ziemie słonecznym żarem, a wieczorem robiące wrażenie oszalałych, wściekłych, wściekłych zapałach ryb wdzierających się nawet za bramy szczytów potężnych, bogatych rezydencji i otwarte na ośleci drzwie ogromnych, wydłużonych restauracji. Tyle tylko, że ich światła, najpierw rysujące na niebie tęgą, a potem rozpadającą się na tysiące punkcików, pozwalają chwilę oderwać się od wyciąganej przemocy z czerni obramowanej piaskiem, waskiej ścieżki asfaltu i jednostajnego szumu fal. Prawdziwego wychłnienienia od pustyni i oceanu nie przynosi nawet Trujillo, "fascynujący raj" — jak określają je ulotki reklamowe. I tu wystarczy tylko trochę zwrócić się z Plaza de Armas, aby miasto rozproszyło się w sieć ciemnych, wąskich uliczek, albo szerokich i pustych arterii przelotowych.

Jesteśmy ciągle w tym samym świecie: rozpaczliwie próbującym ożywić pustynię, a w efekcie mnożącym jedynie kolejne miraż.

Było tu tak zresztą zawsze; wystarczy przypatrzeć się rozproszonym po północnym wybrzeżu preinkaskim budowlom, wydaje się, że uformowały je ruchy ziemi, wiatr i erozja, że są jeszcze jednym elementem pustynnego krajobrazu. W tej sytuacji przestaje dziwić skłonność przastarych mieszkańców tych terenów do uznawania za świątynię każdego niecodziennego kształtu góry czy skały — jakby na wszelki wypadek, skąd bowiem można mieć pewność czy nie są one dziełem któregoś z wcześniejszych pokoleń. Problem tylko w tym, że Peru składa się niemal z samych takich niecodziennych kształtów. Poza wszystkim powoduje to sporo nieporozumień; nawet w wypadku tak olbrzymiej konstrukcji jak Fortaleza Paramonga aż do ukazania się tablicy informacyjnej nikt nie zaryzykuje jednoznacznej identyfikacji. Co nie przeszkadza, że zaraz potem wszyscy dziwią się własnym wątpliwościom sprzed kwatera. Bo rzeczywiście w każdym innym miejscu na świecie fortecy Paramonga trudno byłoby nie zauważyć.

Ten system olbrzymich, wznoszących się jeden nad drugim, starannie podmurowanych i połączonych schodami tarasów stanowi niemal wyzwanie rzuczone Bogu, podważanie jego rangi Największego Budowniczego.

Rzadko kiedy doznaje się podobnego wrażenia. Stojąc przed piramidami w Gizeh, albo katedrami w Strasburgu czy Amiens, ma się do czynienia z myślą konstrukcyjną i sztuką ociosywania kamieni, z pychą i wiarą... A zatem z tym wszystkim co najgłębiej ludzkie. Tu idzie o odcosowanie góry!

Piramidy Słońca i Księżycy budowane pod auspicjami subtelnej kultury Mochica przez wiele okolicznych plemion, których znaki do dziś można oglądać na kamieniach, tylko za życia ostatniego pokolenia, na skutek niewinnej zabawy miejscowych dzieci i lubiących mocne wrażenia turystów zrzucających z góry na dół co cięższe głazy, obniżyły się o kilka metrów, a otaczająca je niegdyś kwitnąca dolina pod wpływem działalności gospodarczej pobliskiego Trujillo zmieniła się w pustynię. Teraz dobrze czuje się tu tylko wiatr i on jest jedynym wspomnieniem, jakie się stąd wywołuje, oprócz zaskakująco wspaniałych w wyrazie portretów ceramicznych patrzących ze stoickim spokojem na ruiny własnej cywilizacji.

Cywilizacja położona nad samym brzegiem oceanu świątyni Las Haldas jest tak odległa, że nikt nie uważał za stosowne szukać dla niej jakiegś specjalnej nazwy. Czas nie ma tu już nic do roboty; jego praca zrównywania sanktuariów z otoczeniem została wykonana prak-

tycznie w 100 proc. Odkrywana wśród beżu porzucanych kamieni niespodziewanie czysta linia schodów, symetria zarysów rozmieszczonych na różnych poziomach prostokątów to niewiele więcej niż widoczne ze szczytu świątyni białe linie na oceanie, tam, gdzie nurt trafia na podwodne skały... A jednak przy odrobinie wyobraźni, bez której lepiej zatrzymać się w położonym opodal — nad małą zatoczką kąpielisk, te niki ślady zupełnie wystarczają do konstrukcji rytualnych kręgów i ołtarzy, obrzędów i ofiar, i to bardziej żywych i podniosłych niż wtedy, gdy istniały i trwały w rzeczywistości, niezakłóconych setkami drobnych szczegółów i ułomności. Nie ma w tym zresztą niczego nadzwyczajnego; to trochę tak jakby

jącym świętą komnatę i, niewiele mądrzej, prawie chylkiem odchodzą. W położonym koło miasta Casma Sechin ta impregnacja formy labiryntu na ciekawość współczesnego człowieka nabiera rangi metafory, zwłaszcza gdy wdrapać się na wzgórze i spojrzeć na położone w dole ruiny pałacu. Widać wówczas turystów skwapliwie podziwiających i fotografujących otaczający strefę mur pokryty wspaniałymi płaskorzeźbami przedstawiającymi jakąś prastarą, okrutną batalię; olbrzymie, wyprostowane postacie wojowników i skurczone, schwyte w trakcie rozpaczliwych gestów ofiary oraz zamknięty nim wewnętrzny labirynt — zupełnie pusty, bowiem wobec prowadzonych tu za pieniądze koncernu Volkswagena prac renowacyj-

PERU: Warto by tu zostać całe życie, a nawet jeszcze dłużej...

Ocean i pustynia

RYSZARD NAKONIECZNY

po wielu latach wróciło się w dobrze znane okolice własnego dzieciństwa czy wielkiej miłości: tu rosty krzaki dziś zastąpione kolonią garaży, tam ciągle stoi lawka, na której urzęduje teraz grupka pijaków, a tam, jeszcze nieco dalej, zawisł w powietrzu ten gest, albo to słowo, które miały nigdy nie stracić ważności... Banał, w Las Haldas usprawiedliwiony tylko tym, że dotyczy dzieciństwa i wielkiego uczucia całej ludzkości, ale nawet tu nie można rozstrzygnąć czy w ten sposób człowiek zwycięża czas, czy jednak — mimo wszystko — czas, choć już nieobecny, człowieka.

Nadpustynna pustynia peruwiańska to nie tylko pasma wzgórz, ale również monotone, olbrzymie płaszczyzny. Ich odpowiednikiem w sferze dawnego budownictwa sakralnego jest forma labiryntu, reprezentowana głównie przez obiekty Chuquikante, Sechin i Chan-Chan. Chuquikanta położona jest bardzo blisko Limy, niecały kilometr w linii prostej od ruinywiej szosy do modnego kąpieliska Ancón. Dostęp do niej nie jest jednak łatwy; najpierw

nach wstęp poza mur jest dla publiczności wzbroniony.

Rozmiary labiryntu Chan-Chan są olbrzymie.

Spacer po jednym z jego czterestu okręgów, tzw. Cytadeli Tschudi (od nazwiska uczonego szwajcarskiego) zajmuje parę godzin; od cmentarza, poprzez dzielnicę mieszkalną, domy kapłanów, stręg modłów przygotowanych, otwartą galerię z wizerunkami ryb, aż do wielkiego placu ceremonialnego. Można by tu bez problemu przekwaterować całą ludność położonego parę kilometrów dalej Trujillo i nikt nie miałby większych kłopotów z kontynuowaniem swoich codziennych zajęć i obowiązków, tyle tylko, że musiałby się ciągle pochylać, i to nie na znak czci wobec bogów, ale po prostu dlatego, że Chan-Chan wydaje się dostosowane do ludzi raczej mizernej postury, a jego ołtarze przypominają grabowce, jakby Imperium Chimu, którego Chan-Chan

szlachetne, tyle tylko, że akurat na peruwiańskim wybrzeżu, czy to z powodu braku dostatecznych umiejętności wykonawców, czy też specyfiki tutejszych huacas, jej rezultaty wywołują tzw. mieszane uczucia. Na przykład należąca do kompleksu Chan-Chan świątynia El Dragon (nazwana też Arco Iris) po zabiegach konserwatorskich zaczęła przypominać przypominając lotniskowicę sprzed II wojny światowej, poddany zaś tej samej kuracji Dom Dziewic Słońca, wybudowany już przez Inków obok sanktuarium Pachacamac, zwłaszcza wobec monumentalnych — na razie zresztą ledwo wystających z ziemi — kształtów siedziby Stwórcy Świata, kojarzy się nieodparcie z biurowcem średniej wielkości i gdyby podejść bliżej, pewnie można by usłyszeć stukot maszyn do pisania i dzwoniące spodeczków o szalanki herbaty.

Na szczątkach Las Haldas staruszek stał sobie przed lawką i w najtajniejszych zakątkach jego mózgu ożywał na chwilę obraz spotkania sprzed lat, spotkania bez dalszej historii, ale będącego ośrodkiem jego życia, w El Dragon i Domu Dziewic Słońca, obok staruszka pojawia się staruszka, oboje przebiegają się w to, co mieli na sobie pół wieku temu, przepędzają okupujących lawkę pijaków i zabierają się za dokładne powtarzanie dawnych słów i gestów...

Ala mniejsza z tym. Całe szczęście, że Pachacamac to już początek południowej części Panamerykańskiej.

Jest tu więcej rzek przecinających nadpustynną pustynię, a nawet tam, gdzie ich nie ma nad brzegiem ciągną się kilometrami termy drobiowe, skąpi przybierają postaci czarownic, albo szukających się do skoku dziłkich zwierząt, co jakiś czas pojawiają się rezydencje dobrze świadczące nie tylko o stanie konta swoich właścicieli, ale i ich wyobraźni, miasta tętnią życiem, a ludzie są mniej nieufni.

Krótko mówiąc, po porównaniu z księżycowym krajobrazem północy, jest ładniej, weselej i bogaciej. Nic więc dziwnego, że w tę właśnie stronę kieruje się zdecydowana większość turystów — i tych długodystansowych, i tych weekendowych. I jedni, i drudzy, w zależności od możliwości finansowych, potrzeb i gustów, mają do wyboru kilka ewentualności.

A więc wersję standard, czyli parę dni w domkach kempingowych nad oceanem lub w jednym z kombinatów wypoczynkowych, gdzie po wpłaceniu do kasy kilku dolarów, tytułem zobowiązania do minimalnej konsumpcji, można — już za darmo — grać w ping-ponga, kąpać się w basenie bądź jeździć konno.

Wersję luksusową, możliwą do realizacji głównie w Ancón, jeżeli ktoś upiera się przy oceanie, bądź w Chocica, jeśli na oceanie aż tak bardzo mu nie zależy. I tu i tam można rozróżnić dwie podwersje: własny dom i własną panienkę, bądź miły hotel albo bungalow i panienka dopisana do rachunku.

Ewentualnie wersję rehabilitacyjną, na przykład w pełnych leczniczych właściwościach bajorach Chilca. Chociaż w Chilca znacznie zdrowszy niż taplanie się w błocie jest spacer po miejscowym cmentarzu: rodzinne grobowce jak białe komódki z szufladkami opatrzonymi czarnymi napisami, żółte, niebieskie i czerwone wstążki i ubrane dokładnie w te same kolory, bawiące się w tym baśniowym pokoju dzieci. Trudno dać się przekonać, że to najprawdziwsza rzeczywistość — warto by tu zostać na całe życie, a nawet — z uwagi na specyfikę miejsca — jeszcze dłużej.

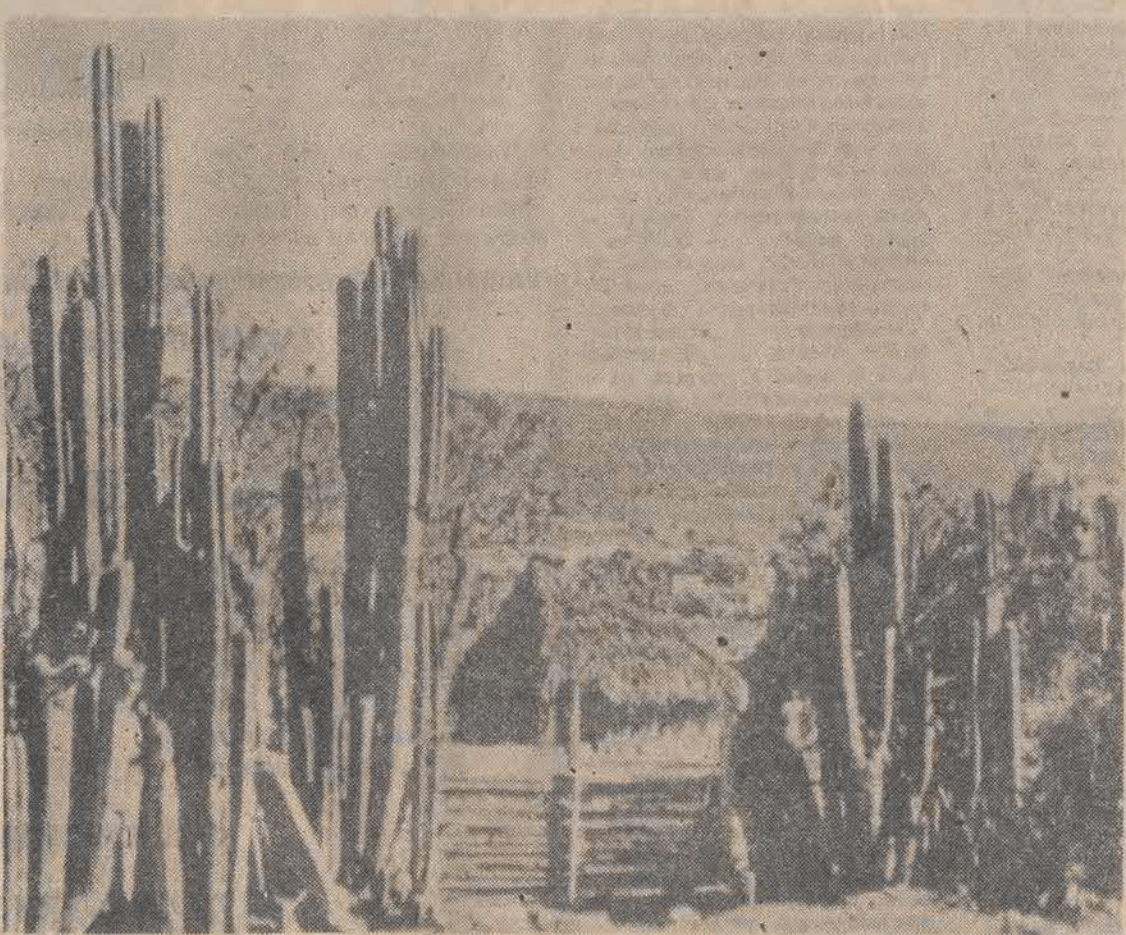
Najwytrwalsi jada jednak dalej — aż na półwysep Paracas. Jest to spora, lekko sfaldowana, płowoczerwona płaszczyzna, po której — kierując się tablicami informacyjnymi — można dotrzeć do małego jeziora wyglądającego tak, jakby ktoś zgubił kawałek lustra, niespodziewanych kształtów skał, z których najokazalsza nosi nazwę Katedry, rezerwatu wilków morskich przekomarżających się kilkadziesiąt metrów poniżej tarasu widokowego, a także przystani łodzi kursujących do słynnych ptasich wysp, Ballestas. Wszystko to jest niezmiernie interesujące i może wypełnić bez reszty cały dzień, o randze Paracas stanowi jednak głównie necropolis, gdzie w 1925 roku Julio C. Tello odkrył dziesiątki mumii owiniętych wspaniałymi tkaninami.

Odkrycie Tello ciągle jeszcze jest sensacją — nie tyle z powodu mumii, to tkanin. Wspaniałe zakonserwowane w piasku przez 2,5 tysiąclecia są dziś nie tylko świadectwem wspaniałej techniki tamtej cywilizacji, ale kryją także w sobie wybitnie zajmujący, choć także wybitnie skomplikowany, program kosmologiczny, mozolnie odcyfrowywany przez polskiego archeologa Krzysztofa Makowskiego.

Dla laików zaś są nierzapomnianym przeżyciem estetycznym wywołanym perfekcyjnym operowaniem jedną gamą kolorystyczną — od brązu do czerwieni — z niespodziewanymi dodatkami błękitu, zaskakująco współczesnym potraktowaniem postaci ludzkiej i żonglerką kształtów — niemal jak u Miró czy Klee. Mimo że okrywały zwłoki, jest w nich radość, tyle tylko, że świadoma gorczy i dziecienna beztroska, tyle tylko, że zdobyta jakby na nowo, po przejściu przez całe piekło dorosłości.

Tkaniny Paracas są odczodem najpoważniejszych peruwiańskich muzeów i zasadniczym motywem najlepszych plakatów reklamowych, w gruncie rzeczy jednak przypominają dziesięćcyfry biegające po cmentarzu w Chilca albo lepiej: dzieci biegające po całym pustynnym i smutnym peruwiańskim wybrzeżu oceanu...

Zaczynając od Paracas Panamerykańska odbija od wybrzeża i zaczyna się wspinąć. Na razie jeszcze wprawdzie pochylność nie jest duża, ale z równin już koniec, zaczynają się góry...



należy przebrnąć parę kilometrów fatalną drogą ciągnącą się nad zaśmieconym strumieniem wypełnionym kąpiącymi się dziećmi i obramowanym różnokolorowymi figurkami praczek, a potem jeszcze posuwać się w nieskończoność klepskim otoczonym chlewami i przymami gruzu. Mało kto dysponuje tak dużym zapasem cierpliwości; Chuquikanta ukazuje się dokładnie wtedy, gdy wszyscy, kompletnie zniechęceni, postanawiają wracać — niewielki kwadrat w małej dolinie zamkniętej nagłymi, masywnymi wzniesieniami.

Z dotarciem tutaj problemy się jednak nie kończą; do tej pory chodziło o znalezienie słynnego, opisywanego w wielu publikacjach zabytku, teraz idzie o to, co z nim zrobić. Labirynt bowiem, zwłaszcza taki, który można ogarnąć jednym spojrzeniem, jest doskonałym odzworowaniem płaszczyzny — idealnie ukrywa tajemnicę sprawiając wrażenie, że ujawnia ją w całej okazałości. Nieliczni odwiedzający kręcą się chwilę — jak szczyry — wąskimi korytarzami, zatrzymując w rozszerzeniu oznacz-

było stolica, swoich gigantów wysłalo — co do jednego — do fortecy Paramonga.

Wystarczy jednak oddalić się trochę i poszukać, co nie jest sprawą łatwą, jakiegoś wzniesienia, aby „największe miasto świata z gliny” ujawniło swoją prawdziwą istotę: nieogarniony, zlewający się z otoczeniem labirynt babek z piasku — jakby wpuszczono tu setki tysięcy dzieci, a potem nagle ktoś zawołał: „je na obiad”.

To, co wszędzie... Jeszcze raz potwierdza się zasada powszechnej mimikry obowiązująca na peruwiańskim wybrzeżu, która sprawia, że święte może tu być wszystko i wzbudza podejrzenia, że nie jest nim nic. Jak kto woli...

Już jednak w Sechin — i oczywiście także w Chan-Chan — do i tak wystarczająco kłopotliwego problemu tajemnicy ukrywanej przez preinkaskie budowle, dochodzi problem całkiem nowy, ale nie mniej kłopotliwy: idzie o ingerencję współczesnego człowieka w rozmaite warianty działania czasu. W przypadku zabytków nazywa się to renowacją i, generalnie rzecz biorąc, jej cele są bez wątpienia słuszne i



Masz temat dla redaktorów?
Coś cię drażni, niepokoi?
Szlag cię trafił - zgłoś to!
Słuchawka i aparat numer 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

12 listopada — ANDRZEJ MAKOWIECKI — godz. 10-16
19 listopada — EUGENIUSZ IWANICKI — godz. 10-16

Sprawy poruszone przez naszych Czytelników podczas ostatniego dyżuru przy redakcyjnym telefonie z pewnością nie należą do najważniejszych z ogólnospołecznego punktu widzenia, zasługują jednak na odnotowanie, a przede wszystkim — wyrażają jak najszybszego załatwienia. Zle bowiem, jeśli w podniosłym tonie dyskutować będziemy o reformie gospodarczej, poprawie funkcjonowania administracji, itp., a stracimy z oczu te nieprawidłowości i niedostatki, z którymi przychodzi nam spotykać się na co dzień, a które bardzo utrudniają nam życie.

Tadeusz Grad od dwóch lat czeka już na dokonanie w jego duży flicie gwarancyjnej wymiany automatu światła wstecznego. Rzecz może drobna, ale patrol służby drogowej rygorystycznie oceniają stan techniczny kontrolowanych pojazdów i nie bardzo chcą wierzyć, że tak długo nie można wymienić uszkodzonego automatu. Tymczasem T. Grad nieustannie dowiadywał się w stacji obsługi samochodów przy ulicy Strykowskiej, że części tej nie ma. Co ciekawe, musi to robić zawsze osobiście, gdyż przez telefon trudno uzyskać jakikolwiek informację. Stracił na to już wiele czasu i przydziałowej benzyny, za którą nikt zapewne nie zwróci mu pieniędzy.

Nam również trudno uwierzyć, aby przez dwa lata nie było żadnej możliwości dokonania gwarancyjnej naprawy, a także — zrozumieć, dlaczego informacja telefoniczna w wyżej wymienionej stacji nie funkcjonuje. Oczekujemy wyjaśnienia.

Od 1978 roku na zaistnienie telefonu czeka Irena Lenarczyk, zamieszkała przy ulicy Inflanckiej, inwalidka. Swego czasu powiedziała jej, iż otrzyma telefon w 1986 roku. Termin nie został jednak dotrzymany, co nasze Czytelniczce wydaje się tym dziwniejsze, iż sama osoba z bliskiego sąsiedztwa, która złożyła podania później, a ma już telefon. Pomyłka? Przeczucie? A może... Liczymy, że sprawa I. Lenarczyk zostanie w najbliższym czasie wnikliwie rozpatrzona przez Urząd Telekomunikacyjny.

Jan Podolski w urzędzie pocztowym nr 47 przy ulicy Zielonej wysłał 12 października 1987 r. 4 tys. złotych przekazem do swojej córki, studentki w Warszawie. Ponieważ pieniądze nie dotarły na czas, 22 października złożył reklamację i... do dziś przekaz ani nie dotarł do adresatki, ani nie wrócił do nadawcy. Pan Jan określił to krótko — skandal! W pełni podziela my jego zdanie. Jesteśmy przy tym przekonani, iż Dyrekcja Okręgu Poczty i Telekomunikacji w trybie natychmiastowym wyjaśni sprawę zaginięcia powierzonych jej pieniędzy, w stosunku do winnych zaniechania wyciągnie konsekwencje służbowe (w obronie autorytetu instytucji) oraz przeprosi nadawcę i jego córkę, która na pewien czas pozostała w stolicy bez środków do życia.

Pod tym samym adresem kierujemy pretensję naszego stałego Czytelnika, Macieja S., który kilka dni temu usiłował w urzędzie pocztowym nr 7 przy ul. Piotrkowskiej zaprenumerować dwa czasopisma. Niestety, nie udało mu się to, gdyż w urzędzie tym — jedynym w dzielnicy przyjmującym prenumeratę — zabrakło akurat odpowiednich blankietów. Nasz Czytelnik jest bardzo zaniepokojony, ponieważ termin składania prenumerat, tuż, tuż, a blankiety mogą nadejść dopiero w przyszłym roku.

Inny nasz Czytelnik (nazwisko do wiadomości redakcji) opowiedział, w jaki sposób został potraktowany w punkcie usługowym nr 8 przy ulicy Żołnierskiej, należącym do Spółdzielni Usług i Wyrobów Przemysłu Szkłarskiego im. J. Krasińskiego. Chodziło o przecięcie szyby okiennej (z jednej tylko strony) na poczekaniu, co trwa nie dłużej niż minutę, dwie. Niestety, kierownik odmówił wykonania usługi i zaproponował termin co najmniej 3-dniowy, tłumacząc się awarią pracy. Można by w to uwierzyć, gdyby przed punktem kłębiła się kolejka klientów. Nie było jednak nikogo (może dlatego, że sobota?), a nasz Czytelnik dosyć długo czekał na pana kierownika, który robił właśnie zakupy w pobliskim sklepie i wrócił z pełną torbą. W innym punkcie tejże samej spółdzielni przycięto szybę jeszcze tego dnia, choć tam też pewno był „nawal pracy”. Ciekawi jesteśmy, co na to dyrekcja spółdzielni?

Przy okazji: czy wykonaniu kilku ruchów „diamentem” musi towarzyszyć wypisywanie rachunku o większej częstotliwości niż — przycinanie szkła? A może spółdzielnia ta nie jest zobowiązana do oszczędzania papieru?

Wykonania usługi odmówiono także Kazimierzowi Banasiakowi, który nosi koszulę o nietypowym rozmiarze kołnierzyka — 51. W handlu uspołecznionym, rzecz jasna, koszt takich nie ma, więc pan Kazimierz szyl je sobie zawsze w pawilonie usługowym rzemiosła przy pl. Niepodległości. Ostatnio jednak żaden ze znajdujących się tam zakładów krawieckich nie chciał podjąć się szycia — z różnych przyczyn. Zdenerwowany Czytelnik zwrócił się więc do cechu, gdzie poinformowano go, że krawcy woła „masówkę”, dlatego odmawiają i nic nie da się zrobić.

Naszym zdaniem, z historii tej płyną dwa wnioski. Pierwszy — że zakładów krawieckich jest chyba zbyt mało, skoro nie zabiegają o klienta. Drugi — że z istniejących już powinno się chyba usunąć tabliczki z napisem: „zakład świadczy usługi dla ludności”, gdyż jest to nieprawda. A może cech ma jeszcze jakieś inne pomysły?

Powodów do radości nie mają rodziny zamieszkałe w budynku przy ulicy Wojska Polskiego 171, gdzie znajdują się mieszkania zastępcze. Wokół panuje bałagan, brak pojemników na śmieci, a na dodatek od 3 lat zepsuty jest najbliższy zdrój uliczny, z którego czerpią wodę (tylko latem, gdyż zimą — zamraża). Wielokrotne interwencje w ADM nie przyniosły jak dotąd żadnego rezultatu.

Widzimy tylko jeden sposób rozwiązania tego „niezwykle skomplikowanego problemu” — przenieść na jakiś czas pracowników ADM do wspomnianego budynku, a wtedy na pewno zapanuje tam porządek i może nawet znajdzie się dozorca. Czekamy na informację, kiedy to nastąpi.

Bezradna jest również administracja (Marysińska 36) wobec przeciekającego sufitu w mieszkaniu Ryszarda Maroszkę, Obronców Westerplatte 16A m. 16. I to bezradna od 7 lat, czyli od chwili, gdy przeprowadzono... remont dachu. Ryszard Maroszek chciałby w związku z tym wiedzieć, czy czekać ma do jubileuszu 10-lecia przeciekającego sufitu, zjawiać się z tortem i butelką szampana i dopiero wtedy jego interwencje mają szansę przynieść jakiś skutek? Jeśli tak, Droga Administracja, to mamy nadzieję, że i „Odgłosy” zostaną na ten jubileusz zaproszone.

I na koniec odnotowujemy interesującą propozycję p. Lisiewicza, który sugeruje, iż kierowcom zatrzymanym po spożyciu alkoholu powinno się odbierać prawo jazdy na co najmniej 10 lat, zaś jeśli spowodowali w tym stanie wypadek — dożywotnio. Jesteśmy za, gdyż i nam się wydaje, że walkę z plagą alkoholizmu w Polsce prowadzi się niekonsekwentnie i mało skutecznie.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

Pierwszym grzechem Mirosława K. była chęć posiadania nowego samochodu. Ponieważ nasz bohater uparł się na pojazd z radzieckiej fabryki WAZ, a nie spodziewał się żadnej asygny, postanowił nabyć nowe cztery koła za pośrednictwem znanej firmy „Pewex”. W tym celu wpłacił do kasy kwotę 2.800 dolarów USA i 9 września 1986 roku stał się posiadaczem samochodu Łada 1300.

Wspomnianego zastępcę dyrektora ośrodku, w którym informacja o zamiarze skierowania sprawy na drogę sądową. Jest 28 września 1987 roku, a zastępca dyrektora łódzkiego „Polmozbytu” zapoznawczy się z treścią pisma sugerując, by nie wysłać koni do wiadomości Referatu Listów i Inspekcji Komitetu Łódzkiego PZPR, gdyż osobiście dopilnuje natychmiastowej zmiany nieszczesnej Łady na Poloneza. To już ostatnia

telefonska dotycząca wykonania naprawy samochodu marki Łada informujemy, że wykonaliśmy naprawę zgodnie z zleceniem nr (...) z 21.08.87. Usterki lakiernicze (odpryski lakieru) zostały zakwalifikowane jako mechaniczne. W związku z tym, że Ob. K. nie wyraża zgody na odbiór samochodu do naprawy (przełożenie) stawiamy w/w pojazd do Waszej dyspozycji i oczekujemy dalszych decyzji w powyższej pil-

anie wymiany samochodu uważamy za bezpodstawną i reklamację w tym zakresie oddalamy.”

W dalszej części pisma jest mowa o tym, że stacja obsługi powinna zapłacić karę za niezwykłą zwłokę w wykonaniu naprawy oraz prośba (kopie pisma) do łódzkiego „Polmozbytu” o zlecenie wykonania komisijnej oceny stanu technicznego przez Zespół Rzeczników w Łodzi. Kabaretowa wymowa ma natomiast fragment uzasadniający oddalenie rozstrzygnięcia wymiany samochodu.

Zastępca dyrektora do spraw technicznych i usług pisze tam tak:

Przełożenie naprawy wynikające z aktualnej sytuacji z niedoboru samochodów na rynku, nie może stanowić podstawy wymiany pojazdu. Naszym zdaniem naruszałoby to zasady współzycia społecznego, bowiem każda niezasadniona wymiana mi technicznymi wymiana wydłuża okresy wyeksploatowania nabywów samochodów, w tym również korzystających z asygny (...). Decyzja ta jest ostateczna (...).

Sprawa znajdzie się niebawem na sądowej w drodze i spróbuje poinformować Czytelników o jej rozwoju.

DOBROSLAW KLIMECKI

P.S. Imiona i nazwy użyte w tekście nie zostały zmienione, natomiast zmienione zostało imię i nazwisko autora, gdyż od czasu do czasu on również bywa klientem łódzkiego „Polmozbytu”.

Jak to się robi w „Polmozbycie”?

Przejeżdżał Mirosław K. zimą, przejeżdżał wiosną i z coraz większą troską oglądał swoje cacko marki Łada obserwując w jego wyglądzie i działaniu rozmaite zmiany, których w okresie pierwszego roku użytkowania nie należało się spodziewać. Wreszcie zdecydował, że ponieważ samochód znajduje się jeszcze w okresie objętym gwarancją należy...

Drugim błędem Mirosława K. było zgłoszenie reklamacji samochodowi marki Łada 1300 — 21 sierpnia 1987 roku, które nastąpiło w stacji ASO-2 Przedsiębiorstwa Państwowego „Polmozbyt” w Łodzi przy ulicy Matejki 3/5. Właściciel pojazdu skarżył się na liczne, poważne usterki.

Napraw gwarancyjnych miało dokonać w terminie ustawowym tj. w ciągu 14 dni od daty zgłoszenia reklamacji. W wypadku niedotrzymania tego terminu właściciel samochodu ma prawo nie wyrazić zgody na przedłużenie terminu naprawy i powołuje się na Zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług z 8.12.1986 r. par. 15 poz. 1 zawarte w Dzienniku Ustaw PRL nr 2 z 4.02.1987 r. domagać się wymiany samochodu na nowy. To właśnie uczynił Mirosław K. 7 września 1987 roku, a więc w kolejnym siedemnastym już dniu od rozpoczęcia napraw gwarancyjnych. Oprócz tego w swoim piśmie skierowanym do P.P. „Polmozbyt” w Łodzi, ul. Strykowska 1/5, Mirosław K. prosi o zwrot kosztów poniesionych przez niego przy dodatkowym wyposażeniu niefortunnej Łady. Od tego momentu zaczął biec następnym ustawowy termin 14 dni, w ciągu którego Mirosław K. spodziewał się przyznania mu nowego samochodu.

W dziale reklamacji łódzkiego „Polmozbytu” poinformowano właściciela Łady, że zostało wystawione zlecenie na nowy samochód i będzie ono zrealizowane w chwili uzyskania teleksowego akceptu od głównego gwaranta czyli P.P. „Polmozbyt” w Lublinie. Jednak minęło 14 dni i nic się nie zmieniło, toteż Mirosław K. zadał sobie trochę trudu: wsiadł w pociąg, pojechał do Lublina i osobiście złożył tam pismo. W nakładku: Przedsiębiorstwo Obrót Samochodami i Częściami Zamiennymi „Polmozbyt”, 20-950 Lublin, ul. Melkiewska 11, a w treści K. zwraca się o niezwłoczne wymianę samochodu na nowy, zwrot kosztów związanych z dodatkowym wyposażeniem samochodu oraz wypłatę za zwłokę reklamacji 0,1 proc. aktualnej ceny samochodu za każdy dzień zwłoki do 20 dni, a następnie w przypadku przedłużenia się — 0,3 proc. za każdy następny dzień aż do chwili całkowitego załatwienia reklamacji. Jeszcze raz przywołuje tutaj wspomniane wcześniej Zarządzenie Ministra Handlu Wewnętrznego i Usług — tym razem: par. 19 poz. 3 podpunkt 2. Pismo to wysłał również do wiadomości łódzkiemu „Polmozbytowi”. Dodajmy, że złożone w Lublinie pismo nosi datę: 23 września 1987 roku. Niejako przy okazji, będąc w Lublinie, Mirosław K. dowiaduje się, że szef działu reklamacji wysyłając w jego sprawie teleks do Lublina z góry wiedział, iż odpowiedź będzie negatywna, ponieważ świadectwa jest wina P.P. „Polmozbyt” w Łodzi, który nie wywiązał się ze zgłoszonej reklamacji w ustawowym terminie.

Pozostając już ponad miesiąc bez samochodu, choć Łada 1300 formalnie nadal jest jego własnością, Mirosław K. próbuje także interweniować w kwestii zmiany reklamowanego auta na nowe u dyrektora łódzkiego „Polmozbytu”. Wszelkie rozmowy prowadzi czynnie w obecności świadka. Zastępca dyrektora do spraw technicznych magister inżynier dwójka imion, wydaje się być sprawie przychylny, obiecuje jej rychłe załatwienie, ale na obietnicach się kończy. W tej sytuacji Mirosław K. składa u

niespełniona obietnica dyrektora.

W nare dni później, 2 października 1987 roku, Mirosław K., wraz ze swym nieodłącznym świadkiem, zjawia się u szefa działu reklamacji łódzkiego „Polmozbytu”. Tam właśnie dowiaduje się, że nawet gdyby chciał odebrać swoją Ładę nie mógłby tego zrobić, bowiem samochód jest nadal niesprawny, gdyż podczas wymiany uszczelki pękła przednia szyba. P.P. „Polmozbyt” w Łodzi takiej szyby w chwili obecnej nie posiada, więc tej wymiana jest niemożliwa.

Dokładnie w tym samym dniu (1987.10.02) z łódzkiego „Polmozbytu” wychodzi do Lublina pismo podpisane przez zastępcę dyrektora do spraw technicznych, które Mirosław K. otrzymuje do wiadomości. Pismo brzmi następująco:

„W nawiązaniu do Waszego

„Konkurs na całe lato” rozstrzygnięty

Rozstrzygnęliśmy — z pewnym opóźnieniem za co przepraszamy! — fotograficzny „KONKURS NA CAŁE LATO”. Wśród nadesłanych zdjęć wyróżniamy zdjęcia:

- PAWEŁ FOGELA z Konstanczyna,
- BOGUSŁAWA MALI-
NOWSKIEGO,
- SEBASTIANA GAJEWSKIEGO,
- JOANNY TUREK,
- IWONY KNYPL —
wszyscy z Łodzi.

Nagrodzone zdjęcia będziemy drukowali w „Odgłosach”. Dziś publikujemy pierwsze. Autorzy zdjęć wy-



„Nad Dunajcem”

Paweł Fogel

różnionych otrzymają nagrody. Prześlijmy je pocztą.

Gratulujemy! Zapraszamy do współpracy!

ZAKŁAD DOSKONAŁENIA ZAWODOWEGO
W ŁODZI
OŚRODEK KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO NR 4

ORGANIZUJE KURSY:

- * przechowywania i gospodarki środkami trującymi
- * dezynfekcji, dezynsekcji i deratyzacji
- * kwaterodawców
- * obsługi kotłów c.o. węzłów cieplnych i sprężarek
- * kierowników małej gastronomii
- * kreślenia technicznych
- * kosztorysowania

CZELADNICZO-MISTRZOWSKIE

W ZAWODACH:

- * fotograf
- * introligator
- * kucharz
- * piekarz
- * palacz c.o.

oraz

- * szkolenie zespołów powypadkowych i służb ratownictwa chemicznego.

Szczegółowych informacji udziela i zapisy przyjmuje sekretariat Ośrodka Kształcenia Zawodowego w Łodzi ul. Wróblewskiego 17, tel. 84-97-21.

2597 k

Telefony na Widzewie huczały. Najpierw jedna przetrzęta mamusia zadzwoniła do drugiej. Jej dzieciak wrócił z przedszkola i przyniósł tragiczną wiadomość. W trakcie zabawy jedno z dzieci nadziało się na jakiś kijek czy ostry kant i straciło oko. Tak właśnie. Jaś z powagą i szczegółami opowiadał jak oko krwawiło i coś z niego płynęło, a ofiara ryczała z bólu. Tragedia. Więc mamusia zlapała za telefon i dzwonił do drugiej mamusi.

W kolejkach, na przystankach, przed kioskami, w autobusach jedne usta przekazywały następnym, że w widzewskim przedszkolu nr 182 doszło do tragedii. Telefony łączyły w bólu i przerażeniu zdawałoby się całkiem obcych sobie ludzi, którzy mieli z sobą tyle tylko wspólnego, że ich potomstwo uczęszczało do tego samego przedszkola. Oniemiali rodzice najpierw usiłowali dojść o czyje dziecko chodził, potem obdzwaniał znajomych lekarzy usiłując się dowiedzieć o stan zdrowia ofiary, następnie, w słusznym oburzeniu zawiadamiali właściwe władze i organa. Poniedziałek, 5 października 1987 r. to był czarny dzień na Widzewie.

Zemsta miała być okrutna. Prokurator, milicja, śledztwo, a po drodze Wydział Oświaty i Wychowania UD, wylanie z pracy oraz publiczna infamia.

A wieść o okaleczeniu dziecka odchodziła od zmysłów z rozpaczą. Podobno ofiara, przewieziona do szpitala, mimo największych wysiłków lekarzy, utraciła jednak oko.

Nazajutrz, we wtorek, 6 października, do przedszkola pani dyrektor szła długo, bo z przeszkodami. Co chwila zatrzymywał ją ktoś dopytując, czy to aby na pewno w jej przedszkolu dziecku wypłynęło oko? Czy dzieciak żyje, bo już podobno mówił gdzieś, że zmarł. I czy nie wstyd jej i w ogóle, co ona jeszcze robi na wolności, zamiast gnść w kryminalę?

Kiedy o właściwej godzinie w bramie przedszkola pojawiła się rodzicielka tak okrutnie poszkodowanego chłopca poruszenie personelu sięgnęło zenitu. Alisieńka mamusia prowadziła za rączkę ową silnie okaleczoną ofiarę. Chłopczyk był zdrowy i cały. Mamusia najspokojniejsza w świecie...

Pterodaktyl

Zdarzyło się dokładnie to samo, co wszyscy tak bardzo dobrze znamy z własnego życiorysu. Przynajmniej raz każdemu z nas musi się to zdarzyć. Inaczej nie poczujemy, że jesteśmy wśród ludzi, podobnych sobie istot ułomnych i niedoświadczonych. Płotka, potężna, stęgłona, zmiatająca z drogi ostatnie odrućy zdrowego rozsądku i logicznego myślenia. Płotka, której biegu nie można zatrzymać. Można tylko przeciekać i — co zdaje się najważniejsze — nie podrywać. Nie dorzucać do niej samodzielnie wyprodukowanych szczegółów, interpretacji, wykluczeń z własnych oczekiwań wniosków.

Przeprowadzone ad hoc prywatne śledztwo pani dyrektor zaczęło się od konfrontacji chłopca, który przyniósł do domu z przedszkola wiadomość o wypadku. Przedszkolak, nie speszony napiętą uwagą otaczających dorosłych, spokojnie powtórzył, że dwaj chłopcy ganiłi się w przedszkolu. Jeden miał jakiś pątyk, czy może pedzel w ręku. I że w czasie gonitwy, ten, który uciekał, potknął się i nadział okiem na ów ostry przedmiot, a może uderzył twarzą w wystający kant jakiegoś mebla. No i popłynęła krew i on bardzo płakał, bo pewno go bolało. I wszyscy się zlecieli i bardzo chcieli chłopcu pomóc, ale oko nie chciało się trzymać i co i raz wypływało na zewnątrz. Wreszcie przyjechało pogotowie i pan doktor zobaczył, że to oko tak wypływa i wypływa, więc je całkiem wyjął i włożył do takiego małego pudełeczka. I zabrał tego chłopca i jego oko w pudełeczku do szpitala. Straszliwa tę opowieść zakończył młody człowiek oświadczeniem, że jemu tak właśnie, a nie inaczej wszystko to się śnioło... Dodał jeszcze, że opowiadał swą matce te okropności, także wyraźnie zaznaczył, że to był tylko sen. Ale mamusia widać tej uwagi nie usłyszała i bardzo się zdenerwowała i zaczęła zaraz dzwonić do różnych ludzi, no i zrobiło się wielkie zamieszanie.

Osoby będące świadkami tej konfrontacji już wiedzą, że zgroza okazała się snem. Jeśli wiedzą, to i powiedzą innym. Ale — tu się zaczyna właśnie ale. Czy ci „inni” uwierzą? Czy przetrząsną żywot plotki usłyszawszy sprostowanie, czy też, a jest to wcale prawdopodobne i uzasadnione licznymi przykładami, ożywią zdykujący zewzłów nowymi ustaleniami. Ze kierownictwo przedszkola zaciera ślady, że dla jakichś sobie tylko wiadomych celów, najpewniej paskudnych, próbuje się wybielić w oczach przetrzętego groźną i śmiertelnie oburzonego społeczeństwa. Ze właśnie takie manewry dowodzą najgorszych przyswar i nakazują zdecydowanie przeciwdziałanie ze strony zdrowego moralnie trzonu i bezwzględne domaganie się od właściwych władz przeprowadzenia wnikliwego śledztwa i ukarania winnych.

I zupełnie głupim jest pytanie, kto ma to wszystko odkryć. Bo oszałała mamusia najwyraźniej do zadośćuczynienia się nie poczuwa. A machina administracyjna działa jak wiadomo powoli i rozkręca się z czasem. Toteż może się zdarzyć, że gdy wieść, dawno umarła w zarodku, dotrze przez wszystkie szczeble do odpowiednich biurów, że rozpoczyna działania rutynowe. Wyjaśnienia, przesłuchania i tysiące pytań. A za dwa miesiące dyrektorka przedszkola będzie wzywana na dywan do zwierzeń i cała zabawa zacznie się od nowa.

Słuchając relacji o czarnym widzewskim poniedziałku przypomniała mi się moja własna przygoda z dziećmi. W czasie wakacyjnych studenckich praktyk. Rozpuszczona po lesie działawa miała po powrocie opowiedzieć, co zobaczyła, jak się czuła w lesie, słowem, impresje na temat. Padaly więc opisy pięknych drzew, i smaku jagód, i wyglądu muchomorów, prezentowano różne dziwne korzenie i kawałki kory i było miło.

Aż jedna z dziewczynek rozpoczęła swą opowieść, jak to wyszła na śliczną małą polanę porośniętą krzaczkami poziomkami, wśród których hasały małe lewki. Takie całkiem małe, kociołogodne, puszyste, żywe lewki, z których kiedyś na pewno wyrósł dorosły duży lew, takie same jak w zoo. A nad tą śliczną leśną polanką z małymi lewkami, fruwały sobie w biały dzień, jak gdyby nigdy nie, szare jak popiół pterodaktyle... Dziewczynka opisała najdokładniej i z powagą wygląd tego dziwnego leśnego ptactwa, z precyzją przynoszącą chlubę jej pamięci, odtwarzając rysunek pterodaktyla z zoologicznego atlasu.

Owo belferskie doświadczenie przywiodło mnie do przekonania, że wszelka dyskusja podważająca prawdziwość czyichś ugruntowanych mniemań nie ma najmniejszego sensu. Jeśli ktoś na własne oczy widział fruujące nad polanką leśną pterodaktyle, to widział. I kropka.

JOLANTA WRÓSKA

1 Pod prąd Autor! Autor!

Pamiętacie „Zamek” Franza Kafki?

Do wsi położonej nie opodal zamku przybywa geometra K. Ma wykonać dla zamku jakieś prace miernicze, ale na drodze do celu piętrzą się nieprawdopodobne wręcz trudności. Czynniki są sam zamek, który jawi się K. jako wszechpotężna, anonimowa siła. Reprezentują ją przeróżni urzędnicy, zarządcy, słudzy, posłannicy przekazujący zawsze CZYJŚ polecenia, więc nie ponoszący za nie żadnej odpowiedzialności. K. stara się walczyć z ową siłą, chce uzyskać pozwolenie zamieszkania wsi, jednak wciąż ponosi porażki, gdyż administracja zamku jest nieuchwytna, niekompetentna, nieżyczliwa i skorumpowana. Trudno zorientować się w jej strukturze, zakreśle obowiązków i odpowiedzialności poszczególnych urzędników. Nie sposób więc w kwestiach spornych dochodzić swoich praw, złożyć skargę, bo — do kogo i na kogo?, nie sposób poczuć się wobec niej w pełni człowiekiem.

Kafka zaczął pisać „Zamek” w 1914 roku w Pradze, mając za punkt wyjścia ówczesne realia. Ale choć było to już tak dawno i w innym ustroju, innym kraju, przeżył bohater powieści, geometra K., nie są nam wcale obce tu i teraz. Jakże często bowiem spotykamy się również z anonimowością władzy, niekompetencją administracji, czy też brakiem winnych powzięcia błędnych decyzji. Przykładów można znaleźć tysiąc w każdej wsi, każdym mieście, od najniższych do najwyższych piętór otaczającej nas rzeczywistości.

Oto w sklepie nie mogę kupić więcej niż dwie kostki margaryny, bo „takie jest zarządzenie”. Czyż? gdzie? kiedy wydane? Ekspedientka nie wie lub nie chce powiedzieć, gdyż „nie ma czasu na dyskusję”, a poza tym — „to nie moja sprawa”. Jak to — nie moja? Przecież handel jest dla klientów, nie zaś odwrotnie! I choć nikt może nie obchodzić, iż mam dużą rodzinę, więc dwie kostki margaryny na raz, to dla mnie tyle, co nic, gotów jestem podopiecznikowi się każdemu zarządzeniu, bylebym tylko wiedział, kto je wydał i znał jego treść.

Nieraz zdarzało się, że „urząd” czegoś tam mi odmówił. Nie referent X, czy kierownik Y, ale właśnie „urząd”. I dobrze, jeśli odmowa była, jakosć usasadniona, bo zdarzało się, że słyszałem ją bez słowa wyjaśnienia. Ponieważ nie mam zwyczaju podawać się przy pierwszych starciach, czasem okazywało się, iż „urząd” przysparzy do muru musiał wycofać się ze swej odmowy, ponieważ udowadniałem, że nie miał racji. Powiedział: ludzie są omylni. Ludzie — tak. Dlatego zawsze wolabym mieć do czynienia z ludźmi, a nie z urzędami. I niech ludzie ci — znani mi z imienia, nazwiska, funkcji — biorą odpowiedzialność za swoje decyzje. Niech będzie mi przynajmniej wstyd, gdy się pomylą. Bo nie widziałem jeszcze, by jakiś urząd w Polsce czerwił się ze wstydu.

Są to oczywiście przykłady banalne, drobiazgi, i gdyby tylko o takie chodziło, nie sięgałbym może wcale po długopis, choć z drugiej strony — czyż z takich właśnie banalnych spraw nie składa się nasze życie? Gorzej, że wiele decyzji, zarządzeń, tudzież innych aktów prawnych o kluczowym już znaczeniu dla funkcjonowania kraju, też nie ma ojców ani matek. Wydają je anonimowe — dla mnie, przeciwnego obywatela — instytucje, organy władzy i administracji. Ale przecież nawet małe dziecko wie, że za tą anonimowością kryje się konkretni, żywi ludzie. Często ci sami ludzie, na których potem głosować mam w wyborach do Sejmu, rad narodowych, lub też na przykład wypowiedzieć się w jakiejś formie, czy skomentować kandydaturę na kierownika stanowiska, powiedzmy, w moim

zakładzie pracy. A co ja o nich naprawdę wiem? Czy znam ich poglądy i rzeczywisty przebieg kariery zawodowej? Na ogół — nie. Co najwyżej orientuję się, w jakim przedmiocie pracowali „urzędnicy”. A to jest — uważam — stanowczo za mało, jeśli chcemy mówić o prawdziwej demokracji i jawności życia publicznego.

A teraz — by nie być posądzonym o brak obiektywizmu i wrodzoną ślepotę — chciałbym podać również przykład pozytywny. Znacze tego człowieka wszyscy. To twórca „Monaru” — Marek Kotarski. Mogę zgadzać się z nim lub nie, mogę go lubić, nie lubić, wiem jednak zawsze, że kiedyś coś mówił, proponował, przed wszystkim we własnym imieniu. Nie kryje się za plecami współpracowników, nie zasłania się idami instytucji, mówi otwarcie: to mój pomysł, moje hasło, moja akcja. Za to podziwiam go i szanuję. Myślę, że nie ja jeden.

Daje haczerskie słowo honoru, że chciałbym w tym tonie napisać też i o innych, o ministrach, działaczach, politykach, ale... Tu przypomniał mi się stary dowcip o człowieku, który długo i żarliwie modlił się do Boga, aby pozwolił mu wygrać w Toto-lotka. Modlił się, aż wreszcie do niego Bóg stracił cierpliwość i rzekł:

— Zgoda, tylko daj mi szansę. Wyślij wreszcie kupon!

JÓZEF RETMAN

2 Lewym okiem Myszy w Indonezji

Wiadomość z Polskiego Radia: w Indonezji rozmnożyły się niezmierne myszy, stały się plagą dla miejscowych rolników. Chcąc ratować zbiory rząd ogłosił dekret nakazujący bezpardonową walkę z myszami i dostarczanie ich, żywych lub martwych, do odpowiednich urzędów w ilości co najmniej 50 sztuk z hektara. Od wykonania tego obowiązku uzależniono szereg świadczeń na rzecz obywatela. Na przykład otrzymanie paszportu na wyjazd za granicę, zezwolenie na zawarcie związku małżeńskiego i tym podobne. Można więc sobie wyobrazić, że młody kandydat do małżeństwa, posiadający gospodarstwo 4-hektarowe mówi do swojej ukochanej: najmilsza, tak chciałbym cię pojąć za żonę, ale wciąż jeszcze brakuje mi stu myszy, mam dopiero setkę.

— Musisz się pośpieszyć, najmilszy — odpowiada dziewczyna — mamy już tylko cztery miesiące, aby ustrzec rodzinę przed hańbą narodową nieślubnego potomka.

Tak sobie tylko myślę, jak by wyglądała analogiczna sytuacja u nas. Przede wszystkim od ogłoszenia dekretu do rozpoczęcia akcji łowienia myszy musiałby upłynąć co najmniej rok, bo przecież aby móc nie dążyć się zorganizować całej sieci placówek, przygotowywanych na przyjęcie martwych zwierzątek. Przez ten rok myszy rozmnożyłyby się w dwójnasób i trzeba byłoby znacznie podnieść minimum, żeby jakoś znacząco wpłynęło na ochronę zbiorów. Można by więc mówić o pewnej inflacji martwych myszy, o spadku ich wartości w obrocie pomiędzy władzą a rolnikami. Powiedziałbym, że po roku, cały kraj pokryłby się siecią placówek przygotowanych do odbioru nieszczęśliwych gryzoni. Oczywiście byłoby to punkty świetlne przygotowane, o czym dowiedzieliśmy się z prasy i z telewizji, ale i tak przed każdym z nich tworzyłby się kilometryrowy kolektory rolników czekających na odbiór mysiwego towaru. Brak komputerów powodowałby przedłużanie się całej procedury, powstałoby mnóstwo sporów co do rzetelności liczenia przyniesionych sztuk.

Trzeba by powołać odpowiednie instancje rozjemcze, no i specjalna kontrolę rolniczo-urzędniczą. Być może, że tu i ówdzie zabrakłoby też blankietów do kwitowania przyniesionych myszy, a jeśli byłyby blankiety, to mogłoby zabraknąć odpowiednich pieczętek lub wreszcie tuszu do przystawiania tych pieczętek. W końcu jednak statystyki wykazałyby miliardy myszy zlikwidowanych przez zapobiegliwych rolników. Jednocześnie okazałoby się, że pogłowię gryzoni na polach indywidualnych, spółdzielczych i państwowych kilkunastokrotnie wzrosło. Z innych sprawozdań wynikałoby, że wypłacono ogromne sumy jako premie tym rolnikom, którzy wysoko przekroczyli plan skupu martwych myszy. Turysci i urzędnicy też dążyli do kraju wzdłuż i wszerz, opowiadali, że nigdy, nigdzie nie widzieli chłopca polującego w polu na gryzonie. Mimo to nie widzieli także takiego, który by od dawna nie posiadał prawa do zawarcia małżeństwa i do zagranicznego paszportu. Czym to wszystko tłumaczyć? — pytałby reporterzy.

Tłumaczenie byłoby bardzo proste. Po cóż normalnemu, zdrowemu człowiekowi trudzić się usanianiem po polach, kiedy na każdym targowisku można byłoby spotkać człowieka oferującego półgłosem dowolną ilość myszy. Ceny nie byłyby nawet zbyt wygórowane. Towar nie reglamentowany, konkurencja — duża. Zresztą już po paru miesiącach uznano by takie prowadzenie akcji za zbyt prymitywne. O wiele łatwiej przecież wyprodukować odpowiednią ilość zaświadczeń z pieczętkami, z podpisami i wszystkim, co do ożbrażenia należy. Często zdarzałoby się też zapewne że suma zaświadczeń w jakiejś gminie opiewałaby na ilość przyjetnych myszy, większa niż w całej Indonezji. Nikt by się nie domyślał, a raczej wszyscy by udawali, że się nie domyśla, iż pakuje się do lodówek, do worków i zakopuje do ziemi te same myszy po dziesięć i piętnaście razy, uzupełniając tak się działu z rozmnażaniem się królików Lejzorka Rojszwanca.

Ciekawy jestem jak w praktyce radzą sobie Indonezjczycy. Jest to ciekawość intelektualna, bezinteresowna, Polska to, przecież nie, Indonezja.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3 Sport Żonglerka nie wystarczy

Obiecywałam sobie, że już nie będę pisała o piłce nożnej i znów nie wytrzymałam. Bo, jak tu można wytrzymać, gdy przed oczyma masz drużynę Cypru, zawiązaną się ligowe rozgrywki na 10 dni, zwołując się pospolite ruszenie piłkarzy i odgrzązając biednym Cyprykiem, że się na nich odegramy za wszelkie porażki. Wesoła są to pogroźki i jak tu ich nie obśmiać?

Ala zaczęliśmy po porządku. Otóż najpierw — jak to niekiedy utrzymywaliśmy nasz „Ostatni Mohikanin” — Górnik Zabrze miał uratować honor polskiej piłki nożnej i pokazać w Zabrzu tym przebrzydłym Szkotom, jak to niegdyś bywało. Niegdyś Szkoci wyjeżdżali z Zabrza pokonani, teraz przyjeżdżali już ze zwycięstwem w kieszani i mecz z piłkarzami zabrzańskimi był dla nich raczej formalnością. Gotowi byli go nawet zremisować 0 do 0.

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała trener Górnika Zabrze, Marcin Bochynek, oraz niektórzy kibice. A chyba nawet niektórzy komentatorzy mieli po cichu nadzieję, że eud się stanie. Owe pamiętnej środy jechalami taksówką krótko przed godziną 17.00 i taksówkarz bardzo się niecierpliwił, bo chciał zdążyć na telewizyjną transmisję. Zdziwił się, gdy wyraziłam wat-

pliwość, czy będzie miał coś oglądać. Spojrzałam na niego w lusterku z oburzeniem — ba-ba i wypowiada się w sprawach piłki nożnej, toż to, wanie, herezja i rozpusta! — On! — dowodził mi z absolutnym przekonaniem — ci Szkoci, maczy, są już starzy i zobacz pan! jak im chłopaki z Zabrza dołożą. Kurz tylko oddzie!

Jakob kurz nie poszedł i wyszło na moje. Poszedł tylko Krzysztof Baran do szatni i niestety wśród gwizdów, a i to dopiero w drugiej połowie meczu. Później piłkarze drugiego Rangers Glasgow dziękowali się kompetencjom Marcina Bochyńki, że tak długo trzymał na boisku i to w tak ważnym meczu piłkarza, który nawet nie potrafił dobrze udawać, że gra. Natomiast Andrzej Orzeszek pokazał, że będą z niego jeszcze ludzie. Trzeba tylko, aby zajął się nim ktoś mądry i nie zgnanoł tego dobrze zapowiadającego się piłkarza. A o Krzysztofie Baranie pisało się już to i owo w polskiej prasie, i wszyscy się dziwili, dlaczego w Zabrzu nie wiedzą o tym, o czym w Łodzi wróbia ćwierkają. Ale to w końcu sprawa działaczy zabrzańskiego klubu a nie moje.

No i mamy jasną sytuację. Mistrzostwa Europy bez nas, olimpijskie zmagania bez nas, puchary Europy bez nas. Co nam jeszcze może grozić? W tej sprawie mają się wypowiedzieć eksperci. Długo zastanawiałam się, kim mają być ci eksperci? Aż oto Maciej Polkowski z „Przeglądu Sportowego” zadzwonił do Kazimierza Górskiego, którego namówił na zwierzchnia. I Kazimierz Górski ujawnił te przerażające tajemnice. Otóż powiedział on: — „Między innymi proponuję kandydaturę do zespołu ekspertów — nie powinien on liczyć więcej niż 15 osób. Znajdą się w nim trenerzy, działacze, lekarze i dziennikarze”. Koniec cytatu — jak mawiała w uczonych referatach. I koniec sprawy. Gdyby to ode mnie zależało, to nazwałabym ich niezależnymi obserwatorami. Ale u nas każdy natychmiast staje się ekspertem, bo to brzmi bardziej tajemniczo i uczennie. Oj, ciagle się boję, że Kazimierz Górski dał się wpuścić w maliny i na dobre mu to nie wyjdzie.

A teraz — dokładnie w dniu ukazania się tego numeru — odbędzie się na Cyprze wspaniały pokaz polskiej piłki nożnej. Można nawet liczyć na mały sukces, jako że piłkarze Cypru są mniej więcej na naszym poziomie, albo my na ich, co zresztą na jedno wychodzi. Ale też można się spodziewać — jak po równorzelnym partnerze — że dadzą nam w... te, no kocię. Opowiadam się raczej za tym drugim rozwiązaniem. I obym była złym prorokiem, choć teraz przegadaj z Cyprzem to już nawet nie będzie wstydem. Oni też grają w piłkę, można i mają beziluzną nadzieję wiać nam solidnie.

Ala oto przez prasę przebiega fala optymizmu. (ZZ) z katowickiego „Sportu” napisał nawet dość wzniośle: „Na fall piłkarskiej mizerii w naszym kraju tego wysycim jest jednym z niewielu optymistycznych akcentów”. Cóż to się stało? Któż to taki wspaniały ratuje honor polskiej piłki nożnej? Już śpieszę z wyjaśnieniem. Jest to fenomen z Zawiszy Grzmieja — Janusz Chomonteł. On potrafi nawet pobić rekord Diego Maradony. To dlaczego ten herocyjny piłkarz nie jest już — powiedzmy — w Italii, RFN, albo może u Szkotów czy Irlandczyków? Czym się on takim zasłużył?

Otóż ten wspaniały piłkarz z Zawiszy Grzmieja pobił aż trzy rekordy Guinnessa. Chwalać mu za to i czekać! Tylko że z tych rekordów żaden pożytek dla polskiej piłki nożnej. Janusz Chomonteł pobił rekord żonglerki na dystansie 30 km, 14150 razy odbił piłkę głową i żonglerki w kwadracie 5 m na 5 m. Gratulacje! Tylko że z tego, co potrafi heros z Grzmieja kompletnie nic nie wynika dla piłkarskiej drużyny. Otóż sprawa, bowiem tak się przedstawia, że w drużynie potrzeba dobrze wyszkolonych napastników, pomocników, obrońców i bramkarza. Potężniować piłka można sobie przed meczem, po meczu, na treningu na przykład. Na boisku trzeba umieć grać. Niestety!

BOGDA MADEJ

— Dziękuję ci, Zylku, gdyż odgadłeś, że jestem spragniony. a wody z bagien pić nie wolno. Przyjąłem od ciebie wodę, ponieważ jesteś tylko wstydlwym chłopcem a nie kobietą.

Herim opróżnił tykwe.
— Dobra jest woda z miętą — oświadczył. — Teraz rozumiem, Zylku, dlaczego tak pięknie pachnie miętą. Już wczoraj czułem od ciebie ów zapach i chyba dlatego śniła mi się pachnąca wonnościami kobieta.

Zylk zwrócił się do Dagona:
— Przyjales, panie ode mnie wodę z miętą, to znaczy że nie gniewasz się już na mnie. Czy wolno mi cie o coś zapytać?

— Pytaj.
— Powiedziałeś, że nie ufasz żadnej kobiecie. Podobno kobiety z Kraju Kwen też nie wiążą w miłość?

— Kochałem Zely, która mnie wychowała i jej ufałem bezgranicznie. To od niej dowiedziałem się, co znaczy władza i zrozumiałem, że nie ma w niej miejsca na prawdziwą miłość.

— Dlaczego?

— Nie jest prawdziwym władcą ten, kto się oddaje w władzę miłości. Jeśli się kocha jakąś kobietę, jest się jej poddanym. Nie można być zarazem władcą i czymś poddanym.

— Mówisz tak, panie, jak mówią kobiety z Kraju Kwen. Nie oddają się mężczyznom, ale ich biorą, używają, i wyrzucają w błoto. One są własnymi władczykami.

Dagon powiedział z pogardą:

— One mają tylko ciała kobiet, ale dusze mężczyzn. Tacy jak ja biorą nie tylko ciała, ale i dusze kobiety. Gdybym miał zażyć z nimi rozkoszy, miałbym wrażenie, że czynię to z mężczyzną, a tym się brzydzę. Teraz znasz moją odpowiedź, co sądzę o kobietach z Kraju Kwen. Brzydzę się nimi.

I Dago ruszył dalej, a za nim Zylk i Herim, którego podobne rozmowy zupełnie nie interesowały. Czuł w sobie żądzę i myślał o nagim ciele kobiety. Mogła to być kobieta inna niż ta z snu, nie pachnąca wonnościami. Była miała ciało kobiety. Nie z duszą się bowiem żądało rozkoszy, ale z ciałem.

Aż do południa kluczyli między rozlewiskami bagien i moczarów, zanim osiągnęli wreszcie skraj lasu, z którego rozpoczynała się podmokła puszcza. Zylk kilkakrotnie oddalał się od pozostałych jeźdźców, wypaszał z szuwarów dzikie kaczki i z niezwykłą celnością trafiał do nich ze swojego łuku. Wypłoszone kaczki przebiegały uciekały w stronę moczarów, ale dwie upadły na łake i Zylk przytrzymał je do siodła. Strzelał starannie wydobyl z pierza i schował do swojego kołczanu.

— Strzelasz, młodzieńcze, bardzo celnie — z uznaniem powiedział Herim. — A i łuk masz przepiękny. Z brązowymi okuciami. Nigdy takiego nie widziałem.

— Sam łuk jest nowy, ale okucia stare — z dumą wyznał Zylk. — Nie odróżniał panie, złota od brązu. Okucia są złote. To złoty łuk księcia Alanów, dawno zaginionego ludu z którym moi przodkowie walczyli zwycięsko.

— O Alanach słyszałem, że podlegali strasliwym Hunnom — powiedział Herim.

— Tego nie wiem. Ale byli waleczni i zapuścili swoje konie oddziały aż na Mazowie. Tam ponieśli klęskę od moich przodków. Stare pieśni mówią, że ramie w ramie z moimi przodkami stanęli do walki również Spalowie.

Dagon wzruszył ramionami i rzekł z gorczy:

— Co warto są stare pieśni, skoro mówią o wymarłych dawno ludach o odbitych ogniskach bitwach? Znam wiele pieśni o Spalach. To oni murem swoich ciał zagrodzili drogę Scytom a potem Sarmatom. To dzięki nim kraj Gopelanów Lendiców i Mazowian nigdy nie znalazł niewoli. Czy myślisz, że stare pieśni opowiadają prawdę? A jeśli tak, to czy z tego powodu, że

plynie we mnie krew Spalów, mam prawo, aby stworzyć tutaj swoje państwo, które kiedyś zagrozi zdradliwym Teutonom?

— Chciałbyś tutaj, panie, stworzyć swoje państwo? — zdziwił się Zylk. — Jesteś może księciem lub wygnanym skądś królem?

— Wielki cesarz Rhomajów dał mi władzę nad wszystkimi ludami na wschód od Wladu Król Ludwik Teutoński ofiarował mi tytuł hrabiego i kielich z truciźną. Dlatego wzgardziłem wszystkim czego sam nie zdobyłem. Zabiłem smoka zwanego Szczekiem i nazwano mnie Piastunem. Cennie to, ponieważ otrzymałem ów tytuł od Ludzi Wolnych. Nazwano mnie Piastunem, co znaczy, że biorę kogoś w obroję jak ojciec bierze w opiekę swoje dziecko. Postanowiłem wiele ludów wziąć w swoje piastowanie, rozumiesz to, ponieważ sam pochodzisz od władców.

Zaniepokoił się Zylk tymi słowami.

— Skąd ci panie przyszło do głowy, że pochodzę z władców?

— Ponieważ masz złoty łuk Alanów, tak jak ja miecz zwany Tyrtingiem. Na tym mieczu ciąży przekleństwo boga północy, Odyna, że gdy się go wyciągnie z pochwy do walki zawsze musi paść trup. A jeśli ktoś nie ma w sobie krwi władców, sam ginie, a nie jego przeciwnik. To samo, myślę, jest ze złotym łukiem Alanów. Tylko w dwóch re-kach, Zylku, strzela on tak celnie. Nie wysła się z poselstwem byle kogo. Inni zginęli a ty ocalałeś, choć masz tylko szesnaste lat i nie posiadasz wielkiego doświadczenia w walce. Rozumiem więc, że inni bronili twojego życia i zginęli, abyś mógł uciec wolny. Będziesz bezpieczny jeśli oddasz się w moje piastowanie.

— Jesteś zbyt bystry, panie — krzyknął Zylk i uderzył o strzemiączko.

Odjechał galopem i po chwili zniknął im w podmokłej puszczy.

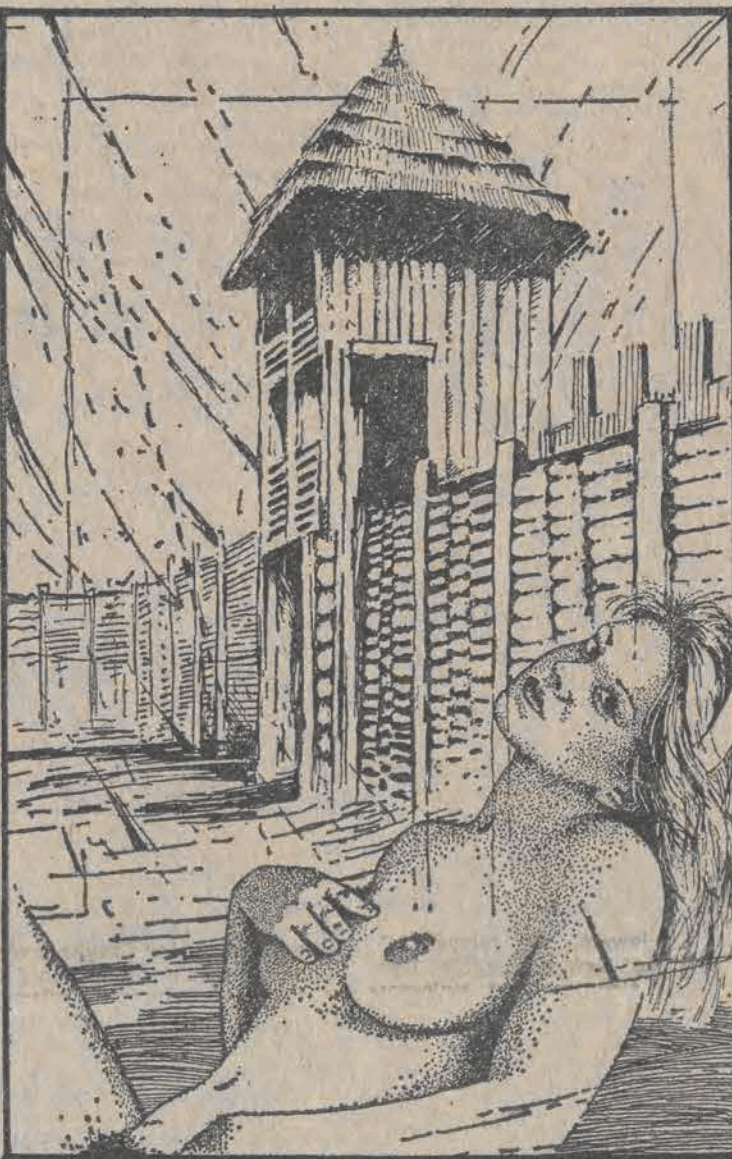
— Zdaje się, że odkryłeś prawdę — przyznał Herim. — Ten Zylk od pierwszej chwili sprawiał na mnie dziwne wrażenie. Może należało go wziąć do niewoli i ukarać za niego okup? Szkoda, że tego nie uczyniłeś, panie, ale wyszedł mu, co o nim wiesz lub czego się domyślał. Zabrał też ze sobą dwie upolowane kaczki. Musimy postarać się o żywność.

W puszczy rosły przeważnie olchy i brzozy, a tylko na suchych pagórkach napotkali dęby i sosny. Nic nie wskazywało, aby w pobliżu znajdowała się jakaś wioska czy gród, gdzie mogliby nasycić głód. Zbyt podmokła była ta puszcza, aby osiedlać się tutaj ludzie. Wreszcie, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, trafili na brzeg jeziora, które wchodziło w puszcze wąską i krętą rynną. Napotkali konie w czystej wodzie, sami też zaspokojili pragnienie. Dagon z niepokojem obejrzał końskie brzuchy — były wde-tę od złej trawy, która przez dwa dni żywiły się na moczarach. Należało dać im czas, aby doszły do zdrowia. Dlatego rozkazał Herimowi rozpałcić ognisko, a sam z łukiem w ręku wyruszył pieszo wzdłuż trzcin obrastających jezioro. Jak Zylk chciał ustrzeżić dziką kaczkę. Zerwało się ich kilka do lotu, ale żadnej nie trafił. To jeszcze na dworze Zely wprawiał się w strzelaniu z łuku, potem jednak zaniedbał tej umiejętności i wprawiał się do walki mieczem. Rozgniewany na siebie powrócił do Herima i zobaczył nad ogniskiem piekące się, oskubane z pierza kaczki. Obok ich koni pał się czarny rumak, a przy ognisku siedział Zylk.

— Nie oddam się, panie, w twoje piastowanie — powiedział mu Zylk. — Mam jednak inny plan. Pochodzę, jak to odgadłeś z roku władców. Jestem najmłodszym synem królowej Aitwar. Nie ja odziedziczyłem władzę i królestwo, ale

Proponujemy odczytanie kilku fragmentów pierwszego tomu najnowszej powieści Zbigniewa Nienackiego „Dagome iudex”, traktując je jako zapowiedź tomu drugiego, który „Odgłosy” będą drukować w całości już wkrótce.

„Dagome iudex” to swoisty rodzaj eposu łączący w swojej fabule fantazję i historię, a właściwie zamierzającą prehistorię życia plemiennego na obecnych ziemiach polskich. Nienacki próbuje po swojemu zrekonstruować obraz tamtych odległych czasów i stworzyć nową mitologię początków polskości nad Wisłą. „Dagome iudex” to — z całym szacunkiem i dla Kraszewskiego, i dla Nienackiego — jakby współczesna wersja „Starej baśni”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

jeśli mnie odprowadzisz cało do mojej matki, ty panie, otrzymasz dużo złota, a Herim zażyje rozkoszy z niewiastami, ile tylko zapagnie. Zgadzasz się?

Odpowiedział mu Dago:
— Jestem Piastunem, a nie najemnym wojownikiem. Odprowadzę cię do Kraju Argarspidów, jeśli oddasz się w moje piastowanie i złożysz mi przysięgę.

Zylk nie dał odpowiedzi.

Rzekł złośliwie:
— Widziałem, panie, jak usiłowałeś trafić kaczkę strzałą z łuku. Nie wzdó do to nałepiej.

— Dobrze zabiłś kaczki, Zylku — bez uśmiechu odrzekł Dago. — Ja jednak zwykłem zabić nie kaczki, ale ludzi.

Zapytał go Herim:

— Dlaczego działasz nie uczciwie, na której postanowiłeś nocewać? Nie wierzysz już panie w swoje czary?

— Najpierw muszę być pewien czy to ta ziemia jest moją matką i ojcem. Wtedy okazeję jej swoją miłość i szacunek.

Aż do wieczora Dago nie odezwał się ani słowem. Zanim ulepkł się kaczki, rzucił z siebie kolczugę, rozebrał się do naga i namydlący swoje ciało, wykapał się w jeziorze.

— A ty, Zylku, nie lubisz czystości jak mój pan? — zapytał go Herim.

— Umyłem się i wykapałem, zanim do was powróciłem. Też lubię czystość. Lecz ty, Herimie, jak gdybyś bał się wody.

— Owszem, nie lubię wody. Ale mój pan, Dago, nienawidzi śmierdzieli. Ktoś musi jednak czuć na brzegu, gdy jesteśmy w obcym kraju.

— Czy ja nie wystarczam, Herimie?

— Jesteś tylko chłopcem, który celnie strzela z łuku — powiedział Herim i zaczął obracać kaczki na zrobionych z patyków rodnach.

Podechwył Herim wstydl-

— Idź nad jezioro — rozkazał szepcem Dago.

Wyszukał w swoich jukach woreczek z kupionym ogniem w Alkwizgranie cudownym prozkiem starożytności zwanego alutem, a także zamkniętą w drewnianym pudełeczku masę na rany z listków krwawnika i dziurawca. Podarł liną koszulę na długie pasma i poszedł nad jezioro.

Zylk miał krwawą ranę na plecach. Rana była pod prawą łopatką i krew ściekała wzdłuż kręgosłupa aż między pośladki. Dago namoczył liną szmatę w jeziorze i wytarł plecy Zylka, potem kazał mu zsunąć spodnie i wytarł krew z rowka między twardymi pośladkami młodej dziewczyny. Miała stromo sterzące szpi-czaste dziewczęce piersi i skórę na plecach tak gładką jak była gładkie ciało pięknej kobiety.

Na karku Zylki zobaczył rżemnik, a między piersiami wisiała drewniana figurka.

— Nie pomógł ci twój lek przeciw ranie — zauważył Dago.

— Bo on nie broni przed ranami, ale przed władzą mężczyzny.

Wziął w palce drewnianą figurkę i zdumiał się ujrzawszy wyrzeźbionego w drzewie męskiego członka.

W Kraju Kwen, gdy dziewczyna kończy śledem lat, rzeźbi się takiego członka i porzabia się ją dziewczęciem. Odtąd nosi go ona na swojej piersi. Nasze prawa mówią, że żaden mężczyzna nie może zadać bólu kobiecie, gdy ją zapładnia, ani się pochwalić, że wszedł w nią pierwszy.

Dago nie powiedział na te słowa, albowiem nauczył się szanować cudze obyczaje i prawa.

Zarypał ranę proszkami, posmarował maścią i obwiązał opaskiem płótna klatkę piersiową, robiąc węzeł pod wysokości mierzsiami.

Sporo krwi ci uszło, ale pojutrze będziesz mogła ruszyć w drogę — powiedział przynosząc z juków czystą koszulę.

Nauczyła ją na swoje dziewczęce ciało i powiedziała:

— Jak ci mam, panie, okazać wdzięczność? Czy przyjmiesz ode mnie złotego solidę?

— Nie. Ponieważ nie czynię tego dla pieniędzy. Masz tylko szesnaście lat i pochodzisz z Kraju Kwen, więc nie jesteś prawdziwą kobietą. Bo kobieta tylko w jeden sposób może okazać wdzięczność mężczyźnie.

Jej duma została tak urażona jak gdyby włożył jej palec w ranę pod łopatką.

— Czy wiesz, panie, co mówię nasze prawo? Kto widział obnażone ciało kobiety z Kraju Kwen, powinien zostać zabity. Pilnuj więc swojego życia.

Rozemknął się cicho.

— Nie widziałem obnażonej kobiety, a tylko chłopca o imieniu Zylk z Kraju Argarspidów. Tak było i tak będzie.

— Dobrze — skinęła głową.

— Niech tak pozostanie.

Położył się znowu do snu. Ale Dago nie mógł zmużyć oczu, ponieważ gdy leżał, widział strasne piersi dziewczyny, czuł pod palcami jej gładką skórę, odrzywała w nim pamięć o jej krząsłych i twardych pośladkach, wdychał nozdrzami oszałamiający zapach dziewczęcego ciała.

A kiedy zasnął, nadszedł na niego taki sen, jaki wczoraj miał Herim — na próżno chciał zażyć rozkoszy z pachnąca wonnościami kobietą, aż zajeżdżał z żądz. Słyszała ten jęk Zylka i myślała, że Dago płacze i przez sen z tęsknoty za krajem olbrzymów.

A temu w marzeniu sennym na twarz Zylki nałożyło się wspomnienie oblicza dumnej księżniczki Pajoty, a potem wielu innych kobiet, które przetrwały i które posiadał, a przecież tak mało od nich otrzymał i gdy o czasie do czasu budził się z owych marzeń, widział olbrzymkę Zely i wstytko się w nim buntowało przeciw myśli, że Spalowie żyją już tylko w dawnych pieśniach.

Czy on, Dago, nie miał w sobie krwi Spalów? Czy złudzeniem był jego wspomnienie o szczeci-u na dworze Zely? Być może że naprawdę wreszcie śnił.

Zely wygięła olbrzymi Spalowie, lecz przecież pozostał on. Dago, zapewne no to, aby spełniło się jakieś przeznaczenie. Moca swoich wielkich czynów i moca swej przyszłej władzy nieznane dotąd ludy wprowadzi do historii.

Rozdział VIII

HŁODR

Astrid zagrażała dużo gorzej wody, potem wtopczyła do łaby beczkę z drewnianych klepek i chłopak mógł się narazie pozbęd brudu. W wodzie z pachnącymi ziołami umyła jego długie włosy aż stały się jeszcze bielejsze. Przyszykła je równo, aby sięgały tylko do ramion, jak u człowieka stanu wolnego. Ogoliła młodzieńcy zarost i podała obfite śniadanie.

„Tej nocy, gdy przyszła go zabić, a potem — odwrócona plecami leżała obok niego na ławie w pobliżu pieca, on budził się trzy razy i czując na swoim brzuchu ciepłe kobiece pośladki, za każdym razem okazywał żądzę, brał ją i wypelniał sobą a ona doznawała rozkoszy. Prawda było, że przez śledem lat pożyła z mężem, Ottarem, nigdy nie doznała z nim nawet najmniejszej przyjemności i myślała, że tak być powinno. Ten szesnastoletni bez imienia odkrył w niej coś nowego i ja sama przerażała myśl, że gdyby go zabiła, byłby to koniec życia pozostałaby nieświadoma kobiecej rozkoszy. Przekonała się, że nawet dotknięcie jego ciała sprawia przyjemność jej palcom, dlatego myślała go długo i pieszczotliwie dotykała ramion, brzucha, ud. Chciała mu w ten sposób okazać wdzięczność za to, co ją z nim spotkało. Przytuliła mu najpiękniejszą szatę swojego męża Sama dziwiła się, czemu bragnie, aby ten przybieda, który wkroczył w jej życie brudny i obszarpany, wyglądał pięknie jak tej zabity małż.

Dostał więc od niej białe liniane kałesony i koszulę, szkarłatne wełniane spodnie —pończochy tak obcisłe, że wyraźnie odznaczało się jego przyrodozienie. Na koszulę wdział bluzę szkarłatną. Ofiarowała mu długie buty z miękkiej jeleniej skóry, pas zdobiony srebrnymi okuciami i dla jego miłości ozdoby w srebro pasek przez ramię. Podała mu kandelusz z miedziakim rondem, także szkarłatny oraz podobny do futra płaszcz zwany „rogrn”, zrobiony z krótkich pasemek wełny. Teraz dopiero w stroju bogatego Ascomanna wyglądał pięknie. Chciała aby takim pozostał na zawsze.

— Czy dać ci miecz mojego męża, dłuższy i piękniejszy niż twój? — spytała. — Miecz nosi nazwę Kasasz Kolczugi, gdyż przecina nawet kolczugę.

— Dziękuję ci, Astrid. Mój miecz nazywa się Tyrting i jest zaczarowany — odrzekł młodzieńiec. — Jeśli go wyciągnę z pochwy do walki, musi paść trup, dlatego noszę go w lichej pochwie. Nie powinien zwracać niczyjej uwagi.

— Czy to ty go zaczarowa-łeś? Mówiłeś, że znasz sztukę czarów.

— Przekleństwo na niego rzucił bóg Odyn. Rozkazał mu zabić. Ale prawda jest, że znam sztukę czarów, gdyż wychowała mnie olbrzymka Zely. Zrodzony zaś jestem ze zwykłej kobiety i olbrzyma Bory. Pochodzę z Kraju Spalów, to jest z Kraju olbrzymów.

Pomyślała że sa to przechwałki młodzieńca. Wspomniała jednak tego nabrzmiały członek, który wypełnił ją aż czterzy razy w ciągu nocy i dał rozkosz. Takiego dużego członka nie miał Ottar, choć należał do mężczyzn silnych i walecznych.

C.D.N.